

ثقافة (برجماتية) تهتم بالمصالح أكثر من اهتمامها بالمبادئ والقيم والمثل، ثقافة الشؤون الجنسي والعنف ... إلخ.

الأشياء التي يتم عولمتها :

الأشياء التي يتم عولمتها كثيرة منها السلع والخدمات والناس (العمالة) ورؤوس الأموال والمعلومات والأفكار والعادات والتقاليد وأنماط السلوك وبعض الصناعات والتكنولوجيا وأنواع اللبس والأطعمة والأفلام والغناء والموسيقى والعمارة واللغة والعلوم والفلسفات وأساليب الحياة وجميع أشكال الفنون والآداب والثقافة.

أهداف العولمة :

المتعاملون مع الظاهرة والمروجون لها يقولون إن العولمة تهدف لتقديم وتطوير كل الناس وكل البلدان والشعوب «النظام العالمي حسب رؤيتهم هو نظام رشيد يضم العالم بأسره، فلم يعد هنالك انفصال أو انقطاع بين المصلحة الوطنية والمصالح الدولية، وبين الداخل والخارج، وهو يحاول أن يضمن الاستقرار والعدل للجميع بما في ذلك المجتمعات الصغيرة، ويضمن حقوق الإنسان للأفراد وهو سينجز ذلك من خلال مؤسسات دولية رشيدة مثل هيئة الأمم المتحدة ومنظماتها والبنك الدولي وقوات الطوارئ الدولية.

وسيمت كل هذا ضمن ما يقال له الشرعية الدولية<sup>(1)</sup>، هنالك أكاديميون مثل فوكوياما حاولوا تسويق ظاهرة العولمة وإخفاء حصة الشرعية عليها فوصفوها بأنها نهاية التقدم البشري ونهاية التاريخ وأنه يتعين على جميع الأفراد والدول أن تتخبط وتتكيف مع النظام العالمي الجديد إذا أرادت أن تتقدم وتزدهر أو حتى إذا أرادت البقاء.

(1) المسري (عبدالرحمان) النظام العالمي من المعرفة العدد 26، أبريل - مايو.

العلمانية

التيكوير غلنار محمد زائد

مؤلف

عقائد وتيارات فكرية معاصرة

المجتمع الأوراسي

العلمانية

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Obiad literacki

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## Obiad literacki

### WSTĘP

Na wstępie pozwolę sobie w niewielu słowach podmalować dekorację tych obiadów, oraz zdradzić sekret kulinarny, wedle którego je przyrządziłem.

Najpierw trochę historii.

Zamach Stanu 2 grudnia 1851 zamknął nie tylko w polityce, ale i w literaturze pewną epokę, zwłaszcza że spotkał się z postępującą od kilku lat likwidacją romantyzmu. Romantyczną była jeszcze rewolucja lutowa (1848), która na fali wydarzeń wyniosła poetę Lamartine'a<sup>1</sup>, czyniąc zeń przez chwilę głowę rządu. Zniesienie niewolnictwa, zniesienie kary śmierci za przestępstwa polityczne, powszechne głosowanie, republika... Niebawem przyszła konfrontacja marzeń z rzeczywistością. Rozkołysane nadzieje ludu stłumiło przerażone mieszczaństwo w potokach krwi w okrutnych dniach czerwcowych r. 1848; nastąpiła reakcja wojskowa; obiór księcia Ludwika Napoleona<sup>2</sup> prezydentem republiki zdawał się już zapowiedzią niedalekiej monarchii. Jakoż, ziściła się owa monarchia, w niewiele miesięcy po zamachu grudniowym, przeprowadzonym z zimną bezwzględnością przez tego milczącego człowieka. Zamach zeskałmotał<sup>3</sup> władzę na rzecz księcia-prezydenta, uprzedzając moment, w którym ów — po ukończeniu swego czterolecia — miał ustąpić bez prawa do ponownego wyboru. Zmasakrowano przeciwników (4 grudnia), rozstrzelano lub deportowano podejrzanych, rozwiązano Izbę, wprowadzono najsurowsze rygory. Dokonany w tych warunkach plebiscyt zalegalizował ogromną większością głosów fakt zamachu: niebawem też sama „wola ludu” awansowała księcia prezydenta na cesarza Napoleona III, z władzą niemal absolutną. Cesarz kneblował prasę, oniemiał Izbę, zakazując podawać sprawozdań z przemówień posłów, zastosował w sposobie rządzenia i wychowywania wszystkie środki despotyzmu. Stan ten, mimo pewnych złagodzeń, miał się utrzymać przez lat blisko dziesięćnaście, aż do upadku cesarstwa w r. 1870.

*Drugie cesarstwo!* Ileż obrazów przywodzi nam przed oczy, sceptyczniejsze od oczu starego Rzeckiego w *Lalce*. Cesarzowa Eugenia ładna, niezbyt inteligentna Hiszpanka z obnażonymi ramionami, w krynolinie; obok niej cesarz w źle skrojonym tużurku<sup>4</sup>, małowówny sfinks z wywoskowanymi wąsami i z bródką, polityk nieodgadniony a może tylko niedorzeczny, pracujący bezwiednie a wytrwale dla stworzenia potęgi Prus, która go miała połknąć. Religianctwo bez wiary, propagowane na zimno jako środek władzy; świętoszkostwo cenzury, proces *Pani Bovary* a tryumf *Pięknej Heleny*<sup>5</sup>... Dalekie wojny i dalekie afery. Wewnątrz kraju cynizm środków rządzenia, wzdarcie i obojętny; w powietrzu jakiś niepokój, mgliste uczucie że leci się w przepaść... ale interesy prosperują, giełda huczy, zbytek się przewala, w *Lasku* tłoczą się pojazdy. Wystawę paryską odwiedzają wszyscy monarchowie Europy — wciąż fety, tryumfy, ponawiane zwycięskie plebiscyty. Ostatni plebiscyt dat pół ósma<sup>6</sup> miliona głosów (na dziewięć blisko milionów

<sup>1</sup>Lamartine, Alphonse de (1790–1869) — polityk i pisarz francuski, uznawany za twórcę francuskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>książę Ludwik Napoleon (1808–1873) — późniejszy cesarz Francuzów (Napoleon III) w latach 1852–1870. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zeskałmotać — zręcznie coś ukryć bądź ukraść. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>tużurek — długi, dwurzędowy surdut, popularny na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*Piękna Helena* — operetka Jacquesa Offenbacha (1864). [przypis edytorski]

<sup>6</sup>pół ósma (daw.) — siedem i pół. [przypis edytorski]

głosujących) za cesarstwem: było to w maju r. 1870. W parę miesięcy potem zaczął się generalny krach: — Sedan<sup>7</sup>, detronizacja, okupacja kraju, wojna domowa, komuna<sup>8</sup>...

Co robi przez ten czas myśl francuska, odsunięta niejako od odpowiedzialności za sprawy publiczne? Od kilku dziesiątków lat czynny rząd dusz był w tradycjach literatury. Chateaubriand<sup>9</sup> stał się niegdyś mimowolnym współpracownikiem Bonapartego w odnowieniu religii; później, sławną swoją broszurą przeważył szalę na rzecz Burbonów, był ministrem spraw zagranicznych. Balzac<sup>10</sup> pełno polityki wprowadzał w swoje utwory a całe życie marzył o roli politycznej; któryż zresztą współczesny mu literat nie widział się w marzeniach posłem lub ministrem? Wiktor Hugo<sup>11</sup> był parem Francji, wybitnym oratorem, mimo że Jules Simon<sup>12</sup> złośliwie mówił, iż każde jego przemówienie można by ułożyć wierszem.

Otóż, tym ambicjom literatury — jak i parlamentaryzmowi — zadał dzień 2 grudnia brutalny i stanowczy cios. Lamartine przestał istnieć; Hugo znalazł się na liście proskrybowanych; osiemnaście lat spędzi na wygnaniu, smagając nienawistne Cesarstwo pamfletami — wierszem i prozą. Wróci aż z upadkiem regime'u. Wygnany toż samo Edgar Quinet<sup>13</sup>. Michelet<sup>14</sup> i Renan<sup>15</sup> stracili katedry. Wszyscy żyją pod grozą represji. Ówczesna ustawa prasowa pozostała, jak ktoś powiedział, „wzorem dla tych, którzy chcieliby zniszczyć prasę”. Rujnowała pisarzy, szukających ucieczki w dziennikarstwie, bo pisma, uderzane dotkliwie po kieszeni, same wprowadzały tym gorliwszą cenzurę domową. Prokurator wdzierał się w sferę krytyki literackiej i artystycznej. Prefekci<sup>16</sup> mieli rozkaz czuwania nad powieściami drukowanymi w felietonach. Dziennikom literackim i naukowym zabroniono najformalniej zajmować się nawet przygodnie polityką i ekonomią społeczną. W sferach *miarodajnych* rozważano bardzo poważnie ideę „uzgodnienia literatury z całokształtem instytucji cesarstwa”...

Cóż więc robi literatura, ta która została w kraju i która, rada<sup>17</sup> nie rada, musi się przystosować do istniejących warunków? Częścią zamyka się w „wieży z kości słoniowej” — wyrażenia tego pierwszy raz użył, zdaje się, Flaubert<sup>18</sup>; — w kulcie *formy*, w doktrynie *sztuki dla sztuki*. Trudno ocenić ilościowo, ile udziału w tych hasłach (które zresztą przetrwały długo, nawet w zmienionych warunkach) miała — cenzura; ale że miała, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. Częścią<sup>19</sup> znowuż zwraca się literatura tam, gdzie i bez owego przymusu kierował ją duch czasu: — ku nauce. Jak w dobie romantyzmu literatura kuma się z polityką, tak w dobie pozytywizmu współżyje ona z nauką.

Do tego konkubinatu dojrzewała zresztą od dawna. Poezja ustępuje na drugi plan pod naporem nowej rzeczywistości. Zdobyte techniki, wynalazki, odkrycia, przegrupowania społeczne — wszystko to stwarza inny świat — świat, który tak genialnie zrozumiał

<sup>7</sup>Sedan — bitwa pod Sedanem, stoczona 1 września 1870, w wyniku której do pruskiej niewoli dostał się cesarz Napoleon III. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>komuna paryska — krwawo stłumione powstanie ludności Paryża w dniach 18 marca–28 maja 1871 roku. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Balzac, Honoré de (1799–1850) — prozaik francuski, czołowy realista, autor cyklu powieści *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>Hugo, Victor (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg i polityk, czołowy prozaik francuskiego romantyzmu, autor m. in. *Nędzników*. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Simon, Jules (1842–1896) — francuski filozof i polityk. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Quinet, Edgar (1803–1875) — filozof francuski. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Michelet, Jules (1798–1874) — francuski filozof i historyk, profesor m.in. Sorbony i Collège de France. Głosił poglądy liberalne i antyklerykalne; sympatyzował z Polską, opublikował m.in. tekst *Kościuszkę, legenda demokratyczna* (1851). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Renan, Joseph-Ernest (1823–1892) — francuski historyk, pisarz, filozof i filolog; zajmował się zwłaszcza filologią orientalną, filozofią kultury oraz historią religii; autor znanego dzieła *Żywoł Jezusa* (1863). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>prefekt — urzędnik administracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>rad (daw.) — chętny a. zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Flaubert, Gustave (1821–1880) — francuski powieściopisarz; uznany za mistrza literatury naturalistycznej, w ramach której sformułował postulat bezosobowości; w 1856 roku zasłynął *Panią Bovary* opowiadającą o prowincjusze, która porzuciła dziecko, zdradza i doprowadza do bankructwa męża, po czym popełnia samobójstwo. Po publikacji Flaubertowi wytoczono proces, uznając jego książkę za deprawującą. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>częścią — po części, częściowo. [przypis edytorski]

lub przeczuł Balzac. *Przyszłość wiedzy*, pisana w latach 1848–1849 przez Renana<sup>20</sup>, najlepiej wyraża stan dusz, olśnionych wiarą we wszechpotęgę rozumu, nauki, zanim ta wiara ustąpi słodyczom wątpienia. U Augusta Comte<sup>21</sup> kult wiedzy pozytywnej zmienia się w religijny niemal mistycyzm. Poezja robi miejsce prozie, romantyczny dramat teatrowi mieszczańskiemu, natchnienie analizie krytycznej. Powieść, wywodząc się w tym również od Balzaka, nabiera ambicji naukowych, nawet eksperymentalnych.

Ale dominującą tendencją chwili jest krytyka. Jest to dość zrozumiałe. Po tak fenomenalnym wybuchu twórczości, jakiego świadkiem były minione dziesiątki lat, po tylu przewrotach politycznych i społecznych, myśl odczuwa jak gdyby potrzebę uporządkowania tego wszystkiego. Chce wychnąć nieco, chce ogarnąć i powiązać fakty, spiąć przeszłość z terażniejszością, ustalić jakieś prawidła<sup>22</sup>. Wyłania się nowa nauka — *socjologia*; kształtuje się nowoczesna historia i nowoczesna krytyka. Ale ta *krytyka* jakże odmienna jest od dawnej; nie dogmatyczna, nie pouczająca pisarzy jak mają pisać, ale żądna zrozumieć wszystko, co jest, i wszystko objaśnić. Sainte-Beuve<sup>23</sup>, Taine, Renan — oto typy nowej umysłowości, nowi władcy dusz. A że z tego nawyku oglądania rzeczy ze wszystkich stron, rozumienia najsprzecznějších stanowisk, zagłądania za wszystkie kulisy i prucia wszystkich podszewek, rodzi się sceptycyzm — to jest nieuniknione. Inteligentny ten i wyrafinowany sceptycyzm stanie się zwiastunem „końca wieku”; pojęcie jego zrośnie się z nazwiskiem Renana, przeciągnie się w osobie Anatola France<sup>24</sup> w dobę największego promieniowania myśli francuskiej na Europę.

Tak więc, gdy błyskotliwy światowy Paryż drugiego Cesarstwa bawi się, nuci Offenbacha<sup>25</sup>, spekuluje, czyta słodkawe powieści Oktawa Feuillet — garść ludzi czuwa późno w noc przy biurku lub w pracowni, topiąc życie w wytężonej pracy. Praca ta, mimo że prowadzona na bardzo rozmaitych polach, schodzi się z sobą w konkluzjach, a nawet w metodach. Hipotezy naukowe jakiegoś Berthelot<sup>26</sup> pożyczają skrzydeł od poezji, gdy powieść Goncourtów<sup>27</sup> lub krytyka Taine’a<sup>28</sup>, wyrosłe z cierpliwego badania dokumentów ludzkich, wkraczają w dziedzinę nauki ścisłej. Ale wszyscy oni dławią się po trosze pod reżymem, który, zasadniczo lekceważąc myśl i wiedzę, chce w myśli i wiedzy mieć jedynie wierne — lub bodaj dyskretnie milczące — sługi władzy. Nie mogąc się wypisać ze wszystkim, owi literaci, uczeni, potrzebują się wygadać. Stąd potrzeba schodzenia się, wymieniania myśli, utyskiwania wspólnie na to, co ich gnębi. Jeść obiad razem, rzucić przy kieliszku wina teorie i paradoksy, cieszyć się inteligencją własną i inteligencją sąsiada, puszczać w powietrze myśli niby kółka wonnego dymu cygar, po trosze wymyślać na rząd, który, na szczęście, nie mieszał się zbyt do tego, co się mówiło w zaciszu prywatnym — to miało we Francji swoje tradycje. Salon sąsiadował tam zawsze z jadalnią, a jadalni takich było w owej epoce sporo.

Jedna z najświetniejszych mieściła się w pobliżu tronu. Gospodynią jej była owa tak niezmiernie popularna (aż po rok 1904, w którym umarła jako staruszka osiemdziesięciokilkuletnia) — księżniczka Matylda. Rodzona bratanica Wielkiego Napoleona, stryjeczna siostra Napoleona III (o ile Napoleon III miał w żyłach krew Bonapartych, co do czego podnoszono poważne wątpliwości), piękna, imponująca, trochę artystka, lubiła się otaczać ludźmi myśli i pióra. Może to była polityka dworu, aby ich w ten sposób trzymać na uwięzi? może księżniczka bezwiednie spełniała rolę mediatorki między rządem a ty-

<sup>20</sup>Renan, *Joseph-Ernest* (1823–1892) — francuski historyk, pisarz, filozof i filolog; zajmował się zwłaszcza filologią orientalną, filozofią kultury oraz historią religii; autor znanego dzieła *Żywot Jezusa* (1863). [przypis edytorski]

<sup>21</sup>Comte, *August* (1798–1857) — francuski filozof, wiodący pozytywista, twórca terminu „socjologia”. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>prawidła — reguły, zasady. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Sainte-Beuve, *Charles-Augustin* (1804–1869) — francuski pisarz, krytyk literacki i popularny felietonista, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>France, *Anatol* (1844–1924) — powieściopisarz, poeta i krytyk francuski. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Offenbach, *Jacques* (1819–1880) — francuski wiolonczelista i kompozytor, specjalizujący się w operetkach. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>Berthelot, *Marcellin Pierre* (1827–1907) — chemik i polityk francuski. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Goncourt — bracia Jules i Edmond (1822–1896), pisarz krytyk i wydawca. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Taine, *Hippolyte Adolphe* (1828–1893) — francuski filozof, historyk, krytyk i teoretyk kultury; członek Akademii Francuskiej; jeden z głównych przedstawicieli pozytywizmu. Twierdził, że w podejściu do analizy dzieła sztuki należy uwzględnić trzy aspekty: rasę, środowisko i moment historyczny. [przypis edytorski]

mi, których niechęć mogłaby, bądź co bądź, być nieporęczna? Faktem jest, że niezależna, inteligentna i ciekawa, rywalizująca po trosze z cesarzową Eugenią, księżniczka Matylda umiała dać swemu salonowi cechę — och, bardzo niewinnej — *frondy*<sup>29</sup> intelektualnej.

Księżniczka Matylda, która dwukrotnie w życiu nie raczyła zostać cesarzową, korzystnie rozwiedziona z nababem<sup>30</sup> rosyjskim Demidowem, żyła cnotliwie ze swoim morganatycznym<sup>31</sup> kochankiem, hr. Nieuwerkerke, którego postarała się zrobić — dla decorum<sup>32</sup> — intendentem<sup>33</sup> sztuki. W ten sposób, w rękę tej dostojnej pary skupiała się cała opieka rządu nad sztukami plastycznymi. Obawiam się, że wpływ tej cesarskiej amatorki, pilnie malującej akwarelę, oraz utytułowanego niedoszłego rzeźbiarza — jakim był hr. Nieuwerkerke — wpływ wykonywany bardzo despotycznie — nie był może najlepszy... ale to nie moja rzecz. W literaturze nie mogła mieć księżniczka równie czynnej ingerencji. Tolerancja jej posuwała się aż do szanowania nałogu Musseta<sup>34</sup>, któremu zdarzało się przyjść na jej obiad w stanie kompletnego pijaństwa. Flaubert, Sainte-Beuve, bracia Goncourt, Gautier<sup>35</sup> — to byli jej nadworni. Swoboda słowa była przy tym stole niemal zupełna. W jednym była księżniczka nieubłagana: w tym, co tyczyło chwały jej wielkiego stryja. Sławny jest bilecik „*p.p.c.*”, którym, po jego ostatnich tomach *Początków Francji współczesnej*, ta *Napoleonka* — jak ją nazywali najbliżsi — dała uczuć biednemu Taine’owi, że nie życzy sobie widzieć go więcej na oczy.

Innym takim obiadem, jeszcze liberalniejszym co do swobód języka, bo czysto męskim, był obiad tzw. *chez Magny*<sup>36</sup>, od nazwiska właściciela restauracji, w której się zbierano. Powstał w drugim dziesiątku lat Cesarstwa; założycielami jego byli bracia Goncourt, rysownik Gavarni<sup>37</sup> i Sainte-Beuve; filarami Saint-Victor, Berthelot i inni. Schodzili się co sobotę. Przetrwał ten obiad aż do katastrofy roku 1870, rozprószył się w owej dobie, potem skupił się na nowo, ale już w innej postaci. Zjawili się inni w miejsce tych, co ubyli; pod rządami republiki obiad przeobraził się po trosze w obiad polityczny pod wezwaniem dziennika *Le Temps*, i stracił pierwotny charakter czystego gaju Akademos<sup>38</sup> z wiktem<sup>39</sup>.

Bracia Goncourt, którzy w *Dzienniku* swoim protokółowali wszystko z pasją poszukiwaczy „dokumentu”, utrwaliли niejedną scenę i niejedną rozmowę z tego obiadu *chez Magny*, jak zresztą i z innych zebrań. Odczytując te ich relacje, byłem uderzony, jak bardzo obiad ów wyraża ducha epoki. Już swoim składem osób. Wszystko tam jest, i wszystko pierwszorzędnie reprezentowane: nauka, sztuka, krytyka, matematyka, medycyna, powieść, polityka. Powagę myśli łagodzi na przemian nuta paryskiego urwisa, z którego coś zawsze przetrwało w Teofilu Gautier; — sceptycyzm smakosza zaproszonego na widowisko świata, humor artysty, ostry wybryk żonglera idei. Charakterystyczna jest pewna bierność ludzi będących raczej ciekawymi świadkami niż aktorami życia społecznego; — więcej zrzędzenia niż buntu, raczej dąs niż opozycja, odcień niesmaku i znużenia swoją epoką. O czymkolwiek jest mowa, nikt nie lęka się użyć właściwego wyrazu; ale zarazem, przy całej pogardzie dla *mieszczucha*, jest tu niejaka mieszczańskość horyzontu, bezwiedny nawyk pewnej postawy społecznej. To jest owa Francja intelektualna, uczona, obżarta myślą, nawykła wszystko brać pod swój mikroskop lub skalpel, która, przymusowo zwolniona od odpowiedzialności za los kraju, korzysta ze swoich pracowitych wywczasów<sup>40</sup>,

<sup>29</sup>*fronda* — stronnictwo opozycyjne, zwł. zwrócone przeciw królowi. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>*nabab* — bogacz. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*morganatyczny* — wchodzący w związek, małżeński bądź nieformalny, z arystokratą lub władcą, lecz nie nabywający z tego powodu tytułów ani uprawnień dla siebie ani dla dzieci z tego związku. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*decorum* (z łac.) — tu: ponieważ tak wypadalo (dosł: poczucie stosowności, zwł. w dziele sztuki). [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*intendent* — pracownik administracji. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta; nieszczęśliwa miłość do George Sand wpłynęła na jego twórczość, np. na do pewnego stopnia autobiograficzną *Spowiedź dziecięcia wieku* z 1836 roku i liryki miłosne. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*Gautier, Théophile* (1811–1872) — przedstawiciel francuskiego romantyzmu, pisarz, poeta, dramaturg i krytyk. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*chez Magny* (fr.) — u Magny’ego. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Gavarni, Paul* — właśc. Sulpice Guillaume Chevalier (1804–1866), francuski rysownik, karykaturzysta i satyryk francuski. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*gaj Akademos* — miejsce, w którym znajdowała się akademia platońska. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*wikt* — wyżywienie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*wywczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

i dla której coraz bliższa już katastrofa, wrywając ją z zacisza gabinetu lub jadalni, stanie się straszliwym i niepojętym wstrząsem.

Dokumentem owych obiadów pozostał tedy *Dziennik Goncourtów*. Ale trzeba mi tu powiedzieć kilka słów o samych Goncourtach i o ich *Dzienniku*. Zjawisko niemal jedyne w literaturze, przykład najściślejszego współpracownictwa dwóch braci, które pozwoliło im nawet rzecz tak osobistą jak dziennik prowadzić wspólnie. Edmund (1822 — 1896), starszy od brata, przeżył Juliusza (1830 — 1870) o wiele lat i strata ta pozostała dlań nigdy nie zgojoną raną. Historycy, powieściopisarze, autorzy sceniczni, kolekcjonerzy, estetycy, byli Goncourtowie pod wieloma względami awangardą literatury i sztuki. Dziś jako twórcy raczej zapomniani, przetrwali przez swoją *Akademię Goncourtów*, którą Edmund ufundował w intencji przeciwstawienia jej oficjalnej martwocie Akademii francuskiej, oraz przez swój *Dziennik*, bezcenny zbiór dokumentów, portretów, anegdot — półwiecze literatury, sztuki i obyczajów<sup>41</sup>.

Bracia Goncourt prowadzili wspólnie swój *Dziennik* od roku 1851 (pierwsza ich książka ukazała się w dzień zamachu Stanu 2 grudnia, i tej zabójczej konkurencji nie mogli nigdy darować Napoleonowi) do śmierci Juliusza w 1870. Po stracie brata, Edmund prowadził *Dziennik* sam; ale w obiadach u Magny brali jeszcze udział obaj. Wracając do domu utrwalali ten czy ów szczegół, jakiś fragment dyskusji; dali atmosferę tych obiadów, zaprawną oczywiście własnym kostycznym<sup>42</sup> humorem, swoimi sympatiami i antypatiami.

Otóż, przyszło mi na myśl zebrać razem te dość skąpe ich zapiski i stopić je w jeden obiad-*monstre*<sup>43</sup>. W trakcie roboty, która mnie bardzo bawiła, pomyślałem: „Ci sami ludzie spotykali się raz po raz i gdzie indziej, u księżniczki Matyldy, u siebie wzajem, rozmawiali tak samo, w tej samej atmosferze; czemu by i tych rozmów — o ile są zanotowane u Goncourtów — nie przenieść *chez Magny* i nie wpleść w ogólny rozgardiasz obiadu? A w końcu poszedłem jeszcze dalej. Ileż jest w tym *Dzienniku* anegdot, powiedzeń, myśli nieraz sprzecznych, jak gdyby dyskutujących z sobą na odległość wielu kartek lub nawet tomów — będących w sumie żywym i wiernym odbiciem nastrojów epoki! Czemu by i tych strzępów nie wprząść w mój dywanik? Tak więc, tekst rozszerzał mi się stopniowo; wciąż trzymając się litery *Dziennika* Goncourtów, przekroczył znacznie ramy autentycznego obiadu *u Magny*. Spłecenie biegu rozmów, ułożenie tej mozaiki myśli dokonane jest na moją odpowiedzialność.

\*

Uczestnicy obiadu u Magny, liczący od czwartego po szósty krzyżyk, są to ludzie częścią znajdujący się na szczycie najchlubniejszej kariery, częścią walczący z powodzeniem o swój udział w sławie. Schodzą się. Sainte-Beuve, wielki krytyk, liczący wówczas koło sześćdziesiątki, najwcześniej przybyły, grzeje nogi przy kominku: mały, krótki, z okrągłą wygoloną twarzą, w swojej czarnej mycce na lysej głowie. Ciężkim krokiem wchodzi ulubiony przez wszystkich *Théo* Gautier, niegdyś autor młodzieńczej i zuchwałej *Panny de Maupin*, dziś już po pięćdziesiątce, wielki, barczysty, brodaty, piękny; wygłasza z olimpijskim spokojem paradoksy, które później będą się tulały przez wiele dziesiątków lat po wszystkich literackich knajpach Europy. Wsuwa się, zacierając ręce księżym gestem, Renan, który świeżo wrócił ze swojej wyprawy na Wschód szlakami chrześcijaństwa, i któremu niebawem jego *Życie Jezusa* miało dać wielką i gorszącą cokolwiek sławę. Wchodzą kolejno: świetny eseista Saint Victor, żółciowy nieco burczymucha; Berthelot, trzydziestokilkuletni znakomity już uczonek, mający się stać jednym z największych chemików świata; Gavarni, mały, żywy, o ruchliwej niespokojnej twarzy i oczach na przemian to bacznym i byстрыm, to znów zgubionym gdzieś w zaświatach matematyki. Dalej Soulié<sup>44</sup> (nie Frédéric, ale Eudore); dalej w binoklach, z poprawną miną „guwenera z wielkiego domu” lub profesora przerabiającego lekcję, Taine, który niebawem,

<sup>41</sup>*Dziennik, bezcenny zbiór dokumentów, portretów, anegdot — półwiecze literatury, sztuki i obyczajów* — bliżej o owym *Dzienniku* (którego ukazało się w druku 9 tomów) i jego losach, patrz: „Drogi i ścieżki literatury” w moim zbiorze *Śmiech, uśmiech i zgroza*. [przypis autorski]

<sup>42</sup>*kostyczny* — uszczypliwy a. złośliwy. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*monstre* (fr.) — potwór; tu: gigant. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Soulié, Eudore* (1817–1876) — francuski historyk sztuki i konserwator. [przypis edytorski]

na marginesie najpoważniejszych studiów, miał dać swoje *Życie i myśli pana Tomasza Graindorge*, drukowane w płócej *La Vie Parisienne*. Dalej Flaubert, spędzający po parę miesięcy w Paryżu, olbrzym z obwisłym płowym wąsem i wypukłymi oczami, którego debiut powieściopisarski (*Pani Bovary*, 1857) wysunął na czoło walk literackich, czyniąc go, bez jego woli, chorążym realizmu. Dalej Nefftzer, publicysta, założyciel dziennika *Le Temps*; Scherer, również głośny publicysta, polityki, krytyk, fanatyczny protestant; Baudry, ceniony malarz; doktor Robin, anatom, dla którego stworzono właśnie katedrę nowej nauki, *histologii*<sup>45</sup>; — drugi lekarz doktor Veyne; jeszcze kilku innych, bardziej przygodnych i zmieniających się gości, wreszcie E. i J. Goncourt, nierozłączni bracia (rozstali się w życiu tylko dwa razy, na dwadzieścia cztery godzin), melancholicy<sup>46</sup>, dość zgryźliwi, szanowani przez wszystkich, ale cierpiący od swojej niepopularności, tworzą tu skrajnie lewe skrzydło we wszystkich sporach natury estetycznej. Oczekiwany jest Turgieniew — ten większą część życia spędzi w Paryżu, przyjmowany serdecznie przez francuskich pisarzy, których potem w swoich znów niedyskrecjach „urządzi” dosyć zjadliwie. Sami mężczyźni... kobiety strzegły wówczas domowego ogniska.

Siadajmy tedy do stołu i starajmy się być inteligentni. Inaczej lepiej nie siadać. I nie gorszymy się lada czym.

## PIERWSZY OBIAD

Jeszcze się nie rozsiedli, a Sainte-Beuve już gada. Ten, ze swoją fenomenalną pamięcią i kopalnią anegdot, jest w swoim żywiole. Kogóż on nie znał, czegoż nie pamięta! Znał (powiada) w Boulogne starego bibliotekarza nazwiskiem Isnard, który byt niegdyś nauczycielem u oratorianów w Arras i miał za ucznia Robespierre’a<sup>47</sup>. Ów Isnard opowiadał mu, że jego wychowanek, będąc adwokatem z bardzo małą klientelą, ułożył poemat pt. *Sztuka spluwania i wycierania nosa*. Siostra Robespierre’a, obawiając się, aby brat nie stracił licznych klientów w razie ogłoszenia tego utworu, udała się do pana Isnard z prośbą, aby pomógł temu zapobiec. Isnard poprosił Robespierre’a o przeczytanie mu poematu i powiedział: „To bardzo, bardzo dobre, ale trzeba trochę retuszów”. Rewolucja zaskoczyła Robespierre’a wśród tych retuszów, i poemat nie ujrzał światła dziennego.

Z rewolucji Sainte-Beuve przechodzi na Micheleta. Twierdzi, że talent jego zasada się jedynie na wyolbrzymianiu drobiazów i na odwracaniu zdrowego sensu do góry nogami; że jego pracowita oryginalność zapożyczona jest z rozmów z Quinetem. Kiedy wszyscy protestują i kiedy Flaubert sławi dzieło wielkiego historyka, Sainte-Beuve wpada w istny szal, wali pięścią w stół — nie zważając na bóle w stawach — i wykrzykuje, że cała histeria książek Micheleta pochodzi stąd, że miał tylko jedną kobietę, i jest u niego zahamowaną pożądlivością, jak u księdza.

— Michelet — mówi ktoś — to historia opiumowana, narkotyczna, denerwująca...

GONCOURT: — Urok książek Micheleta, to że robią wrażenie rzeczy *pisanych ręką*. Nie mają nic banalności druku, są jakby autografem myśli...

Ale już Sainte-Beuve opuszcza Micheleta i szkicuje obraz tego, co musiała cierpieć Maria Antonina z Ludwikiem XVI, brutalem, chamem, który rzuca kamieniem na śpiącego wieśniaka, pryka w odpowiedzi jakimś dworakowi proszącemu go o szambelanie, i leżąc rano w łóżku, ciska na dygnitarzy dworu kuleczkami brudu z nóg... Na to Renan odzywa się swoim pieszczonym głosikiem, że nie trzeba być tak surowym dla „tych ludzi”.

— Królowie — powiada — nie wybierali przecież swojego rzemiosła... trzeba im darować ich mierność...

<sup>45</sup>*histologia* — nauka badająca tkanki. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*melancholicy* — „Myślę — tak piszą sami o sobie w swoim *Dzienniku* — że od początku świata nie było chyba istot tak zatopionych w rzeczach sztuki i myśli, jak my dwaj. Gdzie tego brak, tam brakuje nam czegoś, jak powietrza do oddychania. Książki, ryciny, sztychy, ograniczają nasz horyzont. Obracać kartki patrzeć — oto na czym trawimy życie. *Hic sunt tabernacula nostra*. Nic nas nie odciąga, nic nas nie odrywa. Nie mamy żadnej namiętności, które wyrrywają człowieka a biblioteki, z muzeum, z medytacji ozy kontemplacji, z sycenia się myślą, linią lub barwą. Ambicji politycznej nie znamy; miłość to dla nas, wedle określenia Chamforta, kontakt dwóch naskórków... [przypis autorski]

<sup>47</sup>*Robespierre, Maximilien de* (1758–1794) — polityk okresu Rewolucji Francuskiej, członek klubu jakobinów, zwolennik terroru. [przypis edytorski]

— Ba — mówi ktoś — trzeba też pamiętać o obyczajach epoki. Pewien starszy jegomość opowiadał mi, że za Ludwika XVI ciotkę jego mianowano damą dworu którejś z księżniczek. W dniu, w którym obejmowała obowiązki, dama, którą luzowała, spytała ją, czy już robiła *toaletę*: widząc jej zdziwienie, wyjaśniła jej znaczenie tego słowa. Każda dama, mająca służbę na dworze, brała przed objęciem obowiązków jedną, dwie, trzy lewatywy, tyle ile było trzeba, aby przez cały dzień nie mieć żadnej przeszkody w służbie...

— Cóż chcecie! do dziś jeszcze etykieta niemiecka nie pozwala wycierać nosa ani kichać przy panującym...

Tymczasem Sainte-Beuve zwierza jednemu z Goncourtów do ucha prawdziwy cel artykułu, jaki poświęca Marii Antoninie; chce, poprzez nią, wbić parę szpileczek cesarzowej...

— Historia — mruczy Goncourt do brata — jest w ogóle dla pewnych historyków tylko arsenałem szpilek...

Wchodzi, trochę spóźniony, Turgieniew, „łagodny jasnowłosy olbrzym z miną dobrodusznego geniusza z bajki, geniusza jakiej góry albo lasu”. Piękny jest z tym błękitem w oczach, z urokiem tego rosyjskiego zapiewania „które ma coś z dziecka a coś z murzyna”. Wzruszony owacyjnym przyjęciem, mówi ciekawe rzeczy o literaturze rosyjskiej, która wchodzi na drogę studium realistycznego, tak w powieści, jak w teatrze. Mówi o upodobaniu, z jakim publiczność rosyjska czytuje miesięczniki i dwutygodniki; cytuje, rumieniąc się, ogromne honoraria, jakie biorą od stronicy druku on i dziesiątek innych pisarzy. Natomiast książka rozchodzi się w Rosji słabo i nie przynosi autorowi prawie nic.

Mówi dalej, że w Rosji jest tylko jeden człowiek popularny: Dickens<sup>48</sup>; że, od roku 1830, literatura francuska straciła tam wpływ, wszystko zagarnęły powieści angielskie i amerykańskie.

GAVARNI<sup>49</sup>: — Nie lubię twarzy Dickensa. Jest w nim jakaś olbrzymia paraliżująca próżność, odbijająca się w fizjonomii.

Turgieniew wspomniał nazwisko Heinego<sup>50</sup>; kiedy zebranie wyraża głośno podziw dla niemieckiego poety, Sainte-Beuve, który powiada, że go dobrze znał, wykrzykuje, że to był łajdak, nędznik, po czym, na ogólny zgłęb wywołany tym sądem, milknie, zasłaniając rękami oczy przez cały czas, kiedy trwają pochwały.

Gautier opiewa fizyczny urok tego poety, mówiąc że za młodu był piękny jak bóg, mimo trochę żydowskiego nosa.

— To był — powiada — Apollo<sup>51</sup> skrzyżowany z Mefistem<sup>52</sup>...

— Doprawdy — wybucha Sainte-Beuve — dziwię się, że wy możecie mówić o tym człowieku. Łajdak, który wszystko, co o kimś wiedział, pakował do gazet; szarpał wszystkich swoich przyjaciół...

GAUTIER: — Przepraszam, ja byłem jego serdecznym przyjacielem i nigdy nie miałem powodu skarżyć się na niego. Mówił źle tylko o tych, których nie cenił.

— Nic bardziej uroczego — powiada ktoś — niż francuski dowcip cudzoziemców, takiego księcia de Ligne, księdza Galiani, Heinego...

— A to powiedzenie Heinego — powiada Saint Victor: — „Pytamy się, co to są gwiazdy, co to jest Bóg, co to jest życie... Zасыpują nam usta garścią gliny... ale czy to jest odpowiedź?...”

— *Aber ist das eine Antwort*<sup>53</sup>? To nie powiedzenie, to wiersz.

— Biedny Heine! Do śmierci zachował fason. Był już sparaliżowany, kiedy go odwiedził lekarz i, badając go, zapytał, czy potrafiłby gwizdnąć. Chory dał znak głową że nie: „Nawet na najlepszej sztuce Scribe’a<sup>54</sup>”, wyjąkał.

Choroba, Śmiech

<sup>48</sup>Dickens, Charles (1812–1870) — pisarz angielski, często poruszający tematykę społeczną. [przypis edytorski]  
<sup>49</sup>Gavarni, Paul — właśc. Sulpice Guillaume Chevallier (1804–1866), francuski rysownik, karykaturzysta i satyryk francuski. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Heine, Heinrich (1797–1856) — niemiecki poeta romantyczny, znany liryk, w późniejszym okresie twórczości często wypowiadający się na tematy polityczne. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Apollo (mit. gr.) — syn Zeusa i Leto, bóg słońca, sztuki i wróżbiarstwa. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Mefisto a. Mefistofeles — postać diabła z *Fausta* Goethego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>*Aber ist das eine Antwort* (niem.) — ale czy to jest odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Scribe, Eugène (1791–1861) — francuski dramaturg i librecista operowy. [przypis edytorski]



Potem Sainte-Beuve opowiada o Mussecie<sup>55</sup>. Veron prosił poetę o felieton dla swego pisma. Musset zażądał 4000 franków, twierdząc, że mu są koniecznie potrzebne. Veron wręczył mu je rano; wieczór idzie na obiad do Very'ego, widzi schody przybrane najpiękniejszymi kwiatami. Pyta, kto wydaje ucztę. Garson, z podejrzaną rozjaśnioną twarzą, powiada mu, że pan de Musset. Veron zagląda na górę, widzi cały burdel, któremu wielki poeta wyprawił ucztę za 4000 franków. Ale kiedy kobiety przyszły, Musset był już tak pijany, że usnął gdzieś w kącie...

— Wiecie, ile osób szło za trumną Musseta? Najwyżej czterdzieści. A za trumną Heinego sześć czy siedem.

Na drugim końcu stołu rozprawia Taine. Taine, ze swoim spojrzeniem kryjącym się za okularami, ze swą życzliwą uwagą, łatwym i obrazowym wysłowieniem, obfitą informacją, ma coś z owej dystynkcji<sup>56</sup>, jakiej nabywają guwernerowie w wielkich domach. Mówi o braku ruchu umysłowego na prowincji francuskiej, w porównaniu z licznymi związkami literackimi w hrabstwach angielskich i miastach niemieckich; mówi o przekrwieniu tego Paryża, który wszystko pochłania, wszystko skupia, wszystko fabrykuje; słowem, o przyszłości Francji, która w tych warunkach musi skończyć na udar mózgu... Na tę pochwałę Anglii, wygłoszoną przez Taine'a, Sainte-Beuve, powołując się na swoje urodzenie w Boulogne i na babkę Angielkę, zwierza się, że go mierzi być Francuzem:

— Ja wiem, co ktoś na to powie: że być paryżaninem, to nie znaczy być Francuzem, ale po prostu być paryżaninem; ale zawsze jest się Francuzem, to znaczy jest się niczym... Kraj, gdzie wszędzie natykasz się na policjanta...

— Tak, to straszna rzecz podróżować po Francji, będąc Francuzem. Białe mięso przy *table d'hôte* zawsze wędruje do Anglika. A czemu? Bo Anglik nie uważa garsona<sup>57</sup> za człowieka, a wszelki służący gardzi tym, który go traktuje po ludzku.

— Herzen opowiadał nam o służącym Angliku, który podziękował za służbę u Francuzów, mówiąc: „To nie są eleganccy ludzie. Nie tylko pani, ale pan mówią do mnie przy stole”.

— To przynosi zaszczyt Francji! Cechą szlachcica jest, że mówi do swego służącego; człowiek z gminu rozkazuje mu, ale do niego nie mówi.

— Ba! nasz Flaubert, kiedy pracuje, daje rozkaz służącemu, aby mówił do niego tylko w niedzielę, po to aby powiedzieć: „Proszę pana, dziś niedziela”.

— To by była ciekawa książka, tak, to by był wręcz dokument do historii Francji i ludzkości, gdyby ktoś zebrał i opisał anegdoty przywiązane do pewnych typów prowincjonalnych. Co za dziwadła, co za oryginały; tego nie znajdzie się wśród mieszczuchów paryskich. Ta świeżość, ta czystość komizmu...

— Tak, życie przelicytowuje powieść. Nikt na przykład nie wymyśliłby żony komendanta żandarmerii, układającej wierszem kazania swego wikarego.

— Znałem człowieka, który został merem, wykazawszy swemu prefektowi<sup>58</sup>, że jest jedynym człowiekiem w miasteczku, używającym chustki do nosa.

TAINÉ: — Boję się, że wpływ literacki Francji będzie wciąż malał... Od XVIII wieku mamy świetny front, ale nie mamy rezerw. Brak ruchu umysłowego na prowincji jest zastraszający.

— Dawniej prowincja nie czytała i nie miała żadnych opinii o autorach i o książkach. Dziś także nie czyta, ale ma opinie, zaczerpnięte z gazet. Żalony postęp...

— Że nie czyta, to fakt. Prowincja nie sprowadza już książek z Paryża. Mówił mi kiedyś Montalambert<sup>59</sup>, który mieszka część roku na wsi, że, kiedy przyjadą do niego sąsiedzi, częstuje ich książkami; nikt ich nie tyka.

Stolica

Pan

Grzeczność, Pozycja społeczna

<sup>55</sup>Musset, Alfred de (1810–1857) — francuski poeta; nieszczęśliwa miłość do George Sand wpłynęła na jego twórczość, np. na do pewnego stopnia autobiograficzną *Spowiedź dziecięcia wieku* z 1836 roku i liryki miłosne. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>dystynkcja — tu: dystygowany sposób bycia. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>garson (z fr. chłopiec) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>prefekt — urzędnik administracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Montalambert, Charles Forbes René de (1810–1870) — historyk i publicysta francuski. [przypis edytorski]

SAINT-VICTOR: — Ech, ja żyłem blisko z Lamartinem: wiecie, co on czytał? Wyłącznie Gibbona, *Podróż do Chin* lorda Macarthey i *Korespondencję Woltera*<sup>60</sup>; zawsze tylko te książki, i tylko po to, żeby zasnąć.

— Pewien bibliofil, który sprzedał bardzo drogo swoją bibliotekę, powiadał całkiem serio: „Zaleta moich książek, to że nigdy nie były otwierane”.

— Ja znałem człowieka, który, za pierwszego Cesarstwa, zarobił, w ciągu trzydziestu lat, cztery miliony na fabrykacji mundurów; człowiek ten nie umiał pisać; powiadał: „Zawsze się znajdzie jakiegoś idiotę, który umie czytać i pisać”.

— Ludzie ambitni na prowincji są przeważnie tylko instrumentami ambicji swoich żon: kariera męża jest niemal jedyną rozrywką, jaką tam może sobie sprokurować inteligentna kobieta.

FLAUBERT: — Żona prezydenta sądu mówiła do mnie: „Jesteśmy bardzo szczęśliwi, mąż miał tylko jedno uwolnienie podczas całej kadencji”. Pomyśleć, co się zawiera w tym zdaniu!

— Cały Balzac<sup>61</sup>...

Naraz<sup>62</sup>, nie wiadomo skąd, wszczyna się wielka dyskusja o Bogu i o religii, dyskusja, jak powiadają Goncourtowie, „zrodzona w wielkich mózgach z obfitego trawienia”. Taine tłumaczy zalety i wygody protestantyzmu dla wyższych umysłów, dzięki elastyczności dogmatu i dzięki interpretacji, jaką każdy, zgodnie z własnym temperamentem, może dać swoim wierzeniom.

— W gruncie (powiada), wszystko to jest sprawa uczucia; jestem przekonany, że natury muzykalne skłaniają się do protestantyzmu, a natury plastyczne do katolicyzmu.

Sainte-Beuve wtrąca, że pogaństwo było zrazu ładną rzeczą, ale potem zmieniło się w istną zgniliznę, syfilis. Chryścianizm był rtcia<sup>63</sup> na ten syfilis, ale za dużo jej użyto, a teraz trzeba, żeby ludzkość leczyła się z lekarstwa...

Po czym, porzucając wielkie teorie, opowiada o ambicjach swego dzieciństwa, o uczuciach, jakie budziło w nim, w Boulogne, za cesarstwa, przejście armii; o swoich marzeniach, aby zostać wojskowym.

— Istnieje tylko jedna prawdziwa sława: sława wojenna! — wykrzykuje. — Wielcy matematycy i wielcy generałowie; oto co uznaje!...

— Tak, marzeniem jego — mruknął starszy Goncourt do brata — byłoby być pułkownikiem huzarów, aby mieć dużo kobiet. A prawdziwą jego ambicją byłoby być ładnym chłopcem; ale rzadko zdarzyło im się spotkać bardziej chybione powołanie...

Wszczyna się — z powodu jakiegoś świeżego artykułu — bitwa około Woltera. Obaj Goncourtowie, mówiąc o pisarzu i nie biorąc w rachubę jego oddziaływania społeczno-politycznego, kwestionują jego wartość literacką; cytują księdza Trublet, który nazwał Woltera „tryumfem miernoty”. Przyznają mu jedynie wartość wulgaryzatora, dziennikarza — wreszcie dowcip, zgoda, ale dowcip nie wyższy od tego, jaki posiadały wszystkie inteligentne starsze damy owej epoki... Teatr Woltera? — wykrzykują — któż ośmieli się jeszcze mówić o tym! Jego historia — kłamstwo; pompatyczna i płaska parafraza najstarszego i najbardziej konwencjonalnego „dziejopisarstwa”... Jego wiedza, jego hipotezy, to pośmiewisko dzisiejszej nauki! Wreszcie, jedyne dzieło, przez które wart jest żyć, jego sławny *Kandyd*, to La Fontaine<sup>64</sup> prozą, skastrowany Rabelais<sup>65</sup>... Cóż warte te 80 tomów

Religia, Choroba

<sup>60</sup>Wolter — spolszczone: Voltaire, pseudonim François-Marie Aroueta (1694–1778), fr. pisarza i filozofa epoki oświecenia (autora m.in. powiastki filoz. *Kandyd*); zwolennika liberalizmu, krytyka wszelkich ideologii, hierarchii kościelnej i zabobonnych wierzeń (uznano go za patrona ateizmu i rewolucji). Voltaire był niezwykle wpływową osobistością swego czasu (korespondował m.in. z carycą Rosji, Katarzyną). [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Balzac, Honoré de (1879–1850) — prozaik francuski, czołowy realista, autor cyklu powieści *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>rtęć — przed wynalezieniem salwarsanu, syfilis leczono za pomocą rtęci. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>La Fontaine, Jean de (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Rabelais, François (1483–94–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; jego satyryczno-fantastyczna epopeja *Gargantua i Pantagruel* pisana w latach 1532–1564 krytykowała instytucje kościelno-feudalne, dogmaty, średniowieczną metafizykę, budując tym samym podwaliny pod nowoczesną myśl odrodzenia. [przypis edytorski]

przy *Kuzynku mistrza Rameau*, przy *To nie bajka* Diderota<sup>66</sup>, w których mieszczą się już cała powieść i nowela XIX wieku?

— Wiecie, spotkałem kuzynkę tego miłego kuzynka Rameau; to osoba, która powiadała do mnie: „Niepojęty jest ten Girardin, mam jego kilkaset listów, wszystkie kompromitujące, i on nie chce ich odkupić!”

Wszyscy wsiadają na Goncourtów, a Sainte Beuve oświadcza, że Francja nie będzie wolna, dopóki Wolter nie będzie miał pomnika na najpiękniejszym placu Paryża. I z kolei intonuje pochwałę Roussa, o którym mówi jak o pokrewnej naturze, jak o człowieku swojej rasy. Ale pochwałę tę przerywa jakiś brutal, mówiąc:

— Rousseau<sup>67</sup> to lokaj, który się bawi w kredensie swoim.....

Wobec tej ostrości słów i myśli Renan jest trochę oszołomiony. Siedzi ze swoją miną zażywnego<sup>68</sup> proboszcza, prawie milczący, ale ciekawy, pełen zainteresowania, chłonący cynizm słów niby uczciwa kobieta, która się zaawanturowała na kolacyjkę w podejrzanym towarzystwie.

Znów wraca rzecz do Boga.

— To zadziwiające — mruczy Goncourt — jak przy burgundzie mówi się zawsze o nieśmiertelności duszy.

— Tak — odpowiada Sainte-Beuve — kiedy się już nie wie, co się gada.

— Ja — rzecze Renan — admiruję Jezusa bez zastrzeżeń.

— Ależ — wykrzykuje Sainte-Beuve — w jego ewangeliach jest mnóstwo rzeczy idiotycznych. „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadają ziemię”. To nie ma sensu.

— A Sakja Muni<sup>69</sup> — wtrąca Gautier; — gdyby tak wypić zdrowie Sakja Muni?

— A Konfucjusz<sup>70</sup>? — rzekł kłós.

— Och, nudziarz.

— A czy jest coś głupszego niż Koran?

— Ba — rzekł Sainte-Beuve, pochylając się do Goncourta — trzeba wszystko poznać, a nie wierzyć w nic. Prawda jest tylko w kobiecie...

— Oczywiście, miły sceptycyzm, to jeszcze summum<sup>71</sup> człowieka. Nie wierzyć w nic, nawet w swoje wątplenie... Wszelkie przeświadczenie jest głupie jak... jak papież...

— Ja — zwierza się tymczasem Gautier doktorowi Veyne w innej materii — ja nigdy nie byłem zażarty na ten rodzaj intymnej gimnastyki... To nie znaczy, abym nie miał kwalifikacji po temu. Zrobiłem w życiu siedemnaścioro dzieci, wszystkie dość piękne... Można oglądać próbki... Ale zupełnie wystarczy załatwić się z tym raz do roku. Zachowuję przy tym najdoskonalszą zimną krew; mógłbym rozwiązywać równanie matematyczne... A wreszcie, mnie się to wydaje upokarzające, aby lada klempa mogła sobie wyobrazić, że człowiek koniecznie chce na nią wleźć...

I Gautier rozwija teorię, że człowiek nigdy nie powinien się poddać żadnemu wzruszeniu, że to jest poniżające, że nigdy nie należy dopuszczać własnej uczuciowości do swego dzieła; uczuciowość, to jest coś pośledniejszego w sztuce.

— Tę siłę, którą mam i która pozwoliła mi usunąć serce z moich książek, nabyłem przez stoicyzm mięśni. Jedna rzecz posłużyła mi za naukę. Oglądałem w pewnym majątku psy, straszliwie złe, zdolne w pięć minut ogryźć żywego osła do kosteczki; po czym pokazano mi inne psy, tchórzliwe, pełzające przed człowiekiem, liżące mu buty. „To inny gatunek?” — spytałem. — „Zupełnie ten sam; tylko tamtym daje się mięso, a tym zupkę jarzynową”. To mnie oświeciło; od tego dnia jadłem dziennie sześć funtów baraniny i chodziłem za roгатki bić się z murarzami — kończy z przekonaniem Gautier, którego pocziwość i miękkie serce są znane.

— Ale kobieta...

<sup>66</sup>Diderot, Denis (1713–1784) — myśliciel oświecenia, współtwórca *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*; teoretyk dramatu mieszczańskiego. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — francuski pisarz oraz filozof; postulował powrót do natury, odrzucal zdobycze cywilizacji, w tym pojęcie własności prywatnej; swój model człowieka idealnego, dobrego, wychowywanego w naturze przedstawił w dziele z 1762: *Emil, czyli o wychowaniu*. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>zażywny — tęgi, lecz energiczny. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Sakja Muni — przydomek Siddharthy Gautamy, czyli Buddy. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Konfucjusz (551–479 p.n.e.) — chiński filozof, nauczyciel i reformator. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>summum (łac.) — to, co największe a. najlepsze. [przypis edytorski]

— Ba, kobieta!... Ale kobieta nie płciowa, istota tak młoda, aby nie budziła cienia idei o porodzie, nic z akuszerii...

Popiera go Flaubert:

— W ogóle piękność nie jest erotyczna; piękne kobiety nie są w gruncie stworzone na to, aby je kochać konkretnie; nadają się jedynie do rzeźbienia w marmurze. Miłość, to jest coś nieuchwytnego, podniecającego, co rzadko bywa produktem piękności.

Ktoś wtrąca:

— Znacnie powiedzenie aktorki Dorval, która mówiła: „Ja nie jestem ładna, ja jestem gorzej...”

GAUTIER: — Pamiętacie Gustawa Planche?

— Krytyka z przydomkiem „okrutny”?

— Właśnie. Sekret jego okrucieństwa tkwił w tym, że on był impotent. Pewnego razu, u tej właśnie Dorval, tarzał się po podłodze i jęczał tak rozpaczliwie, że odzwierni słyszał go ze swej izdebki.

— Ktoś się dowiedział o jednym z naszych najslawniejszych autorów dramatycznych, że się stał impotentem; na co ów ktoś rzekł: „To dla niego bardzo szczęśliwie; uwolniony jest od męczarni niepewności”.

Naraz ogromny Flaubert wykrzykuje, że nigdy naprawdę nie posiadał kobiety, że jest właściwie dziewicą i że wszystkie kobiety, jakie miał, były tylko „materacem dla kobiety jego marzeń”. Przez ten czas, Nefftzer i Taine wszczęli dyskusję nad zawartością etymologiczną słowa „konkretny”.

Sainte-Beuve zaczyna długą historię, jak 24 lutego r. 1848 szedł na randkę z pewną praczką. „No tak, moi panowie, z praczką” — oświadcza mężnie. Nie mógł się dostać przez most, zapchany tłumem ludu, który krzyczał: „Niech żyje armia!”...

Soulié<sup>72</sup> przerywa mu, aby opowiedzieć, że podczas rewolucji r. 1848, ktoś, ujrawszy na moście jak pies ukąsił swego ślepcę, sprzedał wszystkie akcje, mówiąc: „To już koniec świata”...

W innym kącie stołu Renan, bardzo podniecony, miota się na pustkę poezji Chińczyków, ludów Wschodu... Przychodzi mu na odsiecz Berthelot, wielki chemik, „jegomość który rozkłada i składa pierwiastki, rodzaj Pana Boga w szlafroku”. Potem rozlega się głos tego świętego poety hipotez naukowych, jak, wśród ogólnej rozmowy, rzuca te słowa:

— Wszelkie ciało, wszelki ruch, oddziałujące chemicznie na ciała organiczne, z którymi się znalazły przez sekundę w styczności, wszystko — od czasu trwania świata — istnieje i drzemie, przechowane, sfotografowane w miliardach naturalnych klisz; i może to jest jedyny ślad naszego przejścia przez tę wieczność... Kto wie, czy pewnego dnia, wiedza, przy swoim postępie, nie odnajdzie portretu Aleksandra Wielkiego na jakiej skale, gdzie przez chwilę spoczął jego cień?...

Rozmowa zbacza na hipotezy o zaludnieniu planet. Niby wpół napełniony balon, uderza o nieskończoność, a z nieskończoności przechodzi znów na Boga. Padają formuły siłące się go określić. Przeciw plastykom i Latynom, którzy pojmują Boga — jeżeli istnieje — jedynie jako starca o ludzkiej twarzy, poczciwego Boga Michała-aniolowego z wielką brodą, Taine, Renan, Berthelot wysuwają koncepcję heglowską, ukazując w Bogu jakiś bezkresny i mglisty rozczyn, którego światy są jedynie drobinami.

I Renan, podniecony, szukając barwnego obrazu owej Wszystkości, po głębokim szukaniu w mózgowicy i po długim milczeniu wróżącym poród czegoś genialnego, Renan, najpoważniej i najuroczyściej w świecie, wśród skupionej ciszy słuchaczy, przyrównywa Boga do... zgadnijcie do czego... (powiada Goncourt) — do ostrygi i jej wegetatywnego istnienia. Och, oczywiście ostrygi bardzo wielkiego formatu...

Na to porównanie cały stół parska straszliwym śmiechem, do którego, po chwili zdumienia tym, co powiedział, Renan przyłącza się z wdziękiem.

Nie wiadomo, czy to ów śmiech *homeryczny* sprowadza rzecz na Homera<sup>73</sup>, faktem jest, że Homer znajduje się na tapecie. I oto wszyscy ci obrazoburcy Boga, niszczyciele wiary, rozplywają się — wciąż powiada Goncourt — we wstrętnym bałwochwalstwie. Wszyscy ci hiperkrytycy obwieszają jednym głosem, że był na początku ludzkości czas,

<sup>72</sup>Soulié, Eudore (1817–1876) — francuski historyk sztuki i konserwator. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Homer — autor *Iliady* i *Odysei*, żyjący prawdopodobnie ok. VIII w. p.n.e. [przypis edytorski]

kraj, dzieło, gdzie wszystko jest boskie ponad wszelką dyskusję, nawet ponad wszelkie rozważanie.

I zaczynają się rozpadać nad każdym słowem.

— Ptaki długoogoniaste! — wykrzykuje Taine z entuzjazmem.

— Morze nie rodzące winnego grona! Czy to nie piękne? — woła swoim dyszkan-tem<sup>74</sup> Sainte-Beuve.

— W gruncie to nie ma żadnego sensu — wtrąca Renan. — Istnieje pewne stowarzyszenie niemieckie, które odkryło inny wykład.

— Jaki?

— Nie pamiętam już — powiada Renan — ale cudowny!

— No i co na to panowie Goncourt, którzy pisali, że starożytność istniała tylko po to, aby profesorowie mieli z czego żyć?

Goncourt nie chce zabierać głosu, bo wie, na czym się to kończy, ale, drażniony ze wszystkich stron, odpowiada możliwie najłagodniej, że większą mu robi przyjemność czytać Wiktora Hugo niż Homera.

Na to bluźnierstwo Saint-Victor, „robiący dosłownie wrażenie furiata”, zaczął ryczeć i wyć, że to już za wiele, że tego nie można słuchać i że to jest obraza religii ludzi inteligentnych.

Goncourt odpala:

— To bardzo osobliwe, że w towarzystwie, gdzie dopuszcza się dyskusję nad wszystkim, nie ma ktoś prawa powiedzieć swojego zdania o Homerze.

Saint-Victor krzyczy, unosi się. Na to Goncourt zaczyna krzyczeć jeszcze głośniejsze, wzburzony (jak mruczy potem do sąsiada) na tego człowieka nie bez talentu ale bez zdania, który zawsze schlebia utartym mniemaniom, lecz spuszcza z tonu, kiedy mu pokazać zęby.

Sainte-Beuve, bardzo przejęty kłótnią, przyzywa Goncourta do siebie, próbuje go uspokoić, stara się załagodzić wszystko, proponując z jednej strony jego przeciwnikom założenie klubu homerystów, a jemu znów basując<sup>75</sup> z drugiej. Wszystko wreszcie uspokaja się, Saint-Victor podaje Goncourtowni rękę, którą ten przyjmuje dość opornie.

— Och, ta grekomania Saint-Victora i Flauberta! — mruczy Goncourt. — Flaubert doszedł do tego, że zachwyca się w Partenonie cudowną *białością marmuru*, który jest — powiada — „czarny jak heban”...

Ktoś rzuca ciekawe szczegóły dotyczące uczonych Y... i Z.... Niemców, którzy nie są zapewne uczeńsi od innych, ale którzy modzie germanizmu w obecnym świecie naukowym zawdzięczają fantastyczne kariery.

Ów opowiadający znał uczonego Y... biednego, skromnego, nieznanego, grającego na fortepianie na swoim poddaszu jak wszyscy Niemcy. Spotyka go później w krawacie w różowe groszki, w oszołamiającym garniturze. — „Zmieniłem się, prawda? — powiada uczonego. Ba, przekonałem się, że praca, wytrwałość, to głupstwo. Profesor Haase wytłumaczył mi, że można dojść do czegoś jedynie przez kobiety... Patrz pan na takiego L...; czym on byłby, gdyby nie kręcił się w salonach?”

Za drugim widzeniem, ten sam uczonego, spotkawszy tegoż znajomego, odciągnął go na bok i spytał nieśmiało, czy myśli, że Niemiec taki jak on może kiedy nauczyć się, wzorem Francuzów, mówić pieprzne rzeczy kobietom; że próbował, ale zawsze to wypadało za ordynarnie, robiło się świństwo niemożliwe do strawienia.

— Cóż za symptom czasu, powiada Goncourt. Nauka używająca niskich środków, aby się wybić; nauka reprezentowana przez dwóch chamów, zrodzonych w kraju prostoty, a silących się na lekkość i wdzięk francuskiego zepsucia...

— W bibliotece widziałem przechodząc człowieka, który czytał: trzymał w ręce dłoń młodej kobiety siedzącej koło niego. Wracałem tamtędy w dwie godziny później. Czytał ciągle i wciąż trzymał rękę młodej kobiety w dłoni. To było małżeństwo niemieckie.

— Nie, to były Niemcy.

— Widziałem wczoraj, idąc do biblioteki, rzecz bardzo zabawną: wielki pies, który się rzucał z wściekłym szczekaniem na wodotrysk, próbując rozszarpać strumień wody, płynący ciągle.

<sup>74</sup>dyszkan — wysoki, piskliwy głos. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>basować (daw.) — schlebiać a. przytakiwać. [przypis edytorski]

— Wspaniały symbol naszej choroby narodowej, zawiści. Miałem krewniaka, był bardzo bogaty i bardzo skąpy: otóż, byłby swego czasu grubo zapłacił, aby widzieć upadek Lamartine'a, którego wcale nie znał.

— Pański krewniak był po prostu wyrazicielem wielkiej burżuazji francuskiej, której sprawiają cierpienia dzieła stworzone przez poetę, zwycięstwa generałów, odkrycia uczonego. Doprawdy, można by rzec, że wszelka sława, jaka się skupi we Francji dokoła nazwiska Francuza, wyrządza krzywdę każdemu Francuzowi, każdy żółknie po trosze.

— Tak. Gdyby nie było żandarmów, wszelkiego człowieka mającego trochę rozgłosu rozszarpano by na ulicy w biały dzień...

Z kolei doktor Robin opowiada szczegóły doświadczeń na skazańcach, na ciałach ludzi bez głowy, którzy w trzy kwadransy po śmierci podnoszą rękę jak żywi do piersi w miejsce, gdzie ich uszczypnąć; — i wiele innych doświadczeń, przemawiających za autonomią mózgu i serca. Ale już rozmowa przeskakuje na Balzaka. Sainte-Beuve atakuje wielkiego powieściopisarza:

— Balzac nie jest prawdziwy... — to człowiek genialny, zgoda, ale to monstrum!

— Ależ my wszyscy jesteśmy monstra! — odpala Gautier. — Zatem kto odmalował nasze czasy? Gdzie odnajdziemy nasze społeczeństwo, w czyjej książce, jeżeli nie u Balzaka? Może w powieściach pani Sand<sup>76</sup>?

— Pokażcie mi cokolwiek, czego by nie było w Balzaku! — woła ktoś.

— Mój Boże — szepce Renan do jednego z Goncourtów — mnie się pani Sand wydaje dużo prawdziwsza od Balzaka. Tak, tak, u niej namiętności są bardziej ogólnoludzkie...

— A przy tym u Balzaka ten styl! — krzywi się Sainte-Beuve — jakie to wymęczone, pokręcone...

— Panowie — obstaje Renan — za trzysta lat będą czytali panią Sand.

— Ależ taki Hulot — krzyczy Nefftzer — to ludzkie, to wspaniałe!

— Piękno to prostota — odpowiada Saint-Victor. — nie ma nic piękniejszego nad uczucia Homera, są wiecznie młode... Weźmy Andromakę<sup>77</sup>, to bardziej interesujące niż pani Marneffe!

— Nie dla mnie — odpowiada Edmund Goncourt.

— Znowu!!

— Pański Homer maluje jedynie cierpienia fizyczne. Malować cierpienia moralne — oto sztuka! Mam być szczerzy? Najmniejszy romans psychologiczny bardziej mnie bierze niż cały pański Homer... Tak, z większą pasją czytam *Adolfa* niż *Iliadę*.

— Można oknem wyskoczyć, kiedy się słyszy takie rzeczy — ryczy znów Saint-Victor. Trzęsie się i bełkoce:

— To absurd... Jak można... Grecy są poza dyskusją. Wszystko u nich jest boskie...

A Goncourt znów do sąsiada: — Można przeczyć istnieniu Boga, kwestionować pałę, pyskować na wszystko, ale Homer!... To osobliwa rzecz, te religie w literaturze...

GAUTIER: — Kto z nas zna Homera?... Homera trzeba czytać po grecku. To bardzo dzikie.

Renan powiada, że pracuje nad tym, aby usunąć ze swojej nowej książki wszelki styl dziennikarski; próbuje pisać prawdziwym językiem XVIII wieku, językiem ostatecznym, który starczy na oddanie wszystkich uczuć.

— Źle pan robi i nie osiągnie pan tego — powiada Gautier. — Pokażę panu w pańskiej książce setkę słów, które nie będą z XVII wieku. Ma pan nowe myśli, nieprawdaż; dla nowych myśli trzeba nowych słów!... Może tamtym ludziom wystarczały słowa, które mieli, zgoda. Nie wiedzieli nic, nie znali nic, trochę łaciny i trochę greki. Ani litery ze sztuki. Czyż nie nazywali Rafaela „Mignardem swoich czasów”? Ani słowa z historii. Ani słowa z archeologii. Zobacz pan we wtorek mój felieton o Baudrym: niech go pan spróbuje sporządzić słownikiem XVII wieku!

<sup>76</sup> Sand, George (1804–1876) — francuska powieściopisarka; publikowała pod męskim pseudonimem; początkowo pisała w duchu romantycznej egzaltacji, później poruszała tematy społeczne, postulując obronę niższych warstw m.in. w *Grzechu pana Antoniego* z 1847 roku; przez pewien czas pozostawała w związku z Chopinem. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> Andromacha — w *Iliadzie* żona Hektora. [przypis edytorski]

RENAN: — Wiecie panowie, pani Sand chce coś napisać o synu Jana Jakuba Rousseau w czasie Rewolucji... To będzie ujęte bardzo szlachetnie... Cała przejęta jest swoim tematem... Miałem od niej w ubiegłym tygodniu trzy listy... To wspaniała organizacja artystyczna!

SOULIÉ: — E, jest już jakiś wodewil o dzieciach Roussa...

RENAN: — Pani Sand to największa artystka naszych czasów, talent najprawdziwszy!

CAŁY STÓŁ: — Och!... Ach!... Och!... Ach!...

RENAN: — Przez „prawdziwy” nie rozumiem realizmu.

SAINTE-BEUVE: — Pijmy. Ja piję. No, dalej, panie Scherer. Zdrowie naszego Hugo!

TAINÉ: — Hugo? Hugo nie jest szczery... Taki Musset...

SAINTE-BEUVE: — Jak to, Taine, pan stawiasz Musseta ponad Wiktora Hugo?! Ależ Hugo to fenomen! Skradł pod nosem temu rządowi, który jest przecież wszechmocny, największy sukces naszych czasów — popularność... Książka jego wyczerpana jest od ósmej rano do dwunastej w południe. Wniknął wszędzie: kobiety, lud, wszyscy go czytali. A ja? Kiedy przeczytałem jego *Ody i ballady*, pobiegłem zanieść mu wszystkie swoje wiersze... Panowie z *Globu* nazywają go barbarzyńcą... Otóż wszystko, co zrobiłem, jemu zawdzięczam. W ciągu dziesięciu lat panowie saint-simoniści z *Globu* nie nauczyli mnie nic...

— Ależ, panie Sainte-Beuve, niedawno pamiętamy, jak się pan miotał jak wściekły na samo jego nazwisko, mówiąc że Hugo to jest szarlatan, że to jest pierwszy spekulant literacki! Mówił pan...

— Mówiłem, mówiłem, różne się rzeczy mówi i zawsze się ma trochę racji... Krytyka, to mówić to co człowiekowi przejdzie przez głowę... tylko tyle. Ale cóż, to on nauczył mnie pisać wiersze... Bajeczny temperament. Jego fryzjer mówił mi, że u niego włosy na brodzie są trzy razy grubsze niż u każdego innego, że się na nich każda brzytwa szczyrbi. Bajeczny temperament.

SAINT-VICTOR: — Wszyscy jesteśmy z niego.

TAINÉ: — Pozwólcie, panowie, Hugo jest to olbrzymi ewenement naszych czasów, ale...

SAINTE-BEUVE, *bardzo podniecony*: — Niech pan nie mówi o Wiktorze Hugo. Nie zna go pan. Jest tu nas tylko dwóch, którzy go znamy: Gautier i ja. To, co stworzył Hugo, jest wspaniałe!

TAINÉ: — To jest, jeżeli się nie mylę, to co wy dziś nazywacie poezją: odmalować drzewo, wieżę, niebo; słowem, pokazać rzeczy. Dla mnie to nie jest poezja, to jest malarstwo.

GAUTIER: — Zdaje mi się, że pan popadasz w idiotyzm filistrów<sup>78</sup>. Żądać od poezji sentymentalizmu... nonsens! Słowa promieniste, słowa nasyczone światłem — oto co jest poezja... Poezja nie ma dowodzić niczego... Nic, tylko słowa.

— Hugo to przykład, jak wspaniałą rzeczą jest oddalenie dla żyjącej sławy. Wolter w Ferney, Hugo w Jersey, dwie samotnie, które rymują się i tworzą jakby echo. Dla genialnego lub choćby utalentowanego człowieka pokazywać się, znaczy się pomniejszać.

— Hugo znosi wygnanie zupełnie obojętnie; nie uznaje, aby ojczyzna to była tylko ziemia. Powtarza: „Ojczyzna, co to jest? Idea. Cóż to jest Paryż? Nie potrzebuję go. Paryż to ulica Rivoli, a ja nie cierpię ulicy Rivoli”.

— Cóż to za żelazna siła! Kąpie się w morzu dwa razy dziennie, chodzi goło, wstaje o trzeciej, pracuje ciągiem do południa...

— Wiecie, że Hugo nigdy nie chorował?

Ktoś wspomniał wielką batalię dokoła *Hernaniego*<sup>79</sup>. Gautier oświadcza, że na premierze *Hernaniego* miał nie czerwoną kamizelkę, ale różowy kaftan. Kiedy cały stół się śmieje, on dodaje:

<sup>78</sup>filister (pogardl.) — mieszczuch o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Hernani* — dramat Wiktora Hugo (1829); jego wystawienie w teatrze stało się pretekstem do gwałtownego sporu między klasykami a romantykami, określanego jako „bitwa o *Hernaniego*”. [przypis edytorski]

— Ależ to bardzo ważne. Czerwona kamizelka wyrażałaby republikanizm, a nie było nic podobnego. Byliśmy tylko średniowieczni. Wszyscy, Hugo także. Republikanin? Ani wiedzieliśmy co to takiego. Jeden Petrus Borel był republikanin.

I znów, przy likierze, rzecz schodzi na kobiety...

TAINÉ: — Na przykład Angielki...

SAINTE-BEUVE: — Och, mówmy o Francuzkach... nie ma nic bardziej uroczonego. Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć kobiet... to rozkoszne... I powiedzieć, że przed pierwszym można mieć mnóstwo takich uroczych... za bezcen... tych nieszczęśliwych... Bo zarobki kobiet... nędza! Oto rzecz, o której tacy ludzie jak pan Thiers<sup>80</sup> nigdy nie pomyślą... Trzeba od tej strony przebudować ustrój... To są kwestie...

SAINT-VICTOR: — Nie ma sposobu dla kobiety utrzymać się. Mała X... z *Gymnase*, która ma cztery tysiące franków rocznie, mówiła mi wczoraj...

GAUTIER: — Prostyucja jest naturalnym stanem kobiety. Rzekłem.

KTOŚ: — W gruciu rzeczy, Malthus<sup>81</sup>...

DOKTÓR VEYNE: — Malthus to ohyda.

BERTHELOT: — Nie tylko Francja ma najmniej dzieci, ale do tego ma najwięcej starców. W cyfrach wynosi to mniej więcej 100 w stosunku do 58 w Prusach.

TAINÉ: — Ależ zdaje mi się, że powinno się mieć dzieci jedynie wówczas, kiedy im można zapewnić byt... Młode dziewczęta, które jadą na guwernantki do Rosji, to okropne!

KTOŚ: — Niech żyją bezpłodne żony i kochanki!

SAINT-VICTOR: — Ależ natura, wielki grecki PAN<sup>82</sup>!...

GAVARNI, *nagle*: — Czy zauważyliście, że nigdy dziewczica, młoda czy stara, nie wydała nic w sztuce?

Rozmowa staje się bezładna.

— Dużo się ludzie żenią w tym roku.

— Zwłaszcza mężczyźni.

— Idiota.

— Słuchajcie, sentencja. Społeczeństwa zaczynają od wielożeństwa, a kończą na wielomęstwie.

— Powiem wam ładne słówko podmiejskiego restauratora. Ktoś mówił mu: „Tak, w lecie pan zarabia, ale w zimie nie ma nic. — W zimie, proszę pana, mamy wiarołomstwa”.

— Dzisiejsze małżeństwo bez zalotów, bez flirtu, brutalne, cyniczne, to prosty gwałt w obliczu pana mera, z aprobatą rodziców.

— Mówiono gdzieś o gałęzi pewnej rodziny, popadłej niemal w ubóstwo; na to, pani domu wykrzyknęła: „Pojmuje pan, ludzie, którzy od pięciu pokoleń żenią się z miłości!”...

— Rzecz ciekawa, że tego, co mężczyzna kupuje za sto tysięcy franków u kobiety, która sprzedaje mu swoje ciało, mianowicie piękności, nie ceni ani na dziesięć tysięcy u tej, którą bierze za żonę i która wnosi mu w dodatku posag...

SAINTE-BEUVE: — Małżeństwo to instytucja skazana na śmierć: niedługo w ogóle nie będzie istniało.

— Nic lepszego, niż stosunki czysto fizyczne, połączone z prawdziwą koleżeńską przyjaźnią — z kochanką.

— Pewien ksiądz, mój znajomy, powiedział żonie, której mąż zaczynał dla niej stygnąć: „Widzisz, moje dziecko, trzeba, żeby uczciwa kobieta miała leciutki zapaszek kokoty”...

— A to powiedzenie pewnego proboszcza o osobie, która rodzi co rok: „Ta kobieta to jak konfesjonał, zawsze pełno ludzi”.

SAINTE-BEUVE: — Sprzedają co rok prawo własności małego tomiku. To mi pozwala dawać coś nie coś kobietom... około nowego Roku. Są takie milusie, że nie można, doprawdy...

Tu Sainte-Beuve, rozgrzany wspomnieniami, robi sobie kolczyki z pęków czereśni. Efekt!

<sup>80</sup>Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>Malthus, Thomas (1766–1834) — duchowny i ekonomista angielski, jako pierwszy rozważał kwestię przeludnienia. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Pan (mit. gr.) — bóg pasterzy, przedstawiany z kozłimi nogami. [przypis edytorski]



NEFFTZER, *do Gautiera*: — Popeniłeś dziś bezceństwo. Zareklamowałeś w swoim felietonie w „Monitorze” sztukę Racine’a<sup>83</sup>.

GAUTIER: — Ano cóż, mój minister ma tego ćwieka, że wierzy w arcydzieła. Musiałem nagryzmolić recenzję z *Fedry*... Zresztą nie rzekłem ani jednego pochwalnego słówka o Racinie, o tym człowieku, który robił wiersze jak prosię.

GONCOURT: — W gruncie rzeczy, Racine<sup>84</sup> i Corneille<sup>85</sup> zawsze tylko aranżowali wierszem sztuki greckie, łacińskie, hiszpańskie. Sami z siebie nic nie wymyślili, nic nie stworzyli.

SCHERER, *przerażony, patrząc wkoło przez binokle*: — Panowie, wasza nietolerancja... wasza ekskluzywność... Ostatecznie, jakieś kryteria... Trzeba zwalczać formowanie sądów instynktem. Gust to jest nic. Jedynie zasada, przede wszystkim zasada....

KTOŚ: — Do czarta z zasadą; nic tylko smak, gust, węch, nos...

Zgiełk. Wśród zgiełku słychać śpiewny głos Gautiera, który, nie zważając na tok dyskusji, powtarza: — Ja jestem silny. Podnoszę jedną ręką itd.

Taine zmienia temat, intonując z jakiejś okazji pochwałę mieszczaństwa.

GAUTIER: — Mieszczaństwo! Burżuazja! W mieszczaństwie dzieją się potworne rzeczy. Znam sporo rodzin... Oczy sobie trzeba zasłaniać... Lesbos, to rzecz normalna; kazirodztwo nie wychodzi z domu, a sodomia...

TAINÉ: — Ależ i ja znam dobrze mieszczaństwo, jestem z rodziny mieszczańskiej. A przede wszystkim co pan rozumie pod mieszczaństwem czy burżuazją?

GAUTIER: — Ludzi, którzy mają piętnaście lub dwadzieścia tysięcy franków renty i nie robią nic.

TAINÉ: — No więc, zacytuję panu trzydzieści kobiet z tej sfery, które znam i które są cnotliwe.

KTOŚ: — Co pan wie o tym, panie Taine, w takich rzeczach sam Bóg nie ma pewności...

TAINÉ: — O, na przykład w Angers kobiety są pod takim dozorem, że nie ma ani jednej, o której by mówiono coś złego.

SAINT-VICTOR: — Ba, w Angers, ależ tam sami pедераści! Czytaj pan świeże procesy...

Poziom rozmowy obniża się wydatnie. Wielki czas, aby rozwiązać zebranie.

Kiedy wszyscy wstają aby się rozejść, Gautier podchodzi do Scherera, osobistości najbardziej niemej, i powiada: — No, panie Scherer, mam nadzieję, że za najbliższym razem pan się skompromituje, bo my się kompromitujemy tu wszyscy; nie uchodzi, aby pan się przyglądał nam na chłodno...

KTOŚ: — Nie wydziwiał, Théo, i tak nasz obiad jest jednym z ostatnich schronień wolności słowa i myśli...

## DRUGI OBIAD

Wszczyzna się rozmowa dokoła świeżej książki, poświęconej rewolucji francuskiej. Goncourt zżyma się:

— Och! ta „wielka” rewolucja... Kiedy się bada dokumenty epoki, mdłości zbierają; ale więcej tam jeszcze błazeństwa niż zbrodni. Ta kałuża mordów cuchnie głupotą. Darmo rewolucja straszy nas grozą, jest przede wszystkim głupia. Odbierzcie tym wielkim ludziom, Robespierre’owi, Maratowi<sup>86</sup>, nimb katów, jeden będzie nudnym bakalarzem, drugi poczwarnym obłąkańcem...

SAINTE-BEUVE: — Wiecie, ile Marat miał po śmierci ołtarzy i nagrobków? Czterdzieści tysięcy.

<sup>83</sup>Racine, Jean (1639–1699) — francuski poeta i dramaturg; odniósł sukces *Andromachą* z 1667 roku. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Racine, Jean (1639–1699) — francuski poeta i dramaturg; odniósł sukces *Andromachą* z 1667 roku. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Corneille, Pierre (1606–1684) — ojciec tragedii francuskiej, który doprowadził do odrodzenia teatru, przywrócenia antycznej zasady trzech jedności; jego największe dzieła to *Cyd* (1636) i *Andromeda* (1650). [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Marat, Jean-Paul (1743–1793) — polityk z okresu Rewolucji Francuskiej, zabity przez Charlotte Corday. [przypis edytorski]

— Pomyśleć, że taki Carrier<sup>87</sup> mógł zakatrupić tysiące osób, które miały ojców, braci, synów, żony, i że nikt z tych, co zostali, nawet nie próbował go zgładzić! Smutna miara ludzkich przywiązań. Szczególna rzecz: jeden był wypadek zabicia kata — ręką kobiety, Szarloty Corday<sup>88</sup> — a i w tym wypadku ręką kierowała głowa, nie serce.

— Jedno wielkie świństwo. A taki Mirabeau<sup>89</sup>, alboż nie kupiono go po prostu? Nie krzyczcie, nie protestujcie: czytajcie korespondencję pana de Bacourt.

SAINTE-BEUVE, *podniecony*: — To Ludwik XVI<sup>90</sup> był świnią i wart był gilotyny za to, że handlował sumieniem człowieka genialnego jak Mirabeau<sup>91</sup>.

— Tak, tak, Mirabeau nie podlega drobnomieszczańskim regułom uczciwości.

GONCOURT, *podniecony*: — Ależ panowie, w takim razie nie ma już moralności ani sprawiedliwości w historii, jeżeli macie dwie miary i dwie wagi, jedną dla geniuszów, drugą dla mizeraków. Sądzę, że potomność będzie demokratyczniejsza od was.

SAINTE-BEUVE: — Potomność to jest pięćdziesiąt lat. Potomność to ludzie, którzy znali kogoś, którzy mówią o nim, opowiadają...

— Tak, póki jest jeszcze ciepły — odpowiada Goncourt i szepce do brata: „To niby znaczy, że potomność to on”.

JULIUSZ GONCOURT: — Odbierzcie rewolucji krew, a słowa: „Nie, to za głupie!”, wciąż będą wam się cisnęły na usta wobec tej sterty kanibalskich niedorzeczności i ludożerczej retoryki. Trzeba studiować te dokumenty jak myśmy je studiowali. aby uwierzyć, że to się zdarzyło we Francji niespełna przed stu laty: krwawa dyktatura tała-lajstwa, fagasów, lokajów, zawiści, denuncjacji...

— Och! och! och!

— Ależ tak! I co za obłuda, ileż kłamstwa w tej rewolucji. Napisy, mury, przemówienia, historia, wszystko w tej epoce kłamie. Co za książka byłaby do napisania pod tytułem: *Blagi rewolucji*. Bo gdzież jest sąd oparty na prawdziwej prawdzie? Czy jest jeden fakt, którego by patriotyzm, partyjne nienawiści, dziennikarstwo nie zmieniły w legendę? Czy wie kto z tych, którzy powtarzają katarynkę o zdobyciu Bastylji, ilu więźniów wróciły światu te straszliwe lochy? Trzech czy czterech....

— Powiedźcie to staremu Michelet.

— Świeżo był u państwa Michelet bal, gdzie kobiety wystąpiły przebrane za uciśnione narody: za Polskę, Węgry, Wenecję...

— Tańczyły przysze rewolucje Europy...

GONCOURT: — Kiedyś byliśmy w Trianon obejrzeć zaciszę królowej Marii Antoniny. Więc to jest owa zabawka, z której zrobiono kamień oskarżenia przeciw biednej kobiecie! Ależ najmizerniejszy finansista robił większe zbytki...

— Cóż chcecie, lud nie rozumuje.

— Kiedy rozumuje, jest jeszcze gorzej...

— Od roku 1789 Państwo okazało się diabło zachłanne... Pytam się czasem, czy, pod mianem wszechwładzy Państwa, przyszłość nie gotuje nam despotyzmu biurokracji, tyranii gorszej od jakiegos Ludwika XIV<sup>92</sup>...

— Wielkie niebezpieczeństwo dzisiejszego społeczeństwa to oświata. Wszelka kobieta z ludu chce dać, i daje — wypruwając sobie żyły! — dzieciom wyższe wykształcenie, którego sama nie miała, ortografię, której nie zna. Z tego szалу niższych warstw, aby windować dzieci wyżej siebie, aby je podnosić nad swój poziom — tak jak się podnosi na rękach brzdąców podczas ogniów sztucznych — rodzi się Francja gryziórków i biu-

<sup>87</sup>Carrier, Jean Baptiste (1745–1794) — polityk z okresu Rewolucji Francuskiej, wslawiony okrucieństwem podczas pacyfikacji powstania w Wandei. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Corday, Marie Anne Charlotte de (1768–1793) — morderczyni Jean-Paula Marata, polityka z okresu Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Mirabeau, Honoré Gabriel Riqueti (1749–1791) — polityk i pisarz z czasów Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Ludwik XVI (1754–1793) — król Francji z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Mirabeau, Honoré Gabriel Riqueti (1749–1791) — polityk i pisarz z czasów Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji z dynastii Burbonów, zwolennik absolutyzmu, określany jako Król Słońce. [przypis edytorski]

rokratów, w której — skoro robotnik nie wydaje robotnika, ani rolnik rolnika — nie będzie niebawem rąk do grubszej roboty.

— Znałem studenta medycyny, który się stykał z mętami społeczeństwa, a interesował się tatuażem. Przytaczał mi osobliwe tatuże, na przykład *Wolność, równość, braterstwo* na brzuchu prostytutki, a na czole galernika: *Trzeba mieć pecha*.

— Równość! oto słowo wypisane dziś na czele naszego kodeksu, na czele wszystkich instytucji. A czy może być okropniejsza, niesprawiedliwsza, bardziej krzycząca nierówność, niż nierówność służby wojskowej? Miej dwa tysiące franków, posyłasz kogoś, aby zginął za ciebie; nie miej ich, jesteś mięsem armatnim.

— Nic w tym świecie nie jest jednakie i nic nie jest równe. Przywilej powinien być absolutną regułą społeczeństw. Nierówność jest prawem naturalnym, równość najokropniejszą z niesprawiedliwości.

— Ba, republika, kłamstwo powszechnego braterstwa, oto najbardziej antynaturalna z utopii. Człowiek może kochać jedynie istotę, z którą się styka, albo którą posiada...

— Niechby wreszcie i republika, ale taka, która by skupiła naprawdę najtęższe głowy, a nie republika złożona wyłącznie ze wszystkich miernot i wszystkich ciurów skrajnej lewicy... Albo monarchia, ale złagodzona zmysłem filozoficznym.

— Rzecz szczególna, że po rewolucji, przy upadku autorytetu monarchii w całej Europie, przy rosnącym udziale mas w rządzie, nigdy nie było większych przykładów despotyzmu jednostki. Weźcie Napoleona III i Bismarcka<sup>93</sup>.

KTOŚ, *pótgłosem*: — Dyrektor miejsca kąpielowego powiadał mi, że sprzedaje się krzesła, na których usiadł cesarz. Więc są ludzie, którzy ubóstwiają miejsce jego hemoroidów<sup>94</sup>! I my drwimy jeszcze z ludów, które oddają cześć ekskrementom Wielkiego Lamy.

— W historii ludzkości są tylko dwa wielkie prądy: nikczemność, która stwarza konserwatystów, i zawiść, która stwarza rewolucjonistów.

GONCOURT: — Chciałbym społeczeństwa, które by było arystokracją, ale arystokracją talentów, otwartą dla ludu, rekrutującą się szeroko z inteligencji robotniczych. Marzyłbym o takim rządzie, który by się starał zabić nędzę, skasował wspólny dół nędzarzy, uchwalił bezpłatny wymiar sprawiedliwości, mianował adwokatów dla ubogich, opłacanych jedynie zaszczytem, stworzył równość wobec Boga, bezpłatność chrztu, małżeństwa, pogrzebu, który by dał w szpitalu wspaniałą gościnę chorym, który by stworzył ministerstwo cierpienia publicznego.

SAINTE-BEUVE: — Ach, ta ohyda naszych przedmieść! Nie pojmuję, jak można nie być na tronie św. Wincentym á Paulo<sup>95</sup> albo Józefem II.

— Uzdrowić to wszystko, to byłby początek — powtarza Sainte-Beuve kilkakrotnie, po czym z tych filozoficznych i humanitarnych wyżyn schodzi szybko na rozmowę o dziewczętach z ludu, które — powiada — studiował gruntownie i które mają w wieku dojrzewania dwa lub trzy lata dzikiego wieku, szła tańca i miłostek, puszczają się na całego, po czym robią się z nich stateczne żony i gospodynie.

— Trafne spostrzeżenie.

— Ba! Kompetencja Sainte-Beuve'a w tej materii...

— Cała lista opozycji przeszła w Paryżu. Pomyśleć, że, gdyby cała Francja była tak oświecona jak Paryż, byłibyśmy narodem nie do rządzenia. W gruncie, każdy rząd, który stara się o zmniejszenie ciemnoty, dąży do swego upadku.

— Wszystkie arystokracje skazane są na zagładę. Arystokracja talentu zginie przez dziennik, który rozrząda sławą i rozdaje ją tylko swoim, organizując rodzaj literackiej demokracji, gdzie naczelne role przypadną reporterom i kuchmistrzom dzienników. To jedyni literaci, jakich Francja będzie znała za pięćdziesiąt lat.

— W dniu, w którym wszyscy mężczyźni będą umieli czytać, a wszystkie kobiety będą grały na fortepianie, dożyjemy końca społeczeństwa.

Władza, Nauka

<sup>93</sup> *Bismarck, Otto von* (1815–1898) — kanclerz Rzeszy Niemieckiej, przywódca obszarników pruskich, dokonał zjednoczenia Niemiec (1871); zwalczał ruch socjalistyczny; prowadził politykę antypolską. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *hemoroidy* — choroba odbytnicy. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *Wincenty á Paulo* (1581–1660) — święty Kościoła Katolickiego, ksiądz, założyciel zgromadzeń lazarystów i szarytek. [przypis edytorski]

— Zacytuj jeszcze testament kardynała Richelieu<sup>96</sup>: „Jak ciało, które by miało oczy na wszystkich członkach, byłoby potworne, tak potworne byłoby państwo, w którym wszyscy poddani byliby oświeceni. Byłoby w nim równie mało posłuchu, jak wiele zarozumienia i dumy”...

— Wiem o młodym proletariuszu, który rzucił posadę w sklepie, powiadając, że to jest fach, w którym „nigdy o człowieku nie mówią”. Boję się o przyszłość epoki, w której wszyscy zapragną kariery próżności i rozgłosu.

— Kiedy ktoś ośmielił się spytać na ulicy krawca Armand, co się dzieje z garniturem zamówionym przed dwoma tygodniami, ów odparł: „Niech mi pan nigdy nie mówić o ubraniach na ulicy, jestem krawcem tylko w magazynie”.

— Synteza dzisiejszego mieszcza: człowiek, który się kazał wymalować w mundurze gwardzisty narodowego — w balonie!

— Wiecie, znam subiekta<sup>97</sup> opłacanego bardzo drogo, za to, aby udawał ustami świst nowego jedwabiu rozwijając farbowane wstążki.

— Ktoś mówił, że to, co można by nazwać polem moralnym robotnika, zależy od schludności jego rzemiosła. Nie ma robotnika kulturalniejszego niż cieśla, który może pracować w białej koszuli; nie ma większego bydlęcia niż farbiarz.

TAINE: — Wszystko kandydaci na wyborców! Wybory, powszechne głosowanie, plebiscyty! Po tylu wiekach, po tak długiej edukacji ludzkości, wrócić do barbarzyństwa liczby, do zwycięskiej głupoty ślepych mas!

— Chcecie cyfry, która oświecła zbytek i nędzę Paryża? Co zimę, zastawia się w lombardzie trzy tysiące amazonek.

— Aubryet opowiadał mi, że wczoraj na ulicy siedmio- czy ośmioletnia dziewczynka stręczyła mu swoją czternastoletnią siostrę i ofiarowała się, że będzie chuchała na szybę w dorożce, tak że policjant nic nie zobaczy.

SOULIÉ: — To wielka błaga melodramatów, owa „dziewczyna z ludu”, skorumpowana przez bogatych mieszczań: w istocie zawsze prawie zhańbiona jest przez kogoś z bliskiej rodziny.

— Byłem niedawno w gabinecie dyrektora policji. Czy wyobrażacie sobie, że ten gabinet, powiernik tylu straszliwych rzeczy, pełen jest pikantnych obrazków, wyzywających nagości, które pokrywają nie tylko okropną urzędową tapetę, ale rozkładają się po krzesłach, fotelach, na biurku... „Tak, tak — powiada dyrektor — kiedy się widzi cały dzień same brzydkie rzeczy, człowiek musi od czasu do czasu spojrzeć na coś przyjemniejszego”.

— Nie mów nic na policję. Czy chcesz wojny? Powiedział nie pamiętam kto: „Kiedy Francja ma ochotę bić policję, wszelki inteligentny rząd powinien jej dać sposobność bicia sąsiadów”.

— Uważaliście, że, kiedy się wpuści do rządu członka Towarzystwa geograficznego, wojna jest murowana?

— Zastanawiałem się, w jaki sposób zrodziły się na świecie organy sprawiedliwości. Przechodziłem dziś nad Sekwaną, chłopcy bawili się. Największy rzekł: „Trzeba zrobić sąd. Ja będę sądem”.

— A ta sprawiedliwość, która ma dwa stopnie: idiotyzm, niedorzeczność! Sprawiedliwość powinna być nieomylna jak papież. Czytałem w tych dniach wyrok apelacji, który skasował i zdyskredytował najzupełniej wyrok pierwszej instancji.

— Wiecie co, gdyby tak ksiądz Galiani<sup>98</sup> wrócił na świat, wiecie co by powiedział?

— Ksiądz Galiani, ten z osiemnastego wieku, ozdoba salonów?

— No?

— Powiedziałby: „Szukam człowieka, który by nie robił sobie kariery z tego, że kocha swoich bliźnich, który by nie zakładał szpitali, nie interesował się nędzarzami, nie rozdawał bonów do łaźni, nie był członkiem towarzystwa jakiejś opieki nad czymś, który by nie wygłaszał ani nie pisał tyrad<sup>99</sup> na rzecz nieszczęśliwych, biednych, cierpiących istot, naznaczonych nędzą lub hańbą; człowieka, który by nie był dobry; słowem, szukam

<sup>96</sup> Richelieu, *Armand-Jean du Plessis de* (1585–1642) — francuski książę, kardynał, od 1624 roku pierwszy minister Francji. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> Galiani, *Ferdinando* (1728–1787) — duchowny, polityk i ekonomista włoski. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> tyrada — patetyczny bądź gniewny monolog. [przypis edytorski]

egoisty; tak, na miłość Boga, wołam o takiego, chciałbym spotkać choć jednego; niech będzie cyniczny, brutalny, szczerzy”...

— Pomiędzy pisarzami nie było nigdy zucha, który by oświadczył, że ma moralność i niemoralność gdzieś, że troszczy się jedynie o to, aby stworzyć piękną ludzką rzecz, i że, gdyby niemoralność mogła cośkolwiek przydać jego dziełu, rzuciłby ją publice śmiało, bez kłamstwa, bez obłudnego głoszenia, że popełnia niemoralność w celu moralnym, bez względu na krzyki, jakie by to mogło wywołać u cnotliwych dziennikarzy konserwatywnych albo republikańskich.

— Błaga! Błaga! Błaga! To znamię dzisiejszych czasów. Dostaję szumny prospekt o postępkach wioślarstwa. To już nie jest przyjemność, rozrywka, ćwiczenie, słowem wioślarzka; nie, to „sport nautyczny”, instytucja społeczna, która ma swoich prezesów, sekretarzy, która płodzi mówki na regatach. Słowem, ludzie, którzy chcą przez stowarzyszenie wybić się, zdobyć przy pomocy wioślarstwa odznaczenia, zrobić coś w rodzaju kariery...

— Wioślarstwo! Ba! Ależ dziś zrobiono ze wszystkiego środek kariery. Filantropia<sup>100</sup>, ogrodnictwo, wszystko jest kariera. Czytam w dzienniku, że stworzono jury dla jedzenia ostrzyg. Myślicie, że kandydatom chodzi jedynie o patent na smakosza? Gdzie tam! On chce tą drogą załapać posadę, albo co najmniej dostać Legię Honorową.

— Im dłużej się żyje, tym bardziej się widzi, że w naszym świecie lekko traktuje się jedynie rzeczy poważne, a serio jedynie rzeczy błahe.

— Na przykład taniec. Czy obserwowaliście dzisiejsze bale publiczne? Cóż za obrządki! Jest obecnie w Paryżu czterech renomowanych tancerzy. Najślawniejszy nazywa się Dodoche i jest handlarzem papieru. Drugi jest rzeźbiarzem, trzeci kamieniarzem, czwarty urzędnikiem zakładu pogrzebowego...

— Taniec szkieletów!

— Ci tancerze mają taką reputację, że dla reklamy, za zaszczyt tańczenia z nimi na reducie<sup>101</sup>, kobiety płacą im po pięć franków od jednego tańca. Prawda, że odbijają to sobie: świeżo utarł się obyczaj, że kobiety chodzą żebrać do łóż pierwszego piętra, do łóż ambasad, tak że sobie ciulają w ciągu nocy do dwustu franków.

GAVARNI<sup>102</sup>: — To już nie nasze dawne bale Chicarda! Ten znał się na swoim fachu, miał oko. Mogła tam wejść każda kobieta, ale mężczyźni cenzurował. Toteż, w ciągu trzech czy czterech lat, nie było ani jednej burdy. Raz zaprowadziłem tam Balzaka. Stał na ławeczce w swojej sukni mnicha i patrzył swymi małymi błyszczącymi oczkami na ten zamęt. Po balu była zawsze kolacja w wielkiej sali. Podczas gdy nakrywano, wszyscy przechodzili na korytarz i do gabinetów, gdzie się piło szampana. Pewnego razu naga kobieta wyszła z olbrzymiego pasztetu i tańczyła na stole. Wszystko razem, z obiadem — i kolacją — piętnaście franków.

— Gavarni, powiedz nam co o Balzaku.

GAVARNI: — To była figura! Jeździłem z nim do Bourg, wówczas, wiecie, kiedy z taką furią próbował ocalić Peytela...

— Peytel?... Coś, coś mi świta... Ten rejent<sup>103</sup>, którego zgilotynowano za to, że zamordował żonę?

— Zgilotynowano go; ale czy zamordował, to jeszcze pytanie. Balzac, który go zresztą widział tylko raz w życiu, ze skóry wychodził, aby dowieść jego niewinności.

— No i co Balzac?

GAVARNI: — Musiałem mu powtarzać co chwilę: „Słuchaj, Balzac, tu chodzi o rzeczy serio, musisz się zachować przyzwoicie przez tych kilka dni, które jesteśmy tutaj”. Zostawiałem go możliwie najmniej samego. Pewnego dnia, kiedy go musiał opuścić na dwie godziny, odnalazłem go na rynku, gdzie trzymał za guzik podprefekta, opowiadając mu, jak się dziewczynki zabawiają w pensjonatach.

— Szczególne jest, jak Balzac**balzakizował** wszystko, co się o niego otarło: taka na przykład jego śmierć, czyż to nie czysty *balzac*? Natychmiast po zgonie pisarza, wierzyciele szturmujący dom, wypychający wdowę za drzwi, rzucający się na meble, wysypujący na

<sup>100</sup>*filantropia* — działalność dobroczynna. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*reduta* (daw.) — bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>*Gavarni, Paul* — właśc. Sulpice Guillaume Chevallier (1804–1866), francuski rysownik, karykaturzysta i satyryk francuski. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*rejent* (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

ziemię zawartość szuflad, rękopisy, papiery, listy, które, wystawione spokojnie na sprzedaż, mogły dać ze sto tysięcy franków! I to wszystko leżało na ulicy, zbierał kto chciał, straganiarze zawijali w to masło!

GONCOURT: — Kiedyż znajdzie się ktoś, kto będzie miał odwagę powiedzieć, że Balzac większy jest od Szekspira?

— Za bliski jest, za dostępny...

GAVARNI: — Wiecie, co on raz powiedział na wieczorze u mnie? Powiedział tak: „Chciałbym kiedyś mieć takie nazwisko, być tak znany, tak popularny, tak sławny, tak znakomity wreszcie, żebym miał prawo...” — Wyobraźcie sobie najpotworniejszą ambicję, jaka wlała kiedy w mózg ludzki od czasu jak świat istnieje, ambicję najniemożliwszą, najbardziej niewykonalną, najbardziej poczwarną, najbardziej olimpijską, taką jakiej nie miał ani Ludwik XIV ani Napoleon; jakiej Aleksander Wielki nie mógłby zaspokoić w Babilonie; ambicję wzbronioną dyktatorowi, zbawcy narodu, papieżowi, panu świata... Balzac powiedział tedy po prostu: — „... Nazwisko tak sławne, tak znamienite, żeby mi dało prawo p...nia w towarzystwie, i żeby wszyscy uważali to za zupełnie naturalne”.

WSZYSCY: — Och! och!

— Tyś był wtedy po trosze jego niańką?

GAVARNI: — Tak... Pewnego dnia nie mogłem wytrzymać, powiedziałem mu: „Wiesz, wielki Balzaku, szkoda, że ty nie masz przyjaciela, ot jakiego głupiego i pocziwego filistra... który by ci mył ręce, wiązał krawat, słowem, myślał za ciebie o wszystkim, na co ty nie masz czasu. — Och! krzyknął Balzac, takiego przyjaciela przekazałbym potomności!”

— To rola raczej kobiety...

— Ech, kobieta! — macha ręką Gavarni. — Kto to jest kobieta? Kobietę stworzył mężczyzna, dając jej wszystką swoją poezję. Kobieta nie rozumie nic, a papie o wszystkim... Swego czasu przyszedł mi do głowy taki pomysł do karykatury. Podpis: *Mężczyzna kochany*. Kobieta z rękami czule zaplcionymi o szyję mężczyzny, który ją dźwiga z wysiłkiem na grzbiecie. Z kobietą jest tak jak z polowaniem: zając wart jest dwa franki, ale polowanie jest przyjemne. Lubilem dawniej te łowy, urok czegoś nieznanego, przygody... Coś niby łowienie na wędkę.

Ale już, jakimś zygzakiem, Gavarni przechodzi na matematykę. Twarz mu się zmienia, przestaje jeść, głos jego robi się miłosny, dźwięczny, oko ożywia się... Porywa wszystkich w nowy świat marzeń i myśli, ze słów jego tryskają błyskawice.

— Ogłoszę niedługo pierwszy zeszyt swoich badań nad ruchem i szybkością. Ale trudno mi to ulokować: dla świata jestem rysownikiem, karykaturzystą. Trzeba chytryści: trzeba zacząć od rzeczy uznanych, a potem dojść do rewolucji.

— Chcesz zwalić geometrię?

GAVARNI: — Geometria jest źle nazwana. „Mierzenie ziemi”; tu nie o mierzenie chodzi, ale o poznanie, o danie formuły trwania i natężenia rzeczy...

Zamyśla się i dodaje: — Ba! nauka to tęga monomania! Ostatecznie, jeśli zrobię parę litografii mniej czy więcej, to mi już niewiele doda, ale gdyby tak został po mnie *teoremat Gavarniego*, to by było ładnie, co?

— Tu obecny przyjaciel Berthelot przepowiada, że, po stu latach fizyki i chemii, człowiek będzie wiedział co to jest atom i że z tą wiedzą będzie mógł do woli regulować, gasić i zapalać słońce, niby lampę naftową. Claude Bernard obiecuje nam znowuż, że, po stu latach fizjologii, człowiek będzie fabrykował organiczne twory, robiąc konkurencję stwórcy...

GONCOURT: — Boję się, że w tym momencie wiedzy dobry stary Bóg z białą brodą zjawi się z pękiem kluczy i powie ludzkości, tak jak woźny mówi na wystawie: „Proszę państwa, zamykamy”...

GAVARNI: — Codziennie nauka podgryza Boga... Toć zamknięto już piorun starego Jowisza w butelce lejdejskiej<sup>104</sup>!... Są dane, że kiedyś wytłumaczą naukowo myśl, jak wytłumaczono piorun.... Co to jest za rzecz „niematerialna”, na którą działa kopnięcie w zadek?... Nie, nie, nie ma rozdziału między duszą a ciałem.

<sup>104</sup>butelka lejdejska — pierwowzór kondensatora. [przypis edytorski]

SAINTE-BEUVE, *dotykając czoła*: — Czy myślicie, że tu jest coś innego niż wydzielina mózgu?

— Ja sędzę, że uczeni są raczej prestidigitatorzy<sup>105</sup> niż czarnoksiężnicy.

GAVARNI: — Nie chcę się chwalić, ale mam wrażenie, że odkryłem siłę motoryczną, którą będzie się kiedyś sprzedawało w sklepikach i której będzie można żądać za dwa grosze.

BERTHELOT: — Nauka nowoczesna, owa wiedza, która nie ma ani stu lat życia, nie sędzę aby przetrwała dłużej niż do końca wieku. Człowiek, znający trzy języki, w których uprawia się dziś naukę, może jeszcze być *au courant*<sup>106</sup>. Ale już przybywają Rosjanie. Kto z nas umie po rosyjsku? Niedługo przybędzie Wschód... Całe mnóstwo nieznanymi towarzystw naukowych. Dziś dostałem dyplom z Betlejem: mianują mnie członkiem; widzę z marki<sup>107</sup>, że to w Ameryce, ale to i wszystko... Już ogłaszają doniosłe prace w Australii. Niedługo nie sposób będzie znać nawet miejscowości towarzystw naukowych... Czyż pamięć wystarczy?... Obecnie, w moim przedmiocie pojawia się corocznie osiemset memoriałów w trzech językach: francuskim, angielskim, niemieckim...

— Skończy się jak w Chinach, gdzie pierwotna wiedza zatraciła się zupełnie i skurczyła się do recept przemysłowych.

— Balony, wznosząc się w górę, napotykać czarne niebo, gdzie nie widać już nic... Wiedza dojdzie do takiego czarnego nieba.

— Dzisiejsze studia, obserwacje teleskopowe albo mikroskopowe, to zgłębianie *nieskończenie wielkiego* i *nieskończenie małego*, wiedza o gwiazdach albo o mikrozoach<sup>108</sup> powodują u mnie tę samą nieskończoność smutku. To prowadzi myśl człowieka do czegoś smutniejszego dlań niż śmierć, do przekonania o tym *niczym*, którym jest — jeszcze za życia...

Mowa jest o oziębieniu się ziemi. Berthelot obrazowo i dramatycznie przedstawia ostatnich ludzi kryjących się w kopalniach i mających za całą żywność anemiczne grzyby.

— Ale — powiada Renan, który słuchał bardzo poważnie — być może, że ci ludzie będą posiadali wielką potęgę metafizyczną....

Cudowna naiwność, z jaką to powiedział, sprawia, że cały stół parsknął śmiechem. Rozmowa wraca do lżejszych tematów, do balów maskowych...

KTOŚ: — Słyszałem o pederastie, który na redutach zarabiał duże sumy, przebierając się za kobietę. Robił sobie sztuczny biust z cielęciny, którą gotował i modelował w kształt piersi. Pewnego dnia był w rozpaczy: w chwili gdy się ubierał, szelma kot zjadł mu jedną pierś, która właśnie stygła.

— Lubię reduty. Wolę reduty niż teatr.

GONCOURT: — Teatr? Jest dziś jeden tylko możliwy teatr — mianowicie cyrk. Każdy inny nudzi mnie i drażni. Ten śmiech publiczności, gruby, głupi! Cyrk, akrobaci, kłowni, to jedyny talent, który da się określić matematycznie: tu nie można udać talentu; albo się spadnie, albo się nie spadnie.

— Teatr powinien być albo eposem, albo fantazją. Sztuka obyczajowa, w porównaniu z dzisiejszą powieścią obyczajową, to nędza, parodia, nic.

GAUTIER: — Tak; Molier<sup>109</sup>, czytając swoje sztuki kucharce, najtrafniej osądził teatr. Stawiał się po prostu na poziomie publiczności.

GAVARNI: — Pleciesz. I ja gardzę teatrem, wolę teatrzyk klaunów, ale są dwie sztuki, które uwielbiam i obie są Moliera: to *Mieszczanin szlachcicem* i *Pocieszne Wykwintnisie*, to są lekcje filozofii w formie najbardziej dotykającej, jarmarcznej... Czy popatrzyliście kiedy uważnie nie na scenę ale na salę? Skoro się to widziało, nie wiem jak kto ma odwagę mówić do publiczności... Z książką zapoznaje się człowiek przynajmniej w samotności, ale sztukę teatralną ocenia zgromadzona masa ludzkości, głupota zgęszczona...

Teatr

<sup>105</sup> *prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *marka* (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>108</sup> *mikrozoa* — drobnoustroje. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> *Molier* (1622–1673) — francuski komediopisarz, założyciel własnej trupy aktorskiej „Théâtre Illustre” (1643). Autor m. in. *Skąpca*, *Świętoszka*, *Szkoły żon*. [przypis edytorski]

GONCOURT: — Publiczność! Kiedy grano naszą *Henriette Marechal*, publiczność gwizdała co dzień. Jednego dnia dano przed naszą sztuką jednoaktówkę Moliera: nie pozwolono aktorom mówić, wygwizdano Moliera, myśląc że to Goncourci.

GAUTIER: — Co, teatr! Wystarczyłaby dla publiczności jedna farsa, w której robiłoby się od czasu do czasu małe zmiany. Teatr to jest sztuka tak ordynarna, tak plugawa... W ogóle, czy nie uważacie, że nasza epoka jest straszna? Bo, ostatecznie, nie można się wyzwolić ze swojej epoki. Istnieje moralność narzucona przez dzisiejszego burżuja, której trzeba się poddać. Trzeba być dobrze z komisarzem policji swego okręgu. Czego ja żądam? Żeby mnie zostawili w spokoju w moim kącie.

— Chciałbyś formy rządu z gwarancją trwałości?

— Właśnie. Bo co? Byłem bardzo dobrze z Orleanami; przychodzi rok 1848, republika odsyła mnie na lata całe do lamusa. Potem jakoś się urządzam. Lokuję się w *Monitorze*, znów zaczynają się historie, ten facet kręci się na prawo, na lewo, nie wiadomo czego on chce...

— Co za facet? Mówisz o cesarzu?

— Oczywiście. Słowem, niepodobna nic powiedzieć, nic napisać. Płeć zrobiła się niecenzuralna. Moja twórczość, to był kształt, plastyka; musiałem to pochować. Teraz jestem skazany na to, aby sumiennie opisywać mur, a i tak nie mogę powiedzieć tego, co na murze czasem jest napisane...

— Obecny rząd bardziej jeszcze nienawidzi pisarzy, niż republikanów albo socjalistów.

— Biblioteka cesarska w Biarritz wynosi 25 tomów...

Rozmowa schodzi na Oktawa Feuillet, jedyne go autora, którego Dwór uznaje. Flaubert mówi z pogardą o niskim sposobie, w jaki Feuillet schlebia kobietom w swoich utworach, po czym dodaje: „To dowodzi, że on nie kocha kobiet. Ludzie, którzy je kochają, spowiadają się w swoich książkach z tego, co wycierpieli dla nich, bo kocha się tylko to, od czego się cierpi.

GONCOURT: — Są autorzy, którzy są antypatyczni niby żywi ludzie. Brzydzą się człowiek nimi czytając, tak jakby na nich patrzył.

— Hugo twierdzi, że prawdziwe nienawiści, to tylko nienawiści literackie. Nienawiści polityczne (powiada) to jest nic. Ludzie nie wnoszą w nie tej samej pełni, co w antypatii literackiej, które rodzą się i z *credo* artysty i z temperamentu.

— Książka, która nie jest dziełem artysty albo myśliciela, nie istnieje...

— Mówicie o Feuilletcie, jedynym naszym Nadwornym. A Mérimée?

— Opowiadano mi, że Mérimée to jest istota zrobiona wyłącznie z obawy śmieszności i że to pochodzi stąd: kiedy był dzieckiem, jednego razu połajano go, a gdy wyszedł z pokoju, usłyszał, że rodzice śmieją się z jego zabezczanej miny. Poprzysiągł sobie, że nie będą się z niego śmiali, i dotrzymał słowa, wysuszając się do cna...

GONCOURT: — Przypadkowo znalazła się w Biarritz nasza *Historia społeczeństwa francuskiego za Dyrektoriatu*. Cesarzowa bierze tę książkę, zaczyna czytać i naraz parska śmiechem. Cesarz zbliża się, pyta; cesarzowa pokazuje mu słowo: „persistence”, zastosowane do kobiet Dyrektoriatu. Cesarz patrzy, odczytuje, sprawdza — i zamyka surowo książkę. „Nie dostaniecie nigdy Legii”, zapewnił nas ktoś, kto nam opowiadał to zdarzenie.

— Cesarz rosyjski — wtrąca Turgieniew — nie czytał nigdy nic drukowanego. Kiedy ma ochotę zapoznać się z jaką książką albo artykułem, kopiuje mu je pismem kancelaryjnym, piękną kaligrafią rondem.

— Dziś dopiero można ocenić dobroduszną monarchię Ludwika Filipa<sup>110</sup>, tego tyra, którego każdy mógł bezkarnie kluć szpileczkami. Woźnice omnibusów, spotykając w *avenue de Nevilly* skromny pojazd królewski, uchylali kapelusza jakby dla ukłonu i pochylając się krzyczeli mu w ucho: „Mam w d.... króla!”

— Tacy już jesteśmy, my Francuzi.

— Pewien Anglik tak określił charakter angielski i francuski. „Francuz je zimną ciecicę na gorąco, Anglik gorącą wołowinę na chłodno”.

— Z Anglikami to szczególna rzecz. Anglik jest oszust jako naród, uczciwy jako jednostka. Przeciwnieństwo Francuza, który jest uczciwy jako naród, a filut jako jednostka.

<sup>110</sup>Ludwik Filip (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]



— Doszedłem kiedyś, na czym polega niższość rasy włoskiej. Na tym, że ci ludzie nie mają nerwów. Brak wszelkiej niecierpliwości.

— Wielka kwestia nowoczesna, dominująca nad wszystkim, groźna, to antagonizm latyno-germański. Germanin musi pożreć Latyna. A przecież węźcie z kłębowiska tych dwóch ludzkości próbkę każdej, inteligencja osobista będzie zawsze po stronie Latyna, bodaj Włocha. Ale czy ta inteligencja nie jest podobna owemu rzymskiemu słońcu, czysto artystycznemu, które płodzi jedynie kwiaty a nie jarzyny?

SAINT-VICTOR: — Co do mnie, jestem Latynem od głowy do serca; kocham tylko sztukę łatyńską, literaturę i języki łatyńskie, odnajduję ojczyznę tylko wtedy, kiedy się znajduję we Włoszech... Obojętna byłaby mi może inwazja hiszpańska lub włoska, ale umarłbym od inwazji niemieckiej lub rosyjskiej. Nienawidzę północy.

— Znamienne wyznanie w ustach Saint-Victora! Bo Latyn skłonny jest z natury do miłości i do religii; trzeba mu zawsze być na kolanach przed jakimś bogiem, przed człowiekiem, kobietą, książką, czymkolwiek.

— Nie mówcie tak. Zaslugą Littrego jest, że, za każdym razem, kiedy mówił o wiekach średnich, oddawał sprawiedliwość elementowi germańskiemu, jaki jest niezaprzeczenie w naszej rasie. Poza dogmatem i wiarą, katolicyzm jest z pewnością najlepszą rzeczą, jaka istnieje; ale trzeba, dla równowagi, aby ponad katolicyzmem element germański mieszał się w nas z łatyńskim.

RENAN: — We wszystkim co robiłem, uderzała mnie zawsze wyższość inteligencji i pracy niemieckiej. Tak, panowie, Niemcy, to wyższa rasa.

— Och! Och!

— Tak, wyższa od nas — ciągnie Renan zapalając się. — Katolicyzm, to jest skretynizowanie jednostki; wychowanie jezuićkie hamuje i dławi wszelką zdolność sumatywną, podczas gdy protestantyzm rozwija ją. Chłop niemiecki...

— Ech, brałem udział w polowaniach w Niemczech, pędzi się tych chłopów aby zbierali zwierzynę, kopiać ich nogą w zadek.

RENAN: — Wolę chłopów, których się kopie w zadek, niż chłopów, których powszechne głosowanie zrobi naszymi panami.

TURGIENIEW: — Ze wszystkich narodów Europy, Niemcy, poza muzyką, mają najmniej poczucia sztuki. Ta fałszywa konwencja, która nam każe odrzucić książkę, im wydaje się szczytem doskonałości. Przeciwnie Rosjanie, kłamliwi jak lud, który był długo niewolnikiem, kochają w sztuce prawdę i szczerść.

— Mówiliście o trwałości rządu. Myślę, że rząd byłby wieczny, gdyby dał co dzień ludowi fajerwerk, a mieszczaństwu skandaliczny proces.

Wszczytna się dyskusja polityczna, na którą Gautier niechętnie macha ręką i milknie, jak czyni zawsze, gdy rozmowa schodzi na politykę.

— Ja — powiada Goncourt — mam taki wstręt do polityki, że mógłbym przeżyć całe życie, nie głosując ani razu.

— To stan ogólny, wstręt do wszelkich przekonań, obojętność na rzeczy polityczne. Widzi się, że nie warto umierać za żadną sprawę, że trzeba żyć jakoś z każdym rządem, choćby najbardziej antypatycznym, wierzyć tylko w sztukę, wyznawać tylko literaturę. Wszystko inne to kłamstwo i osielstwo.

— Ba, czasem nawiedza nas myśl, rzucić Francję, rzucić swoją francuskość, wynieść się gdzieś zagranicę, aby wskrziesić swobodę mówienia — niby w Holandii siedemnastego i osiemnastego wieku — założyć dziennik przeciw temu, co jest, mówić szczerze, złamać tę pieczęć, która zamyka usta, wybuchnąć krzykiem gniewu i wstrętu...

— Powiem wam coś zabawniejszego. W roku 1848 Hethel udał się z Lamartine'm do ministerstwa spraw zagranicznych i wziął tekę, myśląc, że zawiera sekrety polityki europejskiej. Były tam same adresy dziewcząt i listy od loretek<sup>111</sup>.

SAINTE-BEUVE: — Ba, kiedy w roku 1817 wydano rozkaz aresztowania Chateaubrianda<sup>112</sup>, znaleziono o szóstej rano autora *Ducha chrześcijaństwa* w łóżku między dwiema dziewczynkami.

<sup>111</sup>lorełka (daw.) — kobieta z półświatka. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

— Ach — wzdycha Gautier — gdybym tak miał rentę, małą, malutką, ale pewną, jakbym ja uciekł stąd, zaraz... Poszedłbym gdzieś na kraj świata, gdzie by były rzeki, lasy palmowe, opodal błękitne morze... W słoneczny dzień estetyzowalibyśmy sobie nad morzem z nogami zanurzonymi w fali, jak Sokrates albo Platon...

— Wróciłbyś, wróciłbyś. Nadto zatruty jesteś atramentem.

GAUTIER: — Dalibóg, nie. Doprawdy, rumienię się czasem za swoje rzemiosło. Za nędzną sumę, którą muszę zarobić, bo inaczej umarłbym z głodu, nie mówię ani pół ćwierci tego, co myślę, i jeszcze ryzykuję za każdym zdaniem, że mogę być taszczyony przed sąd jak Flaubert, jak Baudelaire<sup>113</sup>...

— Pewien dziennikarz polityczny pisał, że proza Flauberta okrywa hańbą panowanie Napoleona III.

GONCOURT: — W gruncie rzeczy, Bastylia nie przestała istnieć dla pisarzy. To już nie jest więzienie z rozkazu ministra, ale sąd trybunału, który jest na rozkazy ministra wstecznika i głupca. Procedura inna, ale rezultat absolutnie ten sam.

— Człowiek się dławi w życiu literackim tym, czego nie może powiedzieć ani napisać.

— Ha, męstwo i chwała cywila, to myśleć za wcześnie.

TURGIENIEW: — Po wydaniu *Zapisków myśliwego*, odsiadywałem miesiąc w więzieniu. Pewnego dnia spoilem szampanem naczelnika policji; trącał się ze mną i mówił podnosząc kieliszek: „Zdrowie Robespierre’a”.

— Widziałem świeżo Baudelaire’a w Cafe Riche. Jadł kolację obok nas, bez krawata, z gołą szyją, z ogoloną głową, istna tualeta przed gilotyną. A wszystko to w gruncie bardzo wyszukane... Małe ręce, wypielęgnowane jak u kobiety... I ta głowa maniaka, głos ostry jak stal, wymowa siłąca się na kwiecistą precyzję Saint-Justa...

— Wszystko mu można darować za jego odkrycie Poe’go<sup>114</sup>.

GONCOURT: — Tak, Poe, to rewelacja czegoś, o czym nasza krytyka nie ma pojęcia. Nowa literatura; literatura dwudziestego wieku; cudowność naukowa, fabuła przez *A plus B*, twórczość mająca coś z monomanią i coś z matematyki. Wyobraźnia przez analizę. Rzeczy grają w tym większą rolę niż osoby. Miłość — już nieco uszczuplona w dziele Balzaka przez pieniądz — tutaj ustępuje miejsca innym źródłom zainteresowania; słowem, powieść przyszłości, poświęcona sprawom toczącym się raczej w mózgu ludzkości niż w jej sercu...

— Heine i Poe, to dwaj ludzie. My wszyscy przy nich jesteśmy komiwojażery<sup>115</sup>.

— Baudelaire to wielki, bardzo wielki poeta, ale to nie jest oryginalny prozaik; on zawsze tłumaczy Poe’go, nawet wtedy, kiedy go nie tłumaczy i kiedy chce być samym sobą.

— Ach, nowy dreszcz! Nigdy publiczność nie dowie się, co to za rozpacz, stronica którą człowiek z siebie wypruwa i która nie chce się urodzić...

— Wracając do poprzedniego, trzeba powiedzieć, że i tak literatura dziś jest dość swobodna. Weźcie wiek XVIII; filozofowie, członkowie akademii, wysługujący się, żyjący z pensji wielkich dam lub starej Geoffrin...

— Z tym wszystkim, i mężczyźni i kobiety myśleli jakoś żywiej w XVIII wieku niż dzisiaj. Wystarczy czytać ówczesną korespondencję, aby się o tym przekonać.

GONCOURT: — Bo też jak my żyjemy wszyscy! Taine kładzie się spać o dziewiątej, wstaje o siódmej rano, tkwi do wieczora w bibliotece; wieczorem matka, fortepian... Flaubert jak przykuty do łańcucha pracy. My z bratem, bez cienia rozrywki, poza jakimś szperaniem u antykwariuszy...

— Życie to jest taka praca, tyle zajęcia, taki trud, że ludzie tacy jak my będą sobie musieli powiedzieć w godzinę śmierci: „Czyśmy żyli?”...

<sup>113</sup>Baudelaire, Charles Pierre (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, tłumacz Edgara Allana Poe, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, parnasista, dekadent. Uznawany za jednego z tzw. „poetów przekłętých”. Jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytutka, życie marginesu społecznego itd. Najsłynniejszym dziełem Baudelaire’a są wydane w 1857 r. *Kwiaty zła* (*Les fleurs du mal*), znane również pod innym polskim tytułem — *Kwiaty grzechu*. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>Poe, Edgar Allan (1809–1849) — amerykański poeta i autor opowiadań, ważny dla rozwoju literatury fantastycznej i detektywistycznej. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>komiwojażer — podróżujący przedstawiciel handlowy. [przypis edytorski]

— A Sainte-Beuve? Pracuje od ósmej rano do piątej; od piątej do szóstej przechadza się, aby nabrać apetytu. We wtorki zaprasza na obiad swego sekretarza i jakąś damulkę...

SAINTE-BEUVE: — Wolę pracę niż nudę...

Sainte-Beuve opowiada, jak był za młodu internem u św. Ludwika, mieszkał na najwyższym piętrze i żył tak samotnie, że w ciągu siedmiu miesięcy nikt nie wszedł do jego izdebki, tylko matka, i to jeden raz... Od tego czasu odczuwa te melancholie, te osamotnienia, potrzebuje ludzi, musi mieć w jadalni kobiety, koty..

Taine zaczyna mówić o swojej młodości, o długich godzinach spędzonych w nieopalanym pokoiku przyjaciela, studenta medycyny, gdzie było tylko łóżko, stół, dwa stołki i szkielet. Medyk ów oddawał się bardzo ciekawym studiom socjologicznym; umarł mając dwadzieścia pięć lat... W tym pokoiku (powiada Taine), jak w wielu innych podobnych, roztrząsano kwestie bardzo rewolucyjne z niesłychaną odwagą, bezwzględnością, energią. Mówiono wszystko, co może przejść przez głowę młodości która nie żyje, nie bawi się, nie używa...

— Tak, to wasze pokolenie młodych nie miało młodości; wyrosliście zamarynowani w pracy, nauce, analizie.

— Zbroiliśmy się na podbój społeczeństwa...

— No i wyszło z was pokolenie krytyków; niczego nie poznaliście wprost, wszystko przez książki.

— Wyrasta dziś rasa młodych pożeraczy papieru, z oczami, które znają tylko farbę drukarską, pokolenie literatów bez namiętności, bez temperamentu. ślepych na kobiety, na kwiaty, na dzieła sztuki, na cudy natury, i myślą że będą pisali książki! Książki wartościowe powstają tylko jako reakcja na wzruszenia. Na to, aby zrobić w literaturze coś dobrego, trzeba żeby wszystkie zmysły były jak wielkie otwarte okna...

— Dzisiejsza młodzież dzieli się na dwa światy absolutnie różne, między którymi nie ma możliwego kontaktu ani zbliżenia: fircyki<sup>116</sup> z bezprzykładnie pustą głową, i obóz pracowników najbardziej zażartych na pracę, jacy istnieli w jakiegokolwiek epoce: generacja odcięta od świata, skwaszona samotnością, gorzka, prawie groźna.

GAUTIER: — Cała ta teoria wyrzeczeń jest idiotyczna. Kobieta, zażywana jako środek przeczyszczający, nie niweczy bynajmniej idealnych aspiracji. Im więcej się wydaje, tym więcej się nabywa... Ja, na przykład, zrobiłem dywersję w romantycznej szkole zdechłaków. A wcale nie byłem silny wówczas, dopiero stałem się silny przez gimnastykę. Miałem kochankę suchotnicę, przepędziłem ją. Wziąłem tęgą dziewczynę mojego wzrostu...

Wszczyzna się rozmowa o stanie duszy po zaspokojeniu miłosnym. Jedni mówią o smutku, drudzy o uldze. Flaubert oświadcza, że tańczyłby przed lustrem.

— Balzac uważał, że w akcie miłosnym filtruje się czystą substancję mózgową; dramatyzował tę stratę do niemożliwości! Pewnego ranka przyszedł do Gavarniego i rzekł: „Dziś w nocy straciłem książkę!”

— Ze mną, to szczególnie, powiada Turgieniew; dopiero *potem* wchodzę w kontakt ze światem, z otoczeniem... Rzeczy odzyskują realność, której nie miały na chwilę przedtem... Czuję się sobą... stół, który stoi obok, staje się z powrotem stołem... Tak, stosunki między moim ja a naturą nawiązują się, odnawiają...

— Uroczę są te nasze sobotnie obiady. Mówi się o wszystkim, każdy spowiada się po trochu...

— Czy uważaliście<sup>117</sup> odporność i siłę pokolenia zrodzonego około roku 1800? Skąd się to bierze?

DOKTÓR ROBIN: — Zrównoważenie nerwowe, nieużywanie tytoniu...

— Raczej, sądzę, wstrzemięźliwość. Nie rób min, Gautier. Taki Thiers, Guizot<sup>118</sup>, Hugo i inni... Guizot i Hugo na starość zrobili się dziwkarze, ale młodość mieli czystą.

<sup>116</sup>fircyk — człowiek lekkomyślny. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>uwagać — tu: zauważać. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Guizot, François (1787–1874) — francuski historyk i polityk, premier w latach 1847–48. [przypis edytorski]

SAINT-VICTOR: — Pamiętacie Marka Aureliusza<sup>119</sup>, jak dziękuje Frontonowi<sup>120</sup> za to, że go trzymał zdalek od kobiet aż do męskiego wieku?

— Ba, Wiktor Hugo! Kiedyś rzekł do Burty'ego: „Przemawiać publicznie, to dla mnie wielki wysiłek. Jedna mowa tak mnie męczy jak trzy razy poobłapiać”. Po czym, po chwili namysłu, dodał: „A nawet cztery”.

GAUTIER: — Proponuję, żebyśmy się rozeszli po tym słowie. Nic już dziś piękniejszego nie usłyszymy...

### TRZECI OBIAD

Mowa jest o malarzu Delacroix<sup>121</sup>, świeżo zmarłym. Saint-Victor zaczyna go charakteryzować; nagle wielki krytyk błędnie, rzuca mętnym wzrokiem dokoła. Jest nas trzynastu przy stole... tak, stanowczo trzynastu. „Ba, powiada Gautier niepewnym głosem, licząc się tylko chrześcijanie, a tu widzę sporo ateuszów”. Bądź co bądź, Saint-Victor i Gautier sprowadzają, na czternastego, syna restauratora Magny, młodego uczniaka, przy którym gada się niebawem potworne rzeczy.

Jak gdyby dla usprawiedliwienia się, wspomina ktoś Lessepsa<sup>122</sup>. Lesseps, twórca kanału sueskiego, człowiek, zdawałoby się, niezłomnej woli, opowiadał świeżo u księżniczki Matyldy, że od wielu rzeczy w życiu odwróciła go kabalarka, następczyni słynnej Lenormand przy ulicy de Tournon...

GAUTIER: — Wracam z inauguracji kolei algierskich. Wściekły jestem. Wściekły na cywilizację, na inżynierów, którzy mi psują pejzaż swoimi szynami, wściekły na utilitarystów... (*do kogoś*) Ty to lubisz, ty jesteś cywilizowany... Ale jest nas tu paru, czterech, trzech — my jesteśmy chorzy, dekadenci... Nie, raczej prymitywi... nie, to jeszcze nie to... słowem, osobniki dziwaczne, podejrzane, wariaci. Są chwile, że chciałbym pozabijać wszystko co jest, policjanta, pana Prudhomme<sup>123</sup>, pana Piou-piou, całe to świństwo... Zrozum mnie, ja to mówię bez ironii, ja ci zazdroszczę, ty masz rację, Wszystko wynika stąd, że ty nie masz poczucia egzotyzy. Masz poczucie egzotyzy? Nie; w tym rzecz. My — mówię o tych trzech czy czterech — nie jesteśmy Francuzi, mamy coś z innych ras. Pełno w nas nostalgii. A kiedy do nostalgii kraju dołączy się nostalgia czasu, jak na przykład u Goncourtów nostalgia XVIII wieku, jak u mnie Wenecja z czasów Casanovy, och, wtedy już przepadło...

— Ha, istnieje zepsucie starych cywilizacji, które każe człowiekowi znajdować przyjemność tylko w dziełach człowieka, a nudzić się dziełami Boga.

— Ja zauważyłem jedno: że żałarci prorocy nagości, starych cywilizacji atletycznych i gimnastycznych, to są przeważnie koślawi profesorowie o chuderlawym kadłubie, zakutanym we flanelowe kamizelki. Nie mówię tego do ciebie, Gautier.

— Mam nadzieję.

— Cywilizacje to nie tylko przemiana myśli, wierzeń, nawyków mózgu, ale może i przeobrażenie nawyków ciała?

— Czytałem opowieść o zdumiewającym odkryciu miasta w Syjamie: miasto, którego ruiny pokrywają dziesięć mil, gdzie są fragmenty posągów z palcami u nogi na dwanaście sążni<sup>124</sup>. Fantazja czy prawda, ale mnie to pogrążyło w marzeniu... Czyżby istniała przed naszą ludzkością jakaś ludzkość olbrzimsza, ludzie mający dwadzieścia pięć stóp, pomniki olbrzymów, miasta wielkie jak królestwa? Czyżby istniała wreszcie poza nami przeszłość o ileż kolosalniejsza od tej którą znamy?

— Ba, historia dopiero się zaczyna: to znaczy ludzkość, która stworzyła sobie prasę...

<sup>119</sup> *Marek Aureliusz* (121–180) — cesarz rzymski, jak również filozof i pisarz. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> *Fronton*, *Marek Korneliusz* (II w. n.e.) — retor rzymski, nauczyciel cesarza Marka Aureliusza. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> *Delacroix*, *Ferdinand Victor Eugène* (1798–1863) — malarz francuski, czołowy przedstawiciel romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *Lesseps*, *Ferdinand de* (1805–1894) — dyplomata i przedsiębiorca francuski, kierował budową Kanału Sueskiego, za jego sprawą powstał też Kanał Panamski. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *pan Prudhomme* — postać z satyrycznych rysunków i utworów komediowych Henryka Monnier, symbol głupoty francuskiego mieszczaństwa. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *sążeni* — dawna miara długości. [przypis edytorski]

— Pomyśleć, że ludzkość jest jeszcze tak młoda; pomyśleć, że dwudziestu czterech stuletnich ludzi, trzymając się za ręce, stworzyłyby łańcuch, który by nas doprowadził do czasów heroicznych, do Tezeusza...

— Ludzkość wszystko zastała w stanie dzikim: zwierzęta, owoce, miłość...

— W gruncie rzeczy, ludzkość — i to jej wielka chwała — jest wielkim don Kiszotem. Ma przy swoim boku Sansę, którym jest rozsądek, ale gubi go co chwila. Największe wysiłki, najstraszliwsze poświęcenia ludzkości, były zawsze na rzecz spraw idealnych. Ot, grób Chrystusa, tylko idea, o którą cała Europa ruszała się jeszcze wczoraj...

Taine oświadcza, że czterech wielkich ludzi, to Szekspir, Dante, Michał Anioł, Beethoven — których nazywa „czterema kariatydami<sup>125</sup> ludzkości”. — To wszystko, to jest siła, a gdzie wdzięk? mówi Sainte-Beuve. — A Rafael<sup>126</sup>? — wtrąca ktoś, kto nie byłby w stanie odróżnić obrazu Rafała od obrazu Rembrandta<sup>127</sup>.

Potem mówią o zdrowiu starożytnych, o ich równowadze, o higienie moralnej nowych czasów, o fizjologicznych warunkach egzystencji za pięćdziesiąt lat. Okazja dla Taine'a, aby stwierdzić, że zmniejszenie wrażliwości i zwiększenie czynności<sup>128</sup> to przyszły program.

GONCOURT: — Wie pan co, panie Taine, można by mieć grube wątpliwości co do pańskiej tezy. Od czasu jak ludzkość się rozwija, wciąż rozszerza sferę swojej wrażliwości. Robi się nerwowsza, histeryzuje się, można powiedzieć, z każdym dniem; co zaś do owej czynności, której rozwoju pan pragnie, kto wie, czy to nie jest jedna z przyczyn współczesnej melancholii. Kto wie, czy anemiczny smutek naszej epoki nie pochodzi właśnie z nadmiaru czynności, z jej strasznego wysiłku, z jej wścieklej pracy, z napięcia sił mózgowych do maksimum, z wyuzdania produkcji i myśli?

— Zdziczenie jest potrzebne co czterysta lub pięćset lat, aby odnowić świat. Inaczej świat umarłby z cywilizacji. Niegdyś, w Europie, kiedy sędziwa ludzkość w jakiejś milej okolicy była dostatecznie zanemizowana<sup>129</sup>, spadały jej z Północy na kark zuchy na sześć stóp wysokie, które przeinaczały rasę. Obecnie nie ma już dzikich w Europie; ale robotnicy załatwią ten interes za pięćdziesiąt lat. Będzie się to nazywało rewolucją socjalną.

— Ciekawe spostrzeżenie: lud nie mówi dziś *przyszła rewolucja*, ale *przyszła likwidacja*. W tych czasach giełdy nawet groźba ludu zapożycza się z gwary giełdowej.

— Rewolucja socjalna jest tuż koło nas; a wiecie, jaki jej najczynniejszy element? Dziewka.

— Pojęcie „dziewki” ma w naszej epoce olbrzymie rozpięcie. Dziewczyna z ulicy, a taka Paiva...

SAINTE-BEUVE: — Nie mówcie źle o Paivie. Bywam u niej. Są dziś dwa — tylko salony, w których bywa literatura: salon księżniczki Matyldy i salon pani Paiva.

— Charakterystyczna cecha dziewczyny, która wpadnie w prostytutkę, to bezosobowość. Nie jest już osobą, nie jest kimś, ale jednostką w gromadzie. Poczucie swego ja zaciera się u niej do tego stopnia, że w domach publicznych dziewczęta biorą bez różnicy palcami z talerza tej lub owej.

— Znałem parę wielkich kurtyzan. Wszystkie robią na mnie wrażenie zwykłych prostytutek. Nie wnoszą nic innego niż tamte. Czy wiodą się z burdelu czy nie, mam wrażenie, że ich rozmowa, zachowanie się, przymilność, przenoszą nas zawsze w tę atmosferę. Nie spotkałem żadnej, której zepsucie miałoby wyższą rasę. Odnoszę wrażenie, że dziś już nie ma kurtyzan i że wszystko co nosi to miano, to są po prostu dziwki.

— Wspomnieliście Paivę. Gautier zna ją dobrze i od dawna, jeszcze z czasów, kiedy była niczym.

GAUTIER: — Ta Paiva, to cały romans! Naturalna córka Wielkiego Księcia i Żydówki. Matka jej, bardzo piękna, zeszepecona ospą, kazała zasłonić krepą wszystkie zwierciadła w domu, tak że dziewczynka wyrosła nie widząc swojej twarzy, dręczona myślą, że ma nos podobny do kartofla. Wydano ją wcześniej za męża, za francuskiego krawca w Moskwie. Uciekła z nauczycielem fortepianu, który ją rzucił. Chora, bez grosza, znalazła

<sup>125</sup>kariatyda — w architekturze: wspornik w postaci rzeźby kobiety. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>Rafael — właśc. Raffaello Santi (1483–1520), włoski malarz epoki renesansu. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>Rembrandt, *Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz, rysownik i grafik. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>czynność — tu: aktywność. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>zanemizowany — osłabiony. [przypis edytorski]

zła się w nędznym hoteliku. Napisała do mnie, żebym przyszedł. Powiedziała: „Widzisz, w jakim stanie jestem... Może nie wyjdę z tego, wówczas koniec. Ale jeśli się wygrzebię, będę miała kiedyś najpiękniejszy pałac w Paryżu, zapamiętaj to sobie”. Przyjaciółka jej, modystka, uzbroiła ją w cały rynsztunek. Byłem u niej w chwili, gdy miała ruszyć w bój, toalety leżały porozkładane po meblach, próbowała ich jak żołnierz karabina przed bitwą. Rzekła: „Nieźle jestem wysztyftowana, ale człowiek nigdy nie jest pewny. Gdybym miała chybić, wówczas dobranoc”. Poprosiła mnie, żebym jej dał flakon chloroformu; była gotowa otruć się w razie klapy. Poprosiłem o chloroform znajomego medyka i dałem jej.

— To Paiva mówiła potem: „Wszystkie moje pragnienia przychodziły do moich stóp jak pokorne psy!”

— Tak, króluje dziś w swoim legendarnym pałacu na polach Elizejskich, stara kurtyzana, malowana, tynkowana, podobna do prowincjonalnej aktorki, z fałszywym uśmiechem i fałszywymi włosami. Częstoje herbatą w renesansowym salonie — marmury, buazerie, obrazy, emalie, w których utopiła olbrzymie sumy, aby w rezultacie stworzyć kopię bogatego gabinetu restauracyjnego. Od czasu do czasu ma się wrażenie, że myśl jej odpływa, aby się przenieść do gabinetu, gdzie znajdują się żelazne kasy z biżuterią; odgaduje się to z kamiennej martwoty jej twarzy, czyta się przeszłość, która przejmuję dreszczem.

— I widzi się tego Prusaka, który Paivę utrzymuje...

— Tak, przeszedłem i ja przez ten salon. Nuda. Wszystko musisz podziwiać. Sukienkę muślinową, która — powiada Paiva — kosztuje 37 franków, i perły na szyi i ramionach za paręset tysięcy. Serwis — nie mówi się ceny, ale mówi się niedbale, że w sklepie kosztowałyby osiemdziesiąt tysięcy. I każdy musi wykrztusić komplement, i żadne pochlebstwo, choćby najgrubsze, nie będzie wystarczające. Nuda.

— Ba, dziwka, która wyrobi sobie zmysł do interesów, jest potęgą. Panuje, króluje, lekceważy, pomiata, gardzi. Opanowuje społeczeństwo, obyczaje, chlasta błotem opinię. Posiadła już wyścigi, teatr...

— Stara, bardzo znana aktorka mówiła: „Mam czterdzieści tysięcy renty, starzeję się z godnością”.

— Kiedyś, na reducie, wyprowadzony z cierpliwości książęcymi minami jednej z tych panujących małp, którą poznałem pod maską, dotknąłem jej ramienia, mówiąc: „Tu, widzisz, w tym miejscu, naznaczą cię kiedyś phallusem z rozpalonego żelaza”.

— Tak, sądzę, że w niedalekiej przyszłości trzeba będzie wrócić do surowych rygorów policji, które zabronią im, jak w XVIII wieku, miejsca w uczciwych łóżach, które będą karcily ich zuchwalstwo, poskramiały ich bogactwa i sprowadzą je do ich właściwego miejsca — do rynsztoka. Wszystko to przyjdzie, i przyjdzie jeszcze inna rzecz: wielkie pranie.

GONCOURT: — Za surowi jesteście. Dużo można by powiedzieć na pochwałę dziewczyn. Przerywają monotonię, poprawność, porządek społeczny, wnoszą w świat nieco szaleństwa, rozrzucają banknoty... Dziewczyna, to kaprys wyzwolony, nagi i zwycięski, w tym świecie roztropnych rejentów i oszczędnych przyjemności.

— Kaprys? Spotkałem dziś taki kaprys, dawną znajomą. Pytam, jak się jej powodzi. — Och, doskonale, mam starego, bardzo bogatego. Wyobraź sobie, to jest były hebanista: przychodzi do mnie co poniedziałek, każe mi się rozebrać do naga i zaczyna politurować moje meble. Ja chodzę za nim, poklepuję go i mówię: „Jak ty dobrze politurujesz!”... W końcu go to rozgrzewa... — Masz swój kaprys, Goncourt!

— Byliśmy kiedyś na balu Opery. Przechadzaliśmy się, starając się odnaleźć coś z naszej starej Opery: jakiś żart, uśmiech, jakieś kuszące przegięcie *gratis*, cień fantazji, intrygi — coś coby nie pachniało stufrankówką. Interes, wszędzie interes, interesy aż pod sam strop. Dziewczyna dzisiejsza, to już nie ta *loretka* Gavarniego, która zachowała na dnie coś z gryzетки<sup>130</sup> i trwonila nieco czasu na poryw serca... Zresztą niziny odzwierciedlają jedynie wielki świat miłości; ten świat, gdzie kobiety z towarzystwa przyzwyczajają się pomału do tego aby je utrzymywano.

— Prostytycja to zemsta ludu na bogaczach...

<sup>130</sup>*gryzетка* (daw., z fr.) — młoda szwaczka bądź modystka. [przypis edytorski]

— Artyści nie powinni nic mówić na te panie. To dziś mecenaszki sztuki: zamawiają obrazy, dekorują salony...

— Haha! Kiedyś Herbertowi wpadło poradzić się księżniczki Matyldy, czy ma przyjąć zamówienie Paivy. Oburzyła się: „Malarz tej miary miałby pracować dla takiej kobiety! Taka łajdaczka bawi się w protektorkę sztuki!” i w końcu najwyższy argument: „Ależ pan nie mógłby do niej zaprowadzić swojej matki, aby obejrzała pańskie obrazy!”

SOULIÉ: — Tak, tak, matki. W końcu sformułowała to księżniczka w ten sposób: „Może pan robić dla tych pań, co pan zechce, o ile to jest gratis; ale z chwilą, gdy wchodzi w grę pieniądze...!”

— Księżniczka zwróciła się z tym do Souliégo, myśląc że ją poprze, ale ten cynik odpowiedział, że Rafael<sup>131</sup> pracowałby dla każdej kobiety swego czasu.

SOULIÉ: — Cóż chcecie? Ja nie mam zasad.

— Skończyło się na tym, że księżniczka wstała, oświadczyła iż życzy nam dobrej nocy i wyszła mówiąc: „Doprawdy, wobec waszej pobłażliwości, gdybym miała drugi raz się urodzić, chciałabym być puszczalską, szelmą”.

— Często uczciwe kobiety mówią o błędach innych kobiet jak o czymś, co im ukradziono...

— Cóż za urocza renesansowa kobieta, ta Małgorzata Nawarska w skórze Napoleonki! Ta prostota, szczerłość, szorstkość nawet... mieszanina męskości z kobiecą delikatnością... typ księżniczki XIX wieku.

— Ona ma prześliczny uśmiech, uroczy uśmiech ludzki, kryjący wiele rzeczy. Trzeba było widzieć ten uśmiech na jej wargach, kiedy wczoraj mówiła do Sainte-Beuve'a: „Och, panie de Sainte-Beuve, jeśli kiedy przepatrzą nasze korespondencje, okaże się, żeśmy podawali rękę sporej ilości łajdaków...”

— Któż temu winien? Można się posługiwać łajdakami — powiada La Bruyère — ale użytek ich powinien być oględny<sup>132</sup>. Może teraz używają ich bez umiarkowania?

GONCOURT: — Księżniczka sama nie wie, jakie usługi jej salon oddaje Tuilleriom, ile rozbraja gniewów i nienawiści, jakim jest tamponem między rządem a ludźmi, którzy mają pióro w ręku... Flaubert i my, gdyby nas nie była kupiła, aby tak rzec, swoim wdziękiem, swoją uprzejmością...

— Zatem, księżniczka oburzona jest, jak mówi, tryumfem tych dziewczek, u których zajadają trufle filozofowie, pisarze, uczeni, a które nie mają na usprawiedliwienie talentu i nazwiska jakiejś Rachel.

— Cóż chcecie, tak już jest. Kobiety z towarzystwa rywalizują z nimi, naśladują ich mody...

— Dwaj moi przyjaciele, których i wy znacie, byli pewnego wieczora w Maison d'Or. Przyszła im ochota ożywienia kolacji kobiecym towarzystwem. Dzwonią nadaremno, wreszcie jeden z nich wychyla się przez schody, aby krzyknąć na Strzelca. Widzi go zatopionego w książce. Zaciekawiony, pyta go co czyta. „Czytam to, co Jego Eminencja kazał mi czytać — powiada chłopak z poczciwą miną. — Co za Eminencja? — Biskup z Nancy, skąd pochodzę. Powiedział mi: „Jedziesz do Paryża, to siedlisko zguby... Czytaj Tertuliana”. Czytam więc Tertuliana”. Ten człowiek czytał Tertuliana na schodach w Maison d'Or, między dwoma kursami do rajfurki<sup>133</sup>. Nigdy wyobraźnia nie wyroi nieprawdopodobieństw, jakie stwarza życie!

— Życie w Paryżu. Nieraz myślałem, ile nienapisanych dramatów rodzi jedna noc w Paryżu, ile miłości, i zbrodni, i śmierci!

— Słyszałem kiedyś od pielęgniarki szczegóły dotyczące pogrzebów w Paryżu. Nic tak nie maluje cynizmu i sknerstwa bogaczy. Opowiadała mi, że widziała na własne oczy, jak pewnego młodzieńca z wielkiego domu pochowano w starym kostiumie pierrota<sup>134</sup>.

— Czy kto pomyślał kiedy, co za jednostką moralną może być syn właściciela bajzlu, poczęty tuż po wydaniu przez ojca rozkazu, żeby gościowi doliczono numer gabinetu do rachunku za kolację?

<sup>131</sup>Rafael Santi (1483–1520) — malarz włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>ogłędny — tu: ostrożny. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>rajfurka — stręczycielka. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>pierrot — postać z tradycyjnej francuskiej pantomimy. [przypis edytorski]

— To bardzo skomplikowane.

— Paryż się zmienia, Paryż ginie. Kiedyś zabląkałem się na przedmiejskie bulwary, jakże to wszystko odmienione. Domy publiczne ze swymi matowymi i oświetlonymi szybami podobne są do barów w Nowym Yorku.

— A bal w Ermitażu<sup>135</sup>! Nie ma już ani jednego ładnego buziaka. Pieniądz zgarnia wszystko, zrywa wszystko w kwiecie, zmienia w loretkę każdą ładną dziewczynę z ludu.

GAUTIER: — To już nie Paryż, który znałem. To Filadelfia, Petersburg, wszystko co chcecie, tylko nie Paryż.

— I tak Paryż pozostanie prawdziwym klimatem czynności ludzkiego mózgu...

EDMUND GONCOURT: — Mnie interesują tylko paryżanie... Prowincja, chłopie, słowem cała reszta ludzkości, to dla mnie historia naturalna.

— Ja już mam dość Paryża. W Paryżu jest się doprawdy tylko trzecią częścią samego siebie. Osiada w człowieku tyle wrażeń, myśli, idei cudzych, że od czasu do czasu jadę do Bretanii po to, aby odbudować swoją osobowość i być sobą, zupełnie sobą!

— Paryż, chcecie jeszcze coś paryskiego? Słyszałem, że usunięto paru internów<sup>136</sup> ze szpitala za to, że sprzedawali skórę z piersi kobiecych introligatorowi, który ma za specjalność oprawianie pornograficznych książek.

GONCOURT: — E, pod tym względem Paryż zawsze będzie niczym wobec naszych sąsiadów zza morza. Widziałem dziś może odbiorcę tych książek, monstrum, jednego z ludzi, którzy są na krawędzi przepaści. Widziałem poprzez niego, niby przez rozdartą zasłonę, okropną głąb, ohydę zblazowanej<sup>137</sup> arystokracji pieniądza, owej angielskiej arystokracji wnoszącej w sprawy miłości element okrucieństwa, sycącej się tylko cierpieniem kobiet. Pamiętasz, Saint-Victor, tobie pierwszemu przedstawiono na balu Opery tę figurę.

SAINT-VICTOR: — A, nasz Anglik, w istocie miły pasażer. Oświadczył mi z prostotą, że w Paryżu nie ma zabawy, że Londyn jest pod tym względem nieskończenie wyższy, że jest tam bardzo przyzwoity zakład mistress Jenkins, gdzie znajdują się dziewczynki trzynastoletnie i młodsze, którym się z początku daje lekcje, a potem się je ćwiczy — och, te młodsze nie bardzo mocno, ale starsze zupełnie mocno. Można im także wbić szpilki, nie bardzo długie, ledwo tycie — i pokazywał na końcu paznokcia. „Tak, widzi się krew”. Młody Anglik mówił to bardzo spokojnie i dodał: „Ja mam gusty okrutne, ale ograniczam się do ludzi. Swego czasu, wynająłem z przyjaciелеm za grube pieniądze okno, aby widzieć jak wieszają pewną morderczynię. Mieliśmy z sobą kobiety, aby z nimi... no, rozumie pan, w chwili gdy będą wieszali. Nawet kazaliśmy prosić kata, aby podniósł tamtej trochę spódniczkę przy wieszaniu. Ale w ostatniej chwili królowa ją ułaskawiła. To bardzo nieprzyjemne”...

GONCOURT: — Dziś Saint-Victor zaprowadził nas do tego przyjemniaczka. Trzydzieści lat, łysy, skronie wzdęte jak pomarańcze, oczy błękitne jak stal, skóra cienka z delikatną siecią żyłek, głowa młodego księdza nawykłego do ekstazy, wytworny, grzeczny, łagodny. Pokazuje nam kolekcję książek erotycznych, wspaniale oprawionych...

— Jest tam Meibomius: *Pożytek biczowania w małżeństwie i miłości*, oprawny przez jednego z pierwszych introligatorów paryskich, z kłamrami przedstawiającymi phallusy, trupie głowy, narzędzia tortur...

— Sam dał introligatorowi rysunki — powiada. — Z początku rzemieślnik wzdrażał się to wykonać... „Wówczas — mówi — pożyczyłem mu swoich książek... Teraz żona jego jest bardzo nieszczęśliwa... On ugania się za małymi dziewczynkami... Ale ja mam swoje kłamry”.

— Pokazał nam książkę przygotowaną do oprawy. „Na ten tom — powiadał — czekam na skórę, skórę młodej dziewczyny, jeden z moich przyjaciół wystarał mi się o nią... Garbują ją... Pół roku trzeba garbować... Chce pan obejrzeć książkę? Ale to nic ciekawego... Chciałbym mieć skórę z dziewczyny żywej... Na szczęście, mam przyjaciela, doktora Bartsch... wie pan, tego, który jeździ w głąb Afryki... przyrzekł mi, że przy okazji jakiej rzezi postara się dla mnie o skórę w tych okolicznościach... z Murzynki”.

<sup>135</sup>Ermitaż — rosyjskie muzeum w Sankt Petersburgu. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>intern — tu: lekarz odbywający praktyki. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>zblazowany — znudzony za sprawą nadmiaru wrażeń. [przypis edytorski]



I rozmowa zstępuje w tajemnice zmysłów, w przepaście seksualnych dziwactw, potworności. Kaprysy, perwersje, szaleństwa zmysłowej żądz — badane, roztrzęsane, analizowane. Sade, Tardieu<sup>138</sup>... Miłość leży jak na stole prosektorium, namiętności przesuwają się jak pod wziernikiem.

— Daliście prawdziwy kurs naukowy miłości w XIX wieku!

— To byłaby piękna książka do napisania, ale kto ją napisze? — *Historia naturalna miłości*...

— Czy wiecie, że pasy cnoty nie są mitem: fabrykuje się je jeszcze dzisiaj, i to męskie. Mówił mi to pewien ex-minister. W czasie jego ministrowania ścigano fabrykanta za wystawienie takiego przedmiotu. Sprawdzono jego książki i stwierdzono nazwiska odbiorców. Między tymi nazwiskami figurował człowiek z towarzystwa, którego żona, w czasie swojej nieobecności, zmuszała do noszenia takiego pasa, zabierając z sobą klucz. Ów minister znał tego człowieka i nawet żartował z nim na ten temat.

— Okrucieństwo w miłości, fizyczne czy moralne, jest znakiem końca społeczeństw...

— Społeczeństwo! W gruncie są tylko dwa światy: ten, w którym się ziewa, i ten, w którym pożyczają od ciebie dwadzieścia franków.

— Pewien lord mizantrop<sup>139</sup> mawiał: „Ludzie są źli, i kiedy umrę, będę miał przynajmniej tę pociechę, że nigdy nikomu nie wyświadczyłem przysługi”.

— To byłoby nie lada uwolnienie świata od szykownej głupoty i eleganckiego kretyństwa, gdyby tak cisnąć jaką machinę piekielną w piękny dzień, między czwartą a szóstą popołudniu, w *tout-Paris*<sup>140</sup>, kręcący się dokoła jeziora w lasku Bulońskim...

— Kiedyś, w lasku Bulońskim był taki ścisk powozów, że większość ich musiała wracać bocznymi alejami. Kto dziś nie ma powozu? Osobliwe społeczeństwo, gdzie wszyscy się rujnują. Nigdy popis zbytku nie był tak despotyczny i tak demoralizujący.

Doktor Robin mówi o potrzebach pracującego człowieka, o sztuce kulinarnej, o przyrządzaniu pokarmów. Gdyby ludzie (powiada) żywili się jak zwierzęta surowym mięsem, trawienie ich byłoby tak długie jak u zwierząt, i nie zostawałoby im czasu na pracę. Wierzy w to, że udoskonalenie jedzenia przedłuża życie. Wedle niego, w pierwotnych rasach było bardzo mało stuletnich starców.

— Słyszałem, że August Comte<sup>141</sup> ważył wszystko, co zjadał i wypijał.

— Tak opowiadał ktoś, kto go znał dobrze. Opowiadano też co innego. Znać wszyscy historię platonicznej miłości Comte'a dla pani D... Pani D... umarła i Comte co dzień nosił kwiaty na jej grób. Żona jego, z którą był rozwiedziona i której nie płacił, skryła się raz za grobem i udając głos pani D... poleciła mu, żeby płacił regularnie żonine alimenty. Twórca pozytywizmu zląkł się jak wszyscy diabli i nie pokazał się już na cmentarzu.

DOKTÓR ROBIN, *ciągnie niewzruszony*: — Pracuje się dobrze tylko o tyle, o ile się dobrze śpi, a śpi się dobrze tylko wtedy, kiedy się zjadło porządny obiad. Spójrzcie na mumie egipskie, u których zęby są zupełnie starte wskutek niedoskonałości młynków do mielenia zboża.

— Czy uważaliście, że oko smakuje potrawy, zanim się zetkną z podniebieniem. Przesolone potrawy mają swoją barwę.

— To dla mnie za subtelne.

GONCOURT: — Jeść i pić jest dla mnie obojętne; reszta... ledwie przyjemna...

— Och!

DOKTÓR ROBIN: — Dzisiejsza tak częsta skłonność do apopleksji<sup>142</sup>...

— Ja myślę, że wiele apopleksji wynika z dysproporcji między człowiekiem a stanowiskiem: od zbyt wysokiego stanowiska pękają małe mózgi...

— Ba, żyć tak czy inaczej? Co to jest życie? Dożywotnia używalność skupienia komórek.

<sup>138</sup>Tardieu, Auguste Ambroise (1818–1879) — francuski lekarz i specjalista w zakresie kryminalistyki. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>mizantrop — osoba nieżyczliwie nastawiona do ludzi. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>tout-Paris (fr.) — elita paryska. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>Comte, August (1798–1857) — francuski filozof, wiodący pozytywista, twórca terminu „socjologia”. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>apopleksja — wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

GONCOURT: — Oglądaliśmy kiedyś z Flaubertem katakumby paryskie. Patrząc na te zwaly kości, pytaliśmy sami siebie: po co to kłamstwo nieśmiertelności, szkielet?

— Aby nam pozwolić znieść życie, Opatrzność była zmuszona odjąć go nam połowę. Bez snu, który jest czasową śmiercią zgrzyot i cierpienia, człowiek nie dotrzymałby aż do śmierci...

— Nie czujesz piramidalnego nonsensu w tym zdaniu?

— Znałem młodą osobę, która mówiła: „Jestem szczęśliwa tylko wtedy, kiedy śpię, albo kiedy tańczę”.

— Natura ofiarowała hojnie człowiekowi wino, haszysz, opium, tytoń, jako szczęście zapomnienia o życiu, jako trutki na nudę istnienia.

— A muzyka, czy to nie lekarstwo?

— Muzyka działa leczniczo? Czemuż w takim razie wśród muzyków jest tylu wariatów?

— Zamkniętych lub nie...

BERTHELOT: — Może stąd, że to są ludzie, którzy czują, a nie myślą.

KTOŚ: — Ja w muzyce najbardziej lubię kobiety gdy słuchają...

— Tak, muzyka dla kobiety, to msza miłości.

— To rzecz, która najbardziej wznosi kobietę ponad życie, najbardziej przejmując ją wstrętem do tego, co rozsądne i realne. Może nie powinno się uczyć kobiet muzyki, to rodzi w niej zmysł tęsknoty do czegoś, co nie istnieje...

GONCOURT: — Dla nas obu muzyka mogłaby nie istnieć. Robimy wyjątek dla muzyki wojskowej.

GAUTIER: — Bardzo mnie cieszy to co mówicie. I ja jestem taki sam. Wolę ciszę od muzyki. Żyjąc od tylu lat ze śpiewaczką, doszedłem jedynie do tego, że rozróżniam dobrą muzykę od złej, ale obie są mi absolutnie obojętne. To jest swoją drogą ciekawe, że wszyscy pisarze naszych czasów są tacy. Balzac nienawidził muzyki. Hugo nie może jej znieść. Lamartine, który sam jest pianino do wynajęcia albo do sprzedania, nie cierpi muzyki. Jedynie paru malarzy zachowało te gusty...

— Teraz — ciągnął Gautier — jest moda uprzykrzonego *glukizmu*<sup>143</sup>. Szerokie frazy, wolne, wolne, niby muzyka kościelna... Byłem świeżo na *Królowej Saby*. Gounod<sup>144</sup> to szczerzy osioł. Są tam w drugim akcie dwa chóry Żydówek i Sabejek, które paplą przy studni płuczac sobie zadki. No tak, ładne te chórki, ale to i wszystko. W tym miejscu cała sala oddycha, i robi „ach!” — taka reszta jest nudna.

— A Verdi<sup>145</sup>?

— Pytacie mnie, co to jest Verdi w muzyce? To Dennery, fabrykant melodramatów. Popenił w muzyce tylko jeden wynalazek: kiedy słowa są smutne, on wpadł na to, aby zrobić w orkiestrze „tru tru tru” zamiast „tra tra tra”. Na pogrzebie nie daje wesołej aryjki. Rossini<sup>146</sup> dałby ją na pewno. Przecież to Rossini w *Semiramidzie* każe wchodzić cieniowi Ninusa na nutę rozkosznego walca. To jest cały geniusz Verdiego.

Na westchnienie Gautiera, ktoś pyta go, czemu nie pisze tego, co mówi.

— W „Monitorze”? Ba!

— Opowiem wam historyjkę — odpowiada spokojnie Gautier. — Pewnego dnia minister Walewski rzekł mi, żebym już zerwał z pobłażaniem i że mnie upoważnia, abym pisał o teatrze to, co myślę. „Ależ, rzekłem, w tym tygodniu grają sztukę pana X...” — A, odparł żywo minister, może pan zacznie od przyszłego tygodnia. No i oczekuję wciąż tego przyszłego tygodnia...

— Tak czy owak, krytyk ulega zawsze jakiemuś naciskowi: raczej przyjmuje sąd publiczności, niż go jej udziela.

— Tak, rzadkie jest, aby fabrykanci opinii w sztuce i literaturze nie podlegali tyranii głupców. Przewodnicy smaku publicznego są najczęściej jego lokajami.

— Nikt nigdy nie dowie się, do jakiego stopnia handlarze cudzych myśli i cudzych piór są głupi.

<sup>143</sup>glukizm — styl naśladowujący Christopha Willibalda Glucka (1714–1787), klasycystycznego kompozytora niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Gounod, Charles (1818–1893) — francuski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Verdi, Giuseppe (1813–1901) — włoski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>Rossini, Gioachino Antonio (1792–1868) — włoski kompozytor oper (stworzył ich 39). [przypis edytorski]

— I nigdy autor nie przyzna się przed sobą, że im bardziej sława jego rośnie, tym więcej talent jego liczy wielbicieli niezdolnych go ocenić...

— Człowiek wartościowy zachowuje tę wartość jedynie pod warunkiem, że zachowa swój instynkt wgardy dla opinii.

— Co za ironia! Ludzie inteligentni, genialni, zabijają się całe życie dla grubego bydlaka zwanego publicznością, pogardzając w duszy każdym z głupców, który ją składa.

GONCOURT: — Czytaliśmy wydawcy naszą *Germinie Lacerteux*. W miejscu, gdy Germinie powiada, iż, przybywając do Paryża, miała pełno wszy, Charpentier oświadczył nam, że, ze względu na publiczność, wszy trzeba zmienić na *robactwo*. Do czarta z publicznością, której trzeba zawsze kryć to, co brutalne, co prawdziwe! Cóż to za delikacja ta publiczność, i co ona ma za prawo żądać, żeby powieść zawsze jej kłamała, żeby jej zasłaniała brzydotę życia?...

FLAUBERT: — Kiedy szukałem wydawcy na *Panią Bovary*, przed Levym poszedłem do pana Jacottet. „Bardzo, bardzo, owszem... powiedział pan Jacottet — to bardzo *Cyzelowane*... ale, rozumie pan, nie może pan mieć pretensji do sukcesów takiego Amédée Achard, któremu właśnie, wydają dwa tomy; nie mógłbym się zobowiązać wydać tego w tym roku”. — *Cyzelowane!* — ryknął Flaubert. — Bezczelność! Niech nas wyzyskują, kradną, ale nie mają prawa nas sądzić. Zawsze miałem uznanie dla pana Lévy, za to, że mi nie pisał nigdy ani słowa o mojej książce.

— Chcieć dawać nową rzecz publiczności! Wiecie, co powiadał wielki krytyk Janin: że gdyby „*Revue des Deux-Mondes*” zmieniła kolor okładki, straciłaby dwa tysiące abonentów.

— Ba, ten sam Janin mówił raz w przystępie szczerości: „Wiecie, jakim cudem przetrwałem dwadzieścia lat? Tym, że zmieniałem opinie co dwa tygodnie... Gdybym mówił zawsze to samo, nikt by się nie interesował moim felietonem, umiano by mnie na pamięć przed przeczytaniem”.

GONCOURT: — Janin miał w ogóle dobre powiedzonka. Był czas, gdy go atakowano mocno. „Ataki! — powiadał nam — nonsens! Co mogą mi powiedzieć? Że jestem głupi, że jestem stary, że jestem brzydki. To mi jest zupełnie obojętne”.

— Raz tylko się oburzył, kiedy obwieszczono, że nie umie pisać po francusku. „Ja nie umiem po francusku? Przecież ja umiem tylko to! Nie znam historii, nie znam geografii, ale pisać po francusku...? Nic, to za gruby kawał”. Zresztą zaraz się pocieszył. „Ech, rzekł, to nie przeszkadza, że cały Paryż będzie na moim pogrzebie”.

— I ja go raz zastałem bardzo zmartwionego atakami brukowców. Ale tłumaczył to sobie tak: „Och, mój Boże, to bardzo proste; jest w kraju pewna suma obelg rocznie do ulokowania: dajmy na to, dwadzieścia tysięcy. Otóż pod rządem konstytucyjnym, tych dwadzieścia tysięcy obelg rozkłada się na króla, na ministrów itd. Dziś tamte lokaty odpadły wskutek cenzury, a zostaje ta sama suma obelg: można ją rozłożyć jedynie na kilku pisarzy, takich jak ja”.

Turgieniew zadumał się i rzekł: — Gdybym przywiązywał wagę do tych rzeczy, chciałbym żeby wryto na moim grobie tylko to, co moja książka zrobiła dla wyzwolenia włościan. Cesarz Aleksander kazał mi powiedzieć, że lektura mojej książki była ważnym czynnikiem jego decyzji.

Rzecz schodzi na wiekuiste zestawianie rzemiosła malarza z zawodem pisarskim. Ktoś z obecnych literatów zazdrości malarzom.

— Błogosławiony zawód w porównaniu z naszym! Tam szczęśliwe funkcjonowanie ręki i oka, tu męczarnia mózgu. Tam rozkosz, tu udręka.

— Ech, malarze też mają swoje utrapienia. Poza modernizmem, którym gardzą, najprawdziwsze talenty, jak Baudry, muszą powtarzać to, co tężsi od nich już robili. Okres wielkiego malarstwa jest zamknięty... został już tylko pejzaż...

— Byłem świeżo w salonie. Stanowczo, nie ma już malarstwa ani malarzy. Armia poszukiwaczy idei czy konceptów. Wszędzie fabuła w miejsce kompozycji. Inteligencja nie w pędzlu, ale w temacie. Literatura pędzla.

SAINTE-BEUVE, z *irytacją w stronę Goncourtów*: — A znów w literaturze za wiele malarstwa. „Dusza rzeczy”, powiadacie, barwa, ruch... To niemożliwe... Ja nie wiem, do czego to dojdzie i jak to będą brali, ale na dziś powinniście zabastować... Ten wasz opis papieża całego na biało... Nie, nie.

Artysta

Sztuka, Kłamstwo, Robak

*Naraz wpada w gniew:* — Neutraltynta<sup>147</sup>. Co to jest neutraltynta? Tego nie ma w słowniku. To wyrażenie malarskie. Nie każdy jest malarzem. To tak jak to niebo koloru herbacianej róży; her-ba-cianej róży. Co to ma być herbaciana róża. Jest tylko róża, to nie ma sensu.

— Ależ, skoro chcieliśmy wyrazić, że niebo było żółte w odcieniu żółto-różowym herbacianej róży, a wcale nie było różowe jak zwykła róża?

— W sztuce trzeba trafić do czytelnika, do odbiorcy — krzyczy Sainte-Beuve nie słuchając. — Tak, trzeba trafić... Do inteligencji wszystkich.

KTOŚ: — A jednak jest inna publiczność, nie publiczność danej chwili...

SAINTE-BEUVE, *z irytacją:* — Niby *potomność*? Wierzycie w to? (*Po chwili*). Albo ta wasza bohaterka, która czyta Kanta<sup>148</sup>... Wtedy Kant nie był tłumaczony. Gdzież wasza słynna prawda?

GONCOURT, *półgłosem do brata:* — Ależ był tłumaczony, i nie jeden raz...

JULIUSZ, *półgłosem:* — Nie mówże mu tego, nie darowałby nam...

— Epitet rzadki i dobrze dobrany, to cały pisarz.

GAUTIER, *do Goncourtów:* — Ale ludzie nieprędko to rozumieją, bądźcie pewni. Tak, na sto osób, które czytały waszą *Wenecję*, dwie ledwo pochwycają, o co wam chodziło. To stąd, że wielu ludziom, nawet inteligentnym, brak jest zmysłu artystycznego. Wiele osób nie widzi. Na dwudziestu pięciu facetów, którzy tu wchodzą, nie ma ani trzech, którzy by rozróżniali kolor tapety. Zrobiłem ten eksperyment na tu obecnym Renanie: kiedy oświadczył, że plac św. Marka w Wenecji to ohyda i że sztukę trzeba sądzić „elementami racjonalnymi”, spytałem go nagle o kolor obicia w jego pokoju... Nie macie pojęcia, jak się zmieszał. Trudno, aby mówić o sztuce, trzeba znać kolor ścian, w których się żyje co dzień: oczy są najlepszym instrumentem odczuwania artystycznego, lepszym niż „element racjonalny”... Sądzą was ludzie, którzy nie widzą, czy ten stół jest okrągły, czy kwadratowy... Toż samo ze mną. Ganią mnie i chwalą, nie rozumiejąc ani joty z natury mego talentu. Cała moja wartość — ale o tym nie powiedzą ani słowa — to że jestem człowiek, dla którego świat widzialny istnieje.

GONCOURT: — Nie wierzcie ludziom, którzy mówią, że kochają sztukę, a którzy, przez cały ciąg swego nędznego życia, nie wydali ani dziesięciu franków na jakiś szkic, rysunek, cokolwiek malowanego lub rysowanego. Kochankowi sztuka widok jej dzieł nie wystarcza; potrzebuje — czy jest bogaty, czy nie — mieć na własność odrobinę tej sztuki.

— Dziewiętnasty wiek zoperował kataraktę na oczach ludzkości. Uderzający przykład: Rousseau<sup>149</sup>, twórca poezji opisowej, spędził kilkanaście miesięcy w Wenecji, nie zwróciwszy uwagi na czarodziejstwo ramy i na poezję środowiska, tak jakby był sekretarzem w małej mieście francuskiej.

— Nauczyć się widzieć, to najdłuższa nauka w sztuce...

GONCOURT: — Mam wrażenie, iż umrzemy z przekonaniem, że nikt nie przeczytał książki ani nie widział obrazu...

— Rzecz, która słyszy może najwięcej głupstw w świecie, to obraz na wystawie.

— A w muzeum!

— Jedna rzecz jest nieobliczalna: kwadrat głupstwa, które rozwija przy *table-d'hôte* Rzym u mieszczuchów.

— Cytowaliście Janina i jego powiedzenia. Zastanawiałem się kiedyś, ile doskonałych powiedzeń przepada przez to, że autorami ich nie są sławni ludzie.

— Doskonałych, zwłaszcza mimo woli. Ja na przykład znałem człowieka, który rzekł swojej kochance, kiedy zgubiła fałszywy ząb wartości dwustu franków: „Może by ogłosić?”.

— A ten właściciel ziemski, nasz sąsiad, który mówił do syna: „Jesteś bogaty, mów

Sztuka, Oko

Bogactwo

<sup>147</sup>*neutraltynta* — rodzaj szarego barwnika. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*Kant, Immanuel* (1724–1804) — przedstawiciel klasycznej filozofii niemieckiej; twórca teorii, według której poznanie rzeczy odbywa się poprzez umysł narzucający rzeczom, które same w sobie są niepoznawalne, konkretne formy. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>*Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — francuski pisarz oraz filozof; postulował powrót do natury, odrzucal zdobycze cywilizacji, w tym pojęcie własności prywatnej; swój model człowieka idealnego, dobrego, wychowywanego w naturze przedstawił w dziele z 1762: *Emil, czyli o wychowaniu*. [przypis edytorski]

głośno!”

— A matka młodego Pouthier, która wyrzucała synowi, że niczym nie jest, nic nie robi, nic nie umie, a zakończyła słowami: „W twoim wieku byłam już matką!”

— A ten jegomość, który chciał wydać córkę za męża za człowieka, zdolnego, jak twierdził, dać jej szczęście i streścił jego zalety tym zdaniem: „Doskonale wytłumaczył mi barometr”.

— Przechadzaliśmy się nad morzem z pewną kobietą, naszą znajomą, wyrzucaliśmy jej kochanka, który jest jej niegodny. Odparła naiwnie: „Cóż chcecie abym robiła, kiedy się nudzę i kiedy deszcz pada?”

— Brown, wiecie, ten malarz koni, opowiadał mi ładną historię. Wezwał go Pointel, chrześcijański redaktor ilustrowanego pisma, aby zamówić u niego drzeworyt. Spytał go, co on robi. „No, konie. — Konie?!... bąknął redaktor. Zaczął chodzić nerwowo po gabinecie, po czym przystanął na wprost malarza: — Konie... Konie prowadzą do dziewczyn. Dziewczyna to śmierć rodziny. Nigdy nie będzie koni w moim tygodniku”...

GAUTIER: — Panowie, przyznaję palmę pierwszeństwa chrześcijańskiemu redaktorowi i zamykam posiedzenie.

## CZWARTY OBIAD

Rozmowa wszczyną się dokoła wydarzenia dnia. książki Renana<sup>150</sup> *Życie Jezusa*. Rozlega się charakterystyczny głos Teofila Gautier, głos za wąty jak na jego ogromne ciało, słowa wlokące się wolno, jakby senne, ale harmonijne:

— Przyznam się, że dla mnie to jest trochę niewyraźne. Ten Bóg, który nie jest Bogiem... Ja bym to napisał inaczej. Pokazałbym Jezusa, syna cieśli i kupczynie perfum, urwisa który zmywa z domu i gwizdże na matkę... otacza się chmarą obwiesiów, karawaniarzy, dziwek, spiskuje przeciw rządowi... w końcu krzyżują go czy kamienują i mają ze swego punktu widzenia rację. Ten Jezus to socjalista, pies na bogaczy, wściekły doktryner, burzyciel rodziny, własności... Topi świat w morzu krwi, wznieca prześladowania, inkwizycje, wojny religijne, grąży cywilizację w mrokach po jasnym świetle politeizmu, niweczy sztukę, niweczy myśl... tak że wieki, które przychodzą po nim, to jest szczerre lajno, aż wreszcie parę rękopisów zawleczonych z Konstantynopola i kilka ułamków posągów, odnalezionych w renesansowej Italii, staną się dla ludzkości czymś niby jasny dzień odkryty — w ciemnej nocy...

— Tak, to byłaby książka — konkluduje Gautier. — To byłoby może fałszywe, ale miałyby swoją logikę. Można by też postawić tezę wręcz przeciwną i przeprowadzić ją co najmniej równie dobrze. Ale nie rozumiem książki między jednym a drugim. Zresztą, gdy chodzi o kreację mitów, przewiduję dzień, w którym nowoczesne ludy będą miały boga przyrządzonego z amerykańską, boga który istniał i który będzie potwierdzony świadectwami gazet. Będzie figurował w kościołach, ale obraz jego nie będzie zdany na kaprys artysty, utrwali się go fotograficznie. Tak, wyobrażam sobie boga sfotografowanego i w okularach... W tym dniu cywilizacja dosięgnie swego szczytu: wówczas będą pływały po Wenecji parowe gondole.

— Byliście na Wystawie? To ostatni cios zadany przeszłości: *amerykanizacja* Francji, przemysł bijący sztukę, parowa wyżymaczka rozpierająca się kosztem obrazu, nocniki z przykrywką, słowem wielka federacja Materii.

BERTHELOT: — Stany Zjednoczone interesują się naszymi wynalazkami naukowymi jedynie pod kątem zastosowania. Kto wie, czy nauka, czysta, piękna, abstrakcyjna, gardząca industrializmem, nie jest, jak sztuka, związana z ustrojem arystokratycznym?

— W chwili szczerości Amerykanie powiadają czasami: „My jesteśmy narodem, który ma najbielszą skórę na całym świecie!” I to przeświadczenie wiedzie ich do tego, aby wszystkie inne białe narodowości świata traktować jak negrów<sup>151</sup>.

— Mówcie co chcecie, w tych ludziach jest młodość. Wczoraj jadłem obiad w ambasadzie, siedziałem obok żony posła Stanów Zjednoczonych w Brukseli, Amerykanki. Cóż

<sup>150</sup>Renan, *Joseph-Ernest* (1823–1892) — francuski historyk, pisarz, filozof i filolog; zajmował się zwłaszcza filologią orientalną, filozofią kultury oraz historią religii; autor znanego dzieła *Żywot Jezusa* (1863). [przypis edytorski]

<sup>151</sup>negr (daw.) — Murzyn. [przypis edytorski]

za swobodny zdobywcy wdzięk, cóż za diablak młodej rasy, artyzm zalotności i władzy u tych dziewcząt, gdy wyjdą za mąż! Kiedy patrzę na to i na impet wielu paryskich Amerykanów, mam uczucie, że ci ludzie są przeznaczeni na przyszłych zdobywców świata.

— Ja widziałem na Wystawie rzecz straszliwą: porcelanowe wieńce z nieśmiertelników. Wspomnienia i żale zmienione w jednorazowy wydatek!

— To jest nieśmiertelność w stylu owego amerykańskiego boga.

FLAUBERT: — Znałem pewnego ateistę. Poszedł raz z przyjacielem na ryby. Przyjaciel zarzucił wędkę i wyciągnął kamień, na którym było napisane: „Nie istnieję. — Podpisane: Bóg”. Na to ateista mówi: „A widzisz!”

— Kiedy niedowiarstwo staje się wiarą, głupsze jest od religii.

— Jest jakby jakiś nowy pęd religijny...

— O tak, jest. Wczoraj byłem u mego dentysty. Podczas gdy mi czyścił zęby, nachylony nade mną, rzekł nagle: „Czy pan styka się czasami z księżmi? To głupcy! Nigdy nie umieli mi określić, co to jest Bóg”. Tu głos dentysty nabral brzmień apostołskich. „Bóg nie może być człowiekiem, on jest zasadą. Tylko jeden filozof powiedział to: Bacon<sup>152</sup>. Co się tyczy Marii, to jest powszechne odradzanie się, odbicie Boga. Tego księcia nigdy nie sformułowali, a przecie Apoloniusz tjański<sup>153</sup> widział ją w ten sposób na wieki przed jej urodzeniem, bo była odwiecznie”... I tak mówił mój dentysta bardzo długo...

— We wszystkich społeczeństwach od początku świata istniał ateizm klas wyższych, ale nie znałem jeszcze społeczeństwa, które by przetrwało z ateizmem ludzi z dołu, potrzebujących, biedaków...

— Wielkość Boga — rzekł starszy Goncourt na wpół do siebie — objawia mi się zwłaszcza w nieskończoności cierpień ludzkich. Liczba chorób przeraża mnie jeszcze bardziej niż liczba gwiazd.

— Bóg — zawtórował echowo Juliusz — to kat i dręczyciel powszechnego życia, zatruwacz rajów na ziemi, niebieskiego nieba, pięknego klimatu, zaludniający najpiękniejsze kraje złośliwą gorącą, dzikimi zwierzętami, bezlikiem insektów...

SAINT-VICTOR: — Któż bierze rzeczy w ten sposób? Od czego jest się artystą? Nie znam nic piękniejszego, niż wielkie święto w katedrze św. Piotra w Rzymie, kardynałowie czytający swoje brewiarze<sup>154</sup>, rozwaleni w fotelach... Tak, religia katolicka, to w gruncie bajeczna mitologia...

Ktoś mówi o kardynałach, o ich szerokiej ręce w sprawach miłości; na co Saint-Victor: — E, dla nich dogmaty to jak reguły w wiście<sup>155</sup>: trzeba się im poddać, ale nie przywiązują do nich zbytnej wagi.

Po chwili ciągnie dalej: — Kant<sup>156</sup>, za każdym razem kiedy chce zbudować system i czuje, że mu się wali, powiada, że istnieje tylko poczucie moralne, tylko imperatyw obowiązku... Ale to diablo zimne, diablo suche... Czemu na tej ziemi?... Czemu śmierć? W gruncie, to jest nieustająca myśl człowieka. I że nikt z umarłych nie zjawi się we śnie, aby ostrzec żyjących; syn ojca, matka córkę... Ach, moi drodzy... *Diis ignotis*<sup>157</sup>, to był piękny ołtarz w Atenach...

GAUTIER: — Bzdury. Wyobrażacie sobie moją duszę, która zachowała świadomość mego *ja*, pamiętającą, że pisywałem w „Monitorze” na *quai Voltaire* nr. 13...

SAINT-VICTOR: — Zapewne, trudno jest wyobrazić sobie duszę pana Prudhomme<sup>158</sup>, zjawiającego się w złotych okularach przed obliczem Boga i zaczynającego w ten sposób: „Budowniczy światów!...”

<sup>152</sup>Bacon, Francis (1561–1626) — angielski filozof, przedstawiciel empiryzmu. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>Apoloniusz z Tjany (15–100 n.e.) — grecki filozof, pitagorejczyk. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>brewiarz — księga zawierająca zbiór modlitw obowiązkowych dla księży. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>wist — gra karciana, poprzednik brydża. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>Kant, Immanuel (1724–1804) — przedstawiciel klasycznej filozofii niemieckiej; twórca teorii, według której poznanie rzeczy odbywa się poprzez umysł narzucający rzeczom, które same w sobie są niepoznawalne, konkretne formy. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>*Diis ignotis* (łac.) — bogom nieznanym. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>pan Prudhomme — postać z satyrycznych rysunków i utworów komediowych Henryka Monnier, symbol głupoty francuskiego mieszczaństwa. [przypis edytorski]

GAUTIER: — Przyjmujemy doskonale *nieświadomość przed życiem*, łatwo tedy przyjął ją *po życiu*. Oto baśń starożytnych: puchar letejski<sup>159</sup>. Ja się boję tylko tego momentu, kiedy moje *ja* wstąpi w noc, kiedy stracę świadomość, że byłem...

KTOŚ, *bardzo nieśmiało*: — Ale jest przecież wielki zegarmistrz!

INNY GŁOS: — Och, skoro schodzimy do cechu zegarmistrzów!

— Słuchajcie — ciągnie niewzruszony Gautier — przyjąwszy istnienie żyjących stworzeń na słońcu, człowiek mający pięć stóp wzrostu na ziemi, miałby 750 mil wzrostu na słońcu; to znaczy, że podeszwy twoich butów miałyby dwie mile, tyle co ma morze w najgłębszym miejscu. I, stojąc na tych dwu milowych podeszwach, posiadałbyś 75 mil męskości w stanie naturalnym...

— Och!

— Widzicie — ciągnie Gautier — nieśmiertelność duszy, wolna wola, to bardzo zabawne zajmować się tym do dwudziestego roku, ale potem to nie uchodzi. Trzeba postarać się mieć kochankę, która by szanowała wasze nerwy, urządzić się wygodnie u siebie, mieć ładne obrazy, a zwłaszcza dobrze pisać. Tak, to główne: zdania porządnie odrobione, trochę metafor... Zwłaszcza metafory, to ozdabia egzystencję...

— Największa siła religii chrześcijańskiej — mówił z cicha Goncourt — to że ona jest religią smutków życia, nieszczęść, zgryzot, chorób, wszystkiego co utrapia duszę, serce, ciało... Zwraca się do tych, co cierpią. Przyrzeka pociechę tym, co jej potrzebują, nadzieję tym, co są zrozpaczeni. Religie starożytne, to były religie radości człowieka, uczyły życia. To jest różnica taka, jak między wieńcem z róż a chustką do nosa. Religia chrześcijańska służy, kiedy się płacze...

— Kobietom. Religia jest u kobiety częścią płci.

TAINÉ: — Och, ten spleen<sup>160</sup>, to choroba związana z naszym zawodem. Trzeba zwalczać spleen wszystkimi środkami higieny, moralności, metody!

JULIUSZ GONCOURT: — Ależ cały nasz talent związany jest z tym chorobliwym stanem nerwów!

EDMUND: — Kto wie, może nasz talent to jest połączenie chorej wątroby z chorym sercem...

— Ktoś powiedział, że, kiedy Napoleon wyleczył swój świerzb, przestał wygrywać bitwy. Może to wielka myśl. Ostrość krwi u syfilityka Chamforta zrodziła jego ostrość myśli...

— Wszyscy obserwatorzy są smutni i muszą być smutni. Przyglądają się życiu, nie są jego aktorami, ale świadkami. Nie czerpią z tego życia nic, co omamia lub upija. Melancholia to ich stan normalny.

— Jedna z wielkich rewolucji współczesnych to przeobrażenie śmiechu. Śmiech był dawniej dobroduszny, dziś to istny opętaniec. Komizm dzisiejszy, w swojej chorobliwej nerwowości, to jedna z odmian epilepsji<sup>161</sup>, coś z tańca św. Wita.

— Słabość człowieka to jego poczucie przeszłości i przyszłości. Teraźniejszość zawsze trochę cierpi od wspomnienia albo od nadziei...

— Kto wie, może talent potrzebuje czegoś chorobliwego, jakiegoś fizycznego ukrzyżowania, jak Heine<sup>162</sup>?...

TAINÉ: — Nie, nie. Te stany apatii, prostracji<sup>163</sup>, to trzeba zwalczać. To są objawy schyłkowej cywilizacji. Lekarstwa na tę dekadencję trzeba szukać w Anglii. Trzeba po dziecinnemu imitować angielskie obyczaje: sport, patriotyzm, życie obywatelskie...

KTOŚ *krzyczy*: — Talent w butach gwardii narodowej!

— Tej, której Béranger<sup>164</sup> jest Anakreontem<sup>165</sup>.

<sup>159</sup>*puchar letejski* (mit.) — Leta była jedną z rzek krainy zmarłych, a jej woda miała przynosić zapomnienie. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*spleen* — nuda i przygnębienie, wynikające z poczucia beznadziejności życia. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*epilepsja* — padaczka. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Heine, Heinrich* (1797–1856) — niemiecki poeta romantyczny, znany liryk, w późniejszym okresie twórczości często wypowiadający się na tematy polityczne. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*prostracja* — stan skrajnego wyczerpania nerwowego. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*Béranger, Pierre-Jean de* (1780–1857) — francuski poeta, zasłynął jako autor piosenek i wydatnie przyczynił się do ukształtowania tradycji francuskiej *chanson*. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Anakreont* (570 p.n.e.–ok. 485 p.n.e.) — grecki poeta znany z krótkich utworów miłosnych. [przypis edytorski]

TAINÉ, *niewzruszony*: — Rozmawiałem kiedyś o tym z Micheletem. On też stwierdził ten nowoczesny smutek, brak radości, owej radości rabeleżjańskiej, radości z której Luter czynił cnotę. Michelet<sup>166</sup> przypisuje ten smutek skomplikowaniu współczesnej myśli, trudności wyboru wśród tylu nowych dróg ducha, szarpaninie wszechstronnych studiów. On to nazywa zwielokrotnieniem horyzontów naszego mózgu. „Ja — powiadał — cierpiałem na straszliwe migreny<sup>167</sup>. Lekarz bał się dla mnie szaleństwa, kilka tygodni we Włoszech nie przyniosło mi żadnej poprawy. Wtedy powiedziałem sobie: „Nie będę więcej czytał książek, będę je sam pisał”. Od tej chwili, wstając rano, wiedziałem dobrze, co mam do roboty, myśl była zajęta naraz tylko jednym przedmiotem, byłem uleczony”.

I znów pada z kąta sakramentalne stówko: „A kobieta?”...

— Szkoda, żeś nie był kiedyś na obiedzie u pani de Girardin. Usłyszałbyś, co za diatrybę<sup>168</sup> wyrzucił książę de Morny przeciw kobietom. A że nie mają smaku, a że nie wiedzą, co dobre, że nie umieją być ani łakome ani rozwiązłe, wszystko w nich tylko kaprys, upór... Potem wygłosił ten wcale piękny, jak na męża Stanu, aksjomat, że nieco rozpusty łagodzi obyczaje narodów, a wreszcie — ku wielkiemu oburzeniu jednej uczciwej kobiety, która się tam znalazła — podjął śmiało i oryginalną apologię wyspy Lesbos, która, jak twierdzi, rafinuje kobietę, udoskonala ją, dopełnia...

— Nieźle, jak na ministra...

— To punkt widzenia wielce społeczny. Ale ja nadmieniałbym co innego. Kiedyś zastanawiałem się, że, biorąc społecznie, kobieta jest zawsze czynnikiem destrukcyjnym dla honoru męża: mam na myśli honor w jego pojęciu najwyższym, najczystszy, najidiotyczniej idealnym. Kobieta — w imię interesów materialnych — staje się doradczynią, która popycha do kompromisów, do upodleń, do wszystkich przetargów sumienia.

GAUTIER: — Et, kobieta niknie. Niedługo będzie zabytkiem. Istnieje jedynie gimnastyka Wener<sup>169</sup>. Nie ma już salonu, nie ma atmosfery, nie ma towarzystwa. Ciekawa rzecz! Byłem kiedyś u ministra Walewskiego. Nie jestem ostatecznie byle kto. Otóż, znałem w towarzystwie ze dwustu mężczyzn, ale nie znałem ani trzech kobiet. I nie ja jeden. A pod względem fizycznym! Zrobiłem przegląd w ostatni poniedziałek u cesarzowej: chude to wszystko, bezmięsne, płaskie, ościste, kościste, cienkie tak, że można stan objąć palcami, nic ciała, ledwie trochę miejsca na miłość.

Kobieta, Ciało

DOKTÓR: — Przed kilku laty, z powodu epidemii ospy, wezwano mnie do wielkiego domu, gdzie dwadzieścia młodych kobiet zebrało się, aby się dać szczepić. Za każdym nowym ramieniem miałem uczucie, że to pergamin; ale potem, po damach, przyszła kolej na służące. To co innego: nożyk wchodził w ciało niby w jabłko pełne soku.

Flaubert zaczyna głośno recytować ustępy z tragedii Bouilleta o wynalazku szczepienia ospy, nadziane straszliwymi metaforami.

GAUTIER, *ciągąc swoją myśl*: — Wszystko to chlorotyczne<sup>170</sup>, o wyglądzie upiornym, niezdrowym, ratuje je tylko ta odrobina inteligencji w twarzy...

GONCOURT: — Inteligencja! Artystom, ludziom takim jak my, trzeba kobiety niezbyt wykwintnej, niezbyt wykształconej, ot, sama wesołość i naturalność... Taka zawsze potrafi zabawić i rozweselić, niby miłe zwierzątko, do którego można się przywiązać. Ale kochanka, która otarła się w świecie, liznęła trochę sztuki, trochę literatury, która zapragnie obcować na równej stopie z naszą myślą, z naszym poczuciem piękna, która ma ambicję stać się towarzyszką naszej książki na warsztacie albo naszych gustów, jest nieznośna jak rozstrojony fortepian i rychło staje się znienawidzona.

Kobieta, Artysta

— Trudno znaleźć w Paryżu ideał kochanki, kobietę, która by nie żądała, aby się często golić i nie wypytywała o książkę w trakcie pisania.

Tu posypał się deszcz aforyzmów o kobietach.

<sup>166</sup>Michelet, Jules (1798–1874) — francuski filozof i historyk, profesor m.in. Sorbony i Collège de France. Głosił poglądy liberalne i antyklerykalne; sympatyzował z Polską, opublikował m.in. tekst *Kościuszko, legenda demokratyczna* (1851). [przypis edytorski]

<sup>167</sup>migrena — intensywny, punktowy lub jednostronny ból głowy. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>diatryba — mowa wyrażająca krytykę lub protest. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>Wenera — Wenus, rzymska bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>chlorotyczny — charakterystyczny dla chlorozy, choroby roślin utrudniającej im produkcję chlorofilu. [przypis edytorski]



— Uważaliście, że wiele kobiet ma głos dający się odmieniać wedle toalety<sup>171</sup>: głosy jedwabne, głosy aksamitne...

— Kiedyś, w książce z wypożyczalni, wyczytałem takie zdanie: „Kobieta, która nie była ładna, nigdy nic była młoda”... Obok dopisano ołówkiem, kobiecą ręką: „To smutna prawda”...

— Urok rzeczy to ich zepsucie; nie dobroć albo czyste piękno, ale zwłaszcza zepsucie. Kocha się szalenie kobietę za jej draństwo, za jej niegodziwość, za szelmostwo jej głowy, serca, zmysłów, jak zwierzynę, która trąci...

— Pewien lekarz szwajcarski sławny ze swoich kuracji w chorobach kobiecych, twierdził, że jedynie wtedy może być pewnym wyleczenia, o ile kobieta zgodzi się wziąć go równocześnie za lekarza i za kochanka. I nie było w tym cienia rozpusty, po prostu chodziło mu, jako lekarzowi, o doskonałe poznanie pacjentki.

Ktoś wyklada sąsiadowi swój system: — Grunt, to zaprzętać kobietę, którą się kocha; żądać od niej wszystkiego czasu, wszystkich myśli, narzucać jej w tym celu drobne zajęcia, na przykład zmuszać ją, niech wstaje rano, aby pisać listy na siedem czy osiem stronic. Potem robić jej ciągle sceny, zabraniać jej przyjmowania znajomych, wymagać wszelkiego rodzaju poświęceń, dąsać się, łajać, burczyć, przepraszać, potem znowu obrażać, trzymać ją wciąż na krawędzi zerwania albo pojednania. Bębnić wciąż po jej sercu, aby się nie nudziło...

— Wczoraj w towarzystwie kobieta dobrej tuszy, niezbyt już młoda, ale jeszcze bardzo powabna, mówiła żartem, że mogłaby sobie zaproszyć głowę pięćdziesięcioletkiem. Kiedy wyznanie to obudziło śmiech dokoła, dodała: „Zawsze miałam lekką słabość do starszych panów; nigdy nie lubiłam bardzo młodych ludzi: to pustka, czczość... A przy tym, młodzi ludzie to zanadto ruchliwie: ciągle to musi latać, tańczyć, trząść się na koniu. A że ja byłam zawsze trochę zażywna<sup>172</sup>, wolałam siedzieć sobie w dobrym fotelu czy na kanapie, z wyciągniętymi nogami, z ludźmi, którzy siedzą i rozmawiają”.

— U księżniczki znowuż rozmawiano o ludziach, którzy przypłacili życiem miłość małżeńską. Na to ktoś wspomniał o małżeństwie krewniaków księżnej de Noailles, których miłość, długo hamowana, wyładowała się z taką furją po ślubie. Gdy lekarze zabronili im wszelkiej styczności, rozdzielono ich w łóżku szybą, tak aby się mogli choć widzieć.

TURGIENIEW, który cały czas milczał, zaczyna mówić: — Moje życie, mogę powiedzieć, nasycone jest kobiecością. Ani żadna książka, ani nic w świecie nie może mi zastąpić kobiety... Jakby to wyrazić...? Uważam, że jedynie miłość daje pewien kwiat istnienia, którego nie da nic, prawda?... Ot, będąc młodym człowiekiem, miałem kochankę, młynarkę z okolic Petersburga, którą widywałem na polowaniu. Była urocza, taka biała... Nie chciała nigdy nic przyjąć ode mnie. Aż, jednego dnia, powiedziała mi: „Musi mi pan zrobić prezent. — A czego chcesz? — Niech mi pan przywiezie z Petersburga pachnące mydło”. Przywiozłem jej mydło. Bierze je, znika, wraca zaczerwieniona ze wzruszenia i szepce, podając mi ładnie pachnące ręce: „Niech mi pan ucałuje ręce tak, jak pan całuje w salonie petersburskie damy”. Upadłem jej do nóg... i wiecie, nie ma momentu w moim życiu, który by był wart tej chwili.

Zamyślił się. — Chyba wiersze Puszkina — dodał. Kiedy jestem smutny, zgnębiony, dwadzieścia wierszy Puszkina wyrывa mnie z apatii, ożywia mnie. podnieca, napawa rozczuleniem, podziwem, jakiego nie obudzi we mnie żaden szlachetny czyn. Tak, mimo wszystko, literatura...

— Właściwie, miłość nic była dotąd studiowana w powieści naukowo...

GAUTIER: — No, Turgieniew, sięgnij pan jeszcze do swoich damskich wspomnień. Płowowłosy olbrzym uśmiechnął się i mówił jakby do siebie:

— Za młodu zalecałem się do panny, która wyszła za innego. Po ośmiu latach spędzonych w Niemczech, wróciłem do Rosji. Było to w lipcu. Spotkałem tę młodą osobę u jej matki, podczas trzydniowej zabawy, jaką dawała z powodu urodzin córki. Była sama; męża, chorego hipochondryka, zostawiła w domu. Matka jej była zwariowana na punkcie zabaw, dom huczał od wesela, tańców... Jednego wieczora, poprosiłem młodą osobę do mazurki. „Zależy panu na tym tańcu? Może byśmy porozmawiali? — Służę pani”.

<sup>171</sup>toaleta — tu: strój. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>zażywny — tęgi, lecz energiczny. [przypis edytorski]

Wyszliśmy z sali balowej. Obok był szereg pokoi, w których grano w wista; potem inne, oświetlone tylko blaskiem księżycy, ale wystawione na to, że co chwila wpadali tam tancerze. Siedliśmy w jednym z ostatnich pokoi, na otomanie, na wprost wielkiego otwartego okna. Rozmawiamy; ona, trochę odwrócona ode mnie, patrzy w ogród. Od czasu do czasu pary tancerzy wpadają do pokoju, kręcą się w tańcu i znikają.

Naraz, ona zwraca ku mnie wielkie oczy, oczy olbrzymie, skośne trochę jak u Chin-ki. I, nie wiem jak się to stało, ale w jednej chwili znalazła się na mnie i była moja... Zostało mi uczucie jej twardych zębów, warg zimnych jak lód i wnętrza ciała, gorącego jak płomień... Wybiegła z pokoju, pognąła do ogrodu zachwycić powietrza. Nazajutrz dowiedziałem się, że wyjechała. Ujrzałem ją po kilku latach; nigdy nie śmiałem zrobić aluzji do tego wieczoru. Czasami pytam sam siebie, czy to prawda...

Rozmowa przechodzi na Alfreda de Vigny<sup>173</sup>, który niedawno umarł. Sainte-Beuve rzuca na świeży grób — anegdoty. Goncourt powiada półgłosem do brata:

— Kiedy słyszę Sainte-Beuve’a, jak swymi zdańkami muska nieboszczyka, mam wrażenie, że to mrówki oblaży trupa. Upora się z tą sławą w dziesięć minut, i ze znakomitego jegomościa zostawi czyściutki szkielet.

— Mój Boże — powiada Sainte-Beuve — nie bardzo wiadomo, czy on w ogóle był szlachcic; nikt nigdy nie widział żadnej jego rodziny... To był szlachcic z roku 1814, w owej epoce nie wglądano w te rzeczy zbyt ściśle. Jest w korespondencji Garricka jakiś de Vigny, który go prosi o pieniądze, ale bardzo *szlachetnie*... wybrał właśnie jego, aby go wyróżnić. Ciekawe byłoby wiedzieć, czy to przodek hrabiego Alfreda... Alfred de Vigny to był przede wszystkim *anioł*, zawsze anioł. Nigdy nikt nie widział u niego befsztyka. Kiedy ktoś go żegnał o siódmej, aby iść na obiad, on pytał: „Jak to! pan już idzie?” Nie rozumiał nic z rzeczy realnych, realność nie istniała dla niego... Miał wspaniałe powiedzenia. Po jego mowie w Akademii przyjaciel napomknął, że mowa była trochę długa. Na to Vigny wykrzyknął: „Ależ ja wcale nie jestem zmęczony!”. Był przy tym bardzo niezręczny: do Akademii dostał się dzięki pewnej kombinacji, z której nigdy nic nie zrozumiał. Kiedy kogoś zalecał do nagrody, gubił go...

Tu, korzystając z chwilowej nieuwagi Gautiera, Sainte-Beuve i paru bliskich rozważają szanse jego kandydatury do Akademii.

— Nie ma żadnych widoków — powiada Sainte-Beuve. — Trzeba by mu rok strawić na wizytach, staraniach, nikt z Akademików go nie zna... Rozumiecie... u nich najważniejsze jest, aby widywali człowieka, aby się oswoili z jego twarzą... Wybory... rozumiecie... to jest intryga... intryga w dobrym znaczeniu słowa (*poprawił się*). No więc — *tu liczy na palcach* — będzie miał Wiktora Hugo, Feuilleta, Remusatę... musiałby ich dopilnować... Przez księżniczkę można by mieć takiego de Sacy...

— Och, jakże przykro było patrzeć wczoraj, jak nasz Theo nadskakiwał temu de Sacy, jak ten go traktował niedbale, przez ramię... Co to jest ta namiętność Akademii, to istna choroba. I biedak zakaszłał się straszliwie, i już dowcipnisie zaczęli szeptać, że on kaszle po to, aby się dostać do Akademii.

RENAN: — Cóż chcieć! Nic tak nie maluje wszechpotęgi Akademii, jak powiedzenie jednego żandarma. Było to w epoce Wystawy; z powodu wielkiego napływu publiczności, dano mi w sali rękopisów za towarzysza żandarma. Gdyśmy zostali sami, żandarm wyciąga rękę ku drewnianym oprawom odwiecznych manuskryptów i mówi: „Proszę pana, te wszystkie dzieła są pewno nagrodzone przez Akademię?”

GONCOURT: — Akademię wynaleziono po to, żeby wolały pana Autran od Gautiera, pana Flurens od Wiktora Hugo, a wszystkich od Balzaka.

Turgieniew słucha tej rozmowy z ojcowską ironią i opowiada co następuje:

— Była w ambasadzie rosyjskiej uroczystość z okazji oswobodzenia chłopów, wydarzenia, w którym, jak wiecie, odegrałem pewną rolę. Hrabia Orłow, który jest moim przyjacielem, na którego ślubie byłem świadkiem, zaprosił mnie na obiad. Nic jestem może pierwszym pisarzem w Rosji, ale w Paryżu, skoro nie ma innego, przyznacie, że jestem pierwszy. Otóż, w tych warunkach, wiecie, jak mnie posadzono przy stole? Miałem czterdzieste siódme miejsce, siedziałem za popem, a wiadomo, jaką pogardą otoczony jest duchowny w Rosji...

<sup>173</sup>de Vigny, Alfred (1797–1863) — francuski poeta romantyczny. [przypis edytorski]

— Wiecie, co powiedział Royer-Collard, kiedy, swego czasu, Hugo był u niego z przepisową wizytą? Że czytał jego książki, że jedne mu się podobają, inne nie, ale że nie da mu głosu, bo wchodząc do Akademii, Hugo wniósłby temperaturę, która zmieniałby jej klimat.

— Hugo w Akademii lubił posiedzenia słownikowe, lubił etymologię, zachwycała go tajemniczość trybów warunkowych, przysłówków...

Potem Turgieniew opowiada o swoim wydawcy moskiewskim, który zaledwie umie czytać i podpisać się. Otoczony jest tuzinem fantastycznych staruszków, swoich lektorów i doradców, którym płaci po 700 kopiejek rocznie. Co za typy, co za cyganeria! Szkicuje nam portret pijaka, który, aby mieć na wódkę rano, ożenił się z dziewczyną publiczną za 20 kopiejek. Pijak ten napisał niepospolitą komedię, którą Turgieniew wydał.

Tymczasem Gautier, rozmawiając w innym kącie stołu, powtarzał miłośnie zdanie, które słyszał w ustach Flauberta, że „z formy rodzi się myśl”.

— Tak, *z formy rodzi się myśl!* To najwyższa formuła, którą powinno by się ryc na ścianach. Forma to myśl, to piękno, to wszystko!

— Co to jest piękno? Co to jest piękno w sztuce? — rzucił ktoś.

EDMUND GONCOURT: — Piękno to jest to, co się wydaje szkaradne niewyrobionym oczom. Piękno to to, co waszej kochance i waszej kucharce wyda się instynktownie okropne.

JULIUSZ: — Widzieć, czuć, wyrazić — cała sztuka jest w tym.

— Sztuka to *uwiecznienie*, w formie najwyższej, absolutnej, ostatecznej, znikomości jakiejś ludzkiej istoty lub rzeczy...

GAUTIER: — Tak, wszystko gnije i kończy się bez sztuki. To balsamator umarłego życia: nic nic osiągnie odrobiny nieśmiertelności, prócz tego, co ona dotknęła, co opisała, odmalowała lub wyrzeźbiła...

TAINE: — Każdy człowiek z talentem jest produktem swego środowiska.

GONCOURT: — Nic podobnego. Gdzie pan znajdzie, pytamy, źródło egzotyizmu Chateaubrianda<sup>174</sup>? To ananas wyrosły w koszarach.

GAUTIER: — Święta racja. Mózg artysty jest taki sam w czasach Faraonów, jak dziś. Co się tyczy mieszcuchów, możliwe, że ich mózg się zmienił, ale to nie ma znaczenia. Mieszcuch to jest płynna nicłość.

— Patrz, jak się Flaubert rozjaśnił na tę definicję. A nasz Flaubert, panie Taine, czy też jest *produktem środowiska*? Gdzie jest środowisko tego samotnika?

— To prawda, nawet w Paryżu cała moja rozrywka to niedzielny obiad u pani Sabatier.

— Pani Sabatier! *Kobieta ukąszona przez wędza?* „Prezydentka”, jak ją nazywa Gautier?

— Muza *Kwiatów grzechu* Baudelaire’a?

GONCOURT: — Ciało w istocie wspaniałe — sądzę z rzeźby Clésingera<sup>175</sup>. Ale kobieta? Spędziłem raz wieczór w jej towarzystwie, nie lubię tej grubej<sup>176</sup> trywialnej werwy. Można by tę piękną istotę określić na sposób antyczny: „markietanka<sup>177</sup> faunów<sup>178</sup>”.

— A jednak trzeba rozrywki, bodaj takiej. Jakiż zapas sił ducha musi mieć pisarz, aby wynieść swoją myśl ponad życie bieżące, aby jej dać pracować swobodnie i lotnie. Musi się oderwać od przykrości, kłopotów, mąk istnienia; musi się wznieść aż do tej pogody mózgu, w której się spełnia poczucie. Wierście mi, to nie jest mechaniczna operacja, jak dodawanie w rachunkach.

— Komu to opowiadasz?

JULIUSZ: — A dopiero potem! Bo dziś nie wystarczy napisać książkę: trzeba być sekretarzem tej książki, obnosić swój nowy tom, stać się lokajem swego sukcesu. Ileż się młody autor nanosi swoich książek do ludzi, którzy może przetną parę kartek, albo spuszczą książkę u antykwarza...

— Haha! znamy, znamy, nienasycona, rozpaczliwa ambicja literacka, wszystkie gorycze próżności autorskiej. Dziennik, gdzie nie ma mowy o tobie, rani cię; dziennik, gdzie jest mowa o drugich, przywodzi cię do rozpaczcy.

<sup>174</sup>Chateaubriand, François-René (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Clésinger, Auguste (1814–1883) — rzeźbiarz francuski. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>gruby — tu: prymitywny. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>markietanka — wędrowna handlarka lub prostytutka towarzysząca wojsku. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>faun (mit. rz.) — bożek z koźlimi nogami, przen.: rozpustnik. [przypis edytorski]

— Tak, tak, człowiek spostrzeżę ze smutkiem, że literatura, zamiast stępić w nim wrażliwość, przeciwnie rozwija ją, wydelikaca, obnaża. Ta nieustanna praca, jakiej dokonuje na sobie, na swoich wrażeniach, odruchach, ta codzienna i cominutowa autopsja swego *ja*, odsłania w końcu najdelikatniejsze włókna, gra na nich w sposób nader bolesny. Tysiąc sprężyn, tysiąc tajemnic odnajduje w sobie człowiek, aby cierpieć. Przez studiowanie samego siebie, zamiast stwardnieć, staje się niby odarty ze skóry, moralnie przewrażliwiony, tkliwy, bez ochrony, bez obrony, wciąż krwawiący...

— Trzeba mieć sporo męstwa, aby się oprzeć pokusie felietonu, jego wpływów, jego doraźnych korzyści.

— Uważaliście ten symptom czasu? W księgarniach nie ma już krzesel. France miał ostatni sklep z książkami, gdzie były krzesła i gdzie trwonilo się nieco czasu przy załatwianiu sprawunku. Teraz, kupuje się książki stojący. Zapytanie i cena. Nic więcej. Oto dokąd spekulacja doprowadziła sprzedaż książki, niegdyś związaną z wałaniem się, szperaniem, próżniaczeniem, gawędą...

FLAUBERT *do sąsiada*: — Nienawidzę wsi. Pracuję dziesięć godzin na dobę, ale tracę mnóstwo czasu; czytam, zamyślam się, chodzę na wagary pisać. Kiedy siadę do pracy w południe, rozgrzewam się ledwie koło piątej. I, doprawdy, mam poczucie daremności tej pracy.

— Wyobrażacie sobie — wykrzykuje — głupotę mordowania się nad wytępieniem asonansów albo powtarzających się wyrazów? Dla kogo? Kto to zauważy, kto się na tym pozna? I nawet kiedy książka się uda, nigdy nie macie tego właśnie sukcesu, o który wam chodziło. Czyż nie najbanalniejsze strony *Pani Bovary* stworzyły jej powodzenie? Tak, sukces zawsze przechodzi obok. Forma! Tak. Ale kto z publiczności zdolny jest ocenić formę? A zważcie, że forma czyni nas podejrzanymi trybunałom, które są „klasyczne”... Klasycy, dobry kawał! Ależ nikt nie czytał klasyków! Nie ma ani ośmiu literatów, którzy czytali Woltera — *czytali*, rozumiecie? Czy znajdzie się w *Towarzystwie autorów dramatycznych* pięciu ludzi zdolnych wymienić tytuły sztuk Tomasza Corneille<sup>179</sup>? Ależ klasycy są pełni obrazów, na jakie dziś by się nikt nie odważył! „Sztuka dla sztuki”! Ależ sztuka dla sztuki nigdy nie znalazła takiej apoteozy jak w przemówieniu klasyka Buffona. „Sposób, w jaki wypowiedziano jakąś prawdę — rzekł Buffon w Akademii — użyteczniejszy jest ludzkości niż prawda sama”... Zdaje mi się, że to jest *sztuką dla sztuki*...

GAUTIER *mruczy*: — Tak, dziewięćset godzin pracy i rezultat — trzydziestostopnicowa nowela — to ów sławny system Flauberta.

GONCOURT, *do brata półgłosem*: — Czysta literatura, książka, którą artysta tworzy dla swojej satysfakcji, to rodzaj skazany na wymarcie. Nie widzę takich poza Flaubertem i nami. Skoro nasz tercet umrze, nie wiem, kto nas zastąpi.

Ale Nogent-Saint-Laurens, który należy do komisji *własności literackiej*, sprowadza rozmowę na ten pasjonujący zawodowców temat. Saint-Laurens oświadcza, że jest za wiekującą własnością. Na to Sainte-Beuve oburza się, wykrzykuje namiętnie:

— Jesteście dość zapłaceni hałasem, dymem... sławą. Ależ człowiek, który pisze, powinien mówić: „Bierzcie, bierzcie!” — powinien być szczęśliwy, że go ktoś chce.

FLAUBERT, *który lubi być przeciwnego zdania, mówi*: — Ja, gdybym wynalazł kolej żelazną, pragnąłbym, aby nikt nią nie jechał bez mego pozwolenia.

SAINTE-BEUVE, *z furją*: — Nie potrzeba własności literackiej, tak samo jak wszelkiej innej... Nie trzeba własności... Trzeba, aby wszystko się odnawiało, aby każdy pracował z kolei...

— Popatrz na niego — szepce Edmund Goncourt do brata — w tej chwili ma głowę niemal członka Konwentu — niwelatora; bije z niego coś z nienawiści Jana Jakuba. On jest nawet trochę podobny z fizjognomii<sup>180</sup> do Roussa<sup>181</sup>. Pokazał nam w tej chwili najistotniejszą głąb swojej duszy: stary kawaler rewolucjonista.

<sup>179</sup> *Corneille, Pierre* (1606–1684) — ojciec tragedii francuskiej, który doprowadził do odrodzenia teatru, przywrócenia antycznej zasady trzech jedności; jego największe dzieła to *Cyd* (1636) i *Andromeda* (1650). [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *fizjognomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> *Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — francuski pisarz oraz filozof; postulował powrót do natury, odrzucił zdobycze cywilizacji, w tym pojęcie własności prywatnej; swój model człowieka idealnego, dobrego, wychowywanego w naturze przedstawił w dziele z 1762: *Emil, czyli o wychowaniu*. [przypis edytorski]

RENAN, *miętko*: — Tak, dzisiejsze pojęcia własności są zbyt absolutne...

— Absolutne? Wprost przeciwnie. Człowiek posiada coś naprawdę jedynie w stanie dzikim. Wszędzie, gdzie jest cywilizacja, rząd, administracja, podatki, serwituty, wywłaszczenie, człowiek nie jest już pełnym panem swojej własności.

RENAN: — Ktoś mówił do bretończyka, który budował sobie dom z kamienia, jak zwykle buduje się w Bretanii: „Czemu pan nie buduje z cegły, to ładniejsze. — Cegła trwa tylko osiemset lat”, odparł właściciel.

— Tak, śmierć dla pewnych ludzi, to nie tylko śmierć, ale wygaśnięcie własności.

— Powiem wam modlitwę pewnego starca, mego znajomego: „Spraw, o Boże, aby moja uryna była lżejsza, aby mnie muchy nie kasały, spraw, abym żył tyle, żeby zarobić jeszcze sto tysięcy franków, spraw, aby cesarz trwał, iżby moja renta szła w górę, spraw, aby trwała hossa na akcje węgla”. I jego gospodyni miała rozkaz czytać mu to wszystko co wieczór i on to powtarzał ze złożonymi rękami!

— Pewien czterdziestoletni człowiek mówił: „Jest w życiu jedna rzecz rujnująca, nawet dla bogaczy: własność. Prawie wszystkie kłopoty pochodzą z tego uczucia, że człowiek chce się uważać nie za dzierżawcę, ale za wiekuistego właściciela stworzeń i rzeczy. To jest pierwsze i najmocniejsze uczucie w człowieku, ale ja je zabiję w sobie: będę miał dom, powóz, kobietę, rocznie, miesięcznie — będę dożywotnikiem wszystkich uciech życia”.

— Jest w Paryżu człowiek, który ma sto tysięcy franków do wydania dziennie. Zajdźcie do niego: ujrzycie go siedzącego na słomianym wyplatany krześle, kręcącego młynka palcami naprzeciwko jedynego obrazu, jaki posiada w domu. Z dochodem, dającym władzę niemal boską, człowiek ten — Rosjanin zresztą — umie zrobić tylko tyle: wydać od czasu do czasu obiad dla członków Jockey-klubu i wynająć raz na dwa tygodnie za pięćset franków dom publiczny.

— Czy zauważyliście, że giełdjarze, bogacząc się, robią się oliwkowi? Nabierają tonów metalu. Rzekłbyś że mają pod żółciową barwą skóry refleksy złota.

— *A propos*: ładne powiedzenie starego Rotszylda. Pytał go ktoś, czemu renta spadła poprzedniego dnia. „Alboż ja wiem, odparł, czemu przychodzi hossa albo bessa? Gdybym wiedział, zrobiłbym majątek”.

— A znacie to jego powiedzenie, godne balzakowskiego Nucingena: „Na giełdzie jest moment, że aby wygrać, trzeba umieć po hebrajsku”.

— Słyszałem, że kiedyś, z powodu błędu 3 centimów w wykazach prywatnego majątku Rotszylda, siedmiu urzędników strawiło, jak mnie zapewniano, pięć dni i pięć nocy na szukaniu omyłki.

— Faktem jest, że panujący składają oficjalnie wizytę jedynie pieniądźowi. Nigdy nie idą do wielkiego człowieka, idą do człowieka z milionami, jakby on jeden godny był ich przyjąć. I to od trzech wieków! Ludwik XIV<sup>182</sup> i Fouquet<sup>183</sup>. Ludwik XV<sup>184</sup> i Bouret i tak dalej.

— Twierdzą, że u Semitów mózg rozwija się tylko do dwudziestego piątego roku, u Aryjczyków znacznie dłużej.

SAINT-VICTOR: — Powiem wam słówko bardzo znakomitego Żyda. Pod koniec obiadu, przy którym piło się obficie, przyjaciel zapytał go, czemu, będąc tak bogaty, pracuje jak Murzyn, żeby być jeszcze bogatszy. „Och, wy nie wiecie, co to za rozkosz czuć pod swoim butem kupę chrześcijan”, odpowiedział wielce znakomity Żyd.

— To jednak jest ciekawe, czemu Żydzi dochodzą w ogóle do wszystkiego, a tak łatwo do tego, co jest ambicją wszystkich — do pieniędzy?

DOKTOR ROBIN: — Dałoby się to może wytłumaczyć tym, że obrzezanie, zmniejszając u nich rozkosz, zmniejsza i pochłonięcie kobietą.

— Żyd Mires mówił w roku 1860 do generała Turr: „Jeżeli, do pięćdziesięciu lat, nie powiesicie nas, panowie katolicy, nie zostanie wam potem ani na kupno postronka w tym celu.

<sup>182</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji z dynastii Burbonów, zwolennik absolutyzmu, określaný jako Król Słońce. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Fouquet, Nicolas (1615–1680) — prokurator generalny i finansista francuski, w 1665 uwięziony przez Ludwika XIV, obawiającego się jego wpływów. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>Ludwik XV (1710–1774) — król Francji z dynastii Burbonów, ożeniony z Marią Leszczyńską. [przypis edytorski]

SAINT-VICTOR: — Ten sam Mires powiadał mi, że w szkole żydowskiej, gdzie się chował, nie dawano nagród za rachunki, bo wszyscy by je dostali.

— Skąpstwo dzisiejszych ludzi bardzo bogatych odkryło nową i ładną hipokryzję: prostotę gustów. Milionerzy mówią o rozkoszach obiadu w garkuchni i o przyjemności chodzenia na wsi w sobotach<sup>185</sup>.

— Cóż mają począć? Postęp w zakresie komfortu jest tak ograniczony, że, osiągnąwszy pewien punkt, trzeba się cofać. Nauka...

SAINT-VICTOR, *który coś dosłyszał*: — Trarara! Nauka, postęp!... Postęp zastąpił torturę fizyczną torturą moralną, łamanie ciała łamaniem mózgu... Postęp zrobił nędzarzy z tych, którzy mieli jakiś mająteczek!... Postęp — co jemu w gruncie zawdzięcza Paryż? Bulwary, wielkie arterie... tak, nie zostało już ani kącika w nieznanym ulicach, gdzie można było niegdyś żyć nieznanym i szczęśliwym... We wszystkim fałszerstwo, namiastka, kłamstwo. Wiecie, że teraz smakosze noszą ze sobą móździerz, aby gnieść pieprz. Kupcy nauczyli się fałszować pieprz, mieszając go z czymś, może z popiołem.

— Ba, fałszują wszystko tak, że za niespełna sto lat będą sobie może pokazywali człowieka, który raz w życiu jadł prawdziwe mięso z prawdziwego wołu.

— Mnie brzydzi co innego w dzisiejszym świecie. To, że nie ma już ekstrawagancji. Wydarzenia zrobiły się rozsądne. Nie zjawia się już żaden wariat opętany wiarą albo sławą, który by mącił trochę i niepokoił swoją epokę niespodzianym wstrząsem. Nie, wszystko reguluje się mieszczańskim rozsądkiem, równowagą budżetu. Nie ma szaleńców, nawet na tronach.

— Słowem, trzeba by ci Napoleona, ale pierwszego?

RENAN: — Naród to jest bydlę, które się żywi chwałą; ale, kiedy się przyzwyczaił do tego obroku<sup>186</sup>, trzeba mu go dawać co dzień; to robił Napoleon pierwszy.

— Jest w mojej rodzinie ciekawy dokument wychowania dzieci za Napoleona. Krewniak mój uczył syna łaciny, bo wszędzie nią się rozmówi; grać na skrzypcach, aby, na wypadek gdyby był jeńcem, mógł coś zarobić w ten sposób; i sypiać na gołej ziemi, aby przywykł do spania na lawecie.

GONCOURT: — Napoleon! Niedawno robiłem bilans jednej z imprez napoleońskich. A więc: trupa aktorów, trupa tancerek, budy z marionetkami, sto kobiet francuskich, lekarze, cyrulicy, aptekarze, pięćdziesięciu ogrodników, szynkarze, destylatorzy, 200. 000 baryłek wódki, 30. 000 łokci błękitnego i szkarłatnego sukna, oto, z czym Napoleon chciał stworzyć cywilizację w Egipcie.

— Co tworzy renomę męża stanu? — Wielkie błędy na wielkiej scenie. Zgubić wielkie państwo, znaczy być wielkim mężem stanu. Wielkość człowieka mierzy się ilością gruzów, jakie pozostawia.

— Bądź co bądź, pan Thiers<sup>187</sup> zwiedzający strategicznie brzegi Renu, to Tomcio Paluch w bucie Napoleona.

Rozmowa schodzi na nudę, która jest zmorą epoki.

— Nuda jest może przywilejem. Głupcy nie czują, że się nudzą. Może nawet się nie nudzą. Rewolucja co osiemnaście lat wystarczy aby ich rozerwać.

— Odrza człowieka do rzeczywistości każe mu szukać tych trzech ucieczek: pijaństwo, miłość, praca.

FLAUBERT *melancholijnie*: — Ostatecznie, praca, to jeszcze najlepszy sposób oszukania życia...

GAUTIER: — Może już zaczynam robić się stary, ale wydaje mi się, że naszej epoki brak jest powietrza. To nie dość mieć skrzydła; trzeba, aby było powietrze... Nie czuję się już współczesny... Tak, w roku 1830 byłem wspaniały, ale byłem o parę lat za młody. Nie miałem dość treningu na ten wielki prąd, nie byłem dojrzały. Byłbym dał z siebie coś więcej...

I znów rozmowa schodzi na technikę pracy.

GAUTIER: — Ja prawie nigdy nie pracuję w domu, najczęściej w drukarni. Zapach farby drukarskiej podnieca mnie; tylko wtedy mogę pisać. A także i przymus, że muszę

<sup>185</sup>saboty — tanie buty na drewnianej podszewie. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>obrok — tu ogólnie: pasza. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

oddać skrypt. Tak, tam mi się najlepiej pracuje. Tylko tak mógłbym napisać powieść: podczas pisania składaliby mi ją po dziesięć, po dwadzieścia wierszy. W korekcie człowiek zyskuje sąd. Rzecz staje się bezosobista. podczas gdy rękopis, to jestem ja, to moja ręka...

JULIUSZ GONCOURT: — Ja na wsi prawie zupełnie nie mogę pracować. Czuję się chmurą, która przepływa, liściem, który się porusza, wodą, która się toczy. Nie jestem już *myślą*...

— Ja także — sekunduje mu Edmund. — Natura jest dla mnie wrogiem. Wieś wydaje mi się śmiercią. Zieleni, to niby wielki cmentarz, który czeka. Te rośliny krzewią się, zielenią tym, co umiera. To słońce, które błyszczy roześmiane, jasne, to wielki fabrykant zgnilizny. Drzewa, niebo, woda. wszystko robi na mnie wrażenie miejsca na cmentarzu wynajętego „na czas”, gdzie ogrodnik odnawia po trochu kwiaty na wiosnę i gdzie umieścił basen ze złotymi rybkami...

— Tak, nie ma nic mniej poetycznego niż natura i rzeczy naturalne. Urodzenie, życie, śmierć, te trzy przygody bytu, to są operacje chemiczne. Ruch animalny organicznego świata, to jest rozkład i przetwórczość nawozu. To człowiek rzucił na tę całą nędzę materii zasłonę, obraz, symbol, uszlachetniające uduchowanie.

— Cóż za błaga twierdzić, że natura jest lekcją i źródłem dobroci. Dobroć! ależ to jest utwór człowieka i jego najcudowniejsze, najbardziej — powiedziałbym z przyzwyczajenia — *boskie* dzieło wbrew naturze.

— Ja, gdybym był bogaty — powiada Juliusz — kazałbym sobie sporządzić na lato pejzaż, pejzaż bardzo dobrze namalowany i chłodzony sztucznym wiatrem.

— Znałem jegomościa, który, spytany czy lubi wieś na wiosnę, odpowiedział: „Ależ przeciwnie, na wiosnę ubóstwiałam Paryż; dni robią się dłuższe, to najlepsza pora, aby oglądać dziewczęta wychodzące z magazynów”. Słyszysz, wujaszku Beuve?

Odpowiadając Gautierowi, ktoś zachwala mu regularne życie: iść spać o ósmej wieczór, wstawać o trzeciej rano, pić dwie filiżanki czarnej kawy i pracować ciągiem do jedenastej.

Stary Théo przeciąga się i odpowiada: — Och, ja bym oszalał! Budzę się z tego, że mi się śni, iż jestem głodny. Widzę czerwone mięsiwa, wielkie stoły z jadłem, bajeczne uczty... Mięso wyciąga mnie z łóżka. Po śniadaniu — palę. Wstaję o wpół do ósmej, w ten sposób schodzi mi czas do jedenastej. Wtedy wlokę się do fotela, siadam, przyrządzam papier, pióra, atrament, narzędzie tortury... Nudzi mnie, zawsze nudziło mnie pisać, a przy tym to takie niepotrzebne!... No i piszę, piszę, jak pisarz publiczny... Nie szybko, ale ciągiem, bo ja, widzicie, nie staram się *robić lepiej*. Napisać stronicę, czy artykuł, to sztuka od jednego razu, to tak jak zrobić dziecko — albo jest, albo go nie ma. Nigdy nie myślę o tym, co mam napisać. Biorę pióro i piszę. Jestem pisarz, muszę znać swój fach. Czuję się przed ćwiartką papieru niby klaun na trapezie... Grunt że znam dobrze składnię, siedzi mi mocno w głowie. Ciskam zdanie w powietrze jak kota, i jestem pewien, że spadnie na cztery łapy. To bardzo proste; trzeba tylko mieć w palcach składnię. Zakładam się, że nauczę pisać każdego. Mógłbym otworzyć kurs pisania felietonu w dwudziestu pięciu lekcjach. Pokażę wam swój rękopis: ani jednej poprawki, ani jednego skreślenia.

— Michelet powiada, że najlepiej pracuje mu się na korekcie. Mówi, że korekta to jest „*myśl oświecona*”. Dziwi się, jak bez tej mechanicznej podniety pisania starożytni mogli biec za myślą we wszystkich jej przeobrażeniach. On umie myśleć tylko z piórem w ręku.

— Kiedy byłem młody — zwierza się Flaubert — byłem tak próżny, że, znalazłszy się w publicznym domu z przyjaciółmi, wyszukiwałem najbrzydszą dziewczynę i brałem ją przy wszystkich, nie wypuszczając cygara z ust. Nie sprawiało mi to żadnej przyjemności, jedynie dla popisu...

— Kiedy był młody! — mruczy Goncourt do sąsiada. — Została mu ta dziecinna próżność dotąd. Byłem świadkiem, jak się pokłócił straszliwie z rzeźbiarzem Jacquart, upierając się, że w czasie podróży egipskiej miał więcej wszy od niego.

— Wszystko u niego jest „*naj*”: nikt się tak nie kochał jak on, etc. Ileż razy powtarzał to opowiadanie, jak omal nie utonął gdzieś nad morzem, aby ucałować psa neufundlanda w miejsce, gdzie jego ukochana zwykła go całować.

— Ta jego próżność sprawia, że, przy naturze bardzo otwartej, nigdy nie jest zupełnie szczerzy w tym, co mówi, jak czuje, cierpi, kocha...

— Nie obmawiajcie.

Sen, Glód

— Ba, w gruncie obmowa jest najsilniejszym węzłem towarzyskim.

GONCOURT: — Och, ja o Flaubercie nigdy nie powiem nic złego. Pośród literatów, z którymi mieliśmy do czynienia, znam tylko jednego człowieka zupełnie czystego, w najwyższym znaczeniu słowa — to Flaubert, który, jak wiadomo, ma zwyczaj pisać książki rzekomo niemoralne...

— Mówicie o próżności: kaduk<sup>188</sup> wie, gdzie ją człowiek lokuje. Kiedyś widziałem księcia de Morny, bladego, z trzęsącymi się wargami. Grano w salonie jego bluetkę<sup>189</sup>. Z pewnością bardziej był wzruszony, niż w dniu zamachu stanu, drugiego grudnia.

— Wówczas, kiedy to mówił dyrektorowi policji: „Jeśli dostaniecie w ręce Wiktora Hugo... możecie z nim zrobić, co chcecie”...

Rozmowa schodzi na powieść pani Colet<sup>190</sup> *Ona i on*, gdzie Flaubert jest straszliwie „urządzony” przez ex-kochankę. Nie ma w nim goryczy ani urazy do tej kobiety, która poila go swoją opętaną miłością.

— Tak, jest we Flaubercie jakaś soczystość, która każe mu się lubować w tych kobietach o rozpiętanych i egzaltowanych<sup>191</sup> zmysłach.

— Jednego dnia dopadła mnie w domu w Rouen, zażądała wyjaśnień w obecności matki. Matka zawsze zachowała w duszy — niby ranę zadaną jej płci — pamięć twardości syna dla kochanki. (*Po chwili*) — Tak, to jedyny czarny punki między matką a mną.

— Ale kochałeś tę kobietę.

— Przyszynę, kochałem ją jak wściekły. Kochałem ją tak, że raz byłem bliski zabicia jej; tak bliski, że w chwili, gdym kroczył ku niej, miałem jakby halucynację procesu, słyszałem jak trzeszczy pode mną ławka w sądzie karnym.

Dodaje, że dziadek jego ożenił się w Kanadzie, jest w jego żyłach nieco krwi czerwonoskórych z ich gwałtownością.

— No i znalazłeś się na ławie oskarżonych, ale za książkę...

— Za książkę, o której biskup Dupanloup mówił do Dumasa: „Jak pan znajduje *Panią Bovary*? spytał. — Piękna książka. — Arcydzieło, proszę pana, arcydzieło dla kogoś, kto spowiadał na prowincji”.

GONCOURT: — Okropny jest zawód literata. Pisze się z przeczuciem, że tyle wysiłków, starań, pracy nad stylem, uzyska jako nagrodę grzywnę albo więzienie, a może pozbawienie praw obywatelskich, że się będzie pohańbionym przez urzędników francuskich zupełnie tak, jakby człowieka przyłapali na plugawym uczynku.

FLAUBERT: — Cóż robić: mówiłem już, sądy nasze są klasyczne, tym samym wstydlive...

GONCOURT: — Klasyczne i wstydlive! Zabawna rzecz — i nikt, zdaje się, tego nie zauważył — że wielki pomnik literacki attycyzmu, wykwintu, lotnego ducha Aten, słowem Arystofanes<sup>192</sup>, jest zarazem najgrubszym pomnikiem sprośności wszystkich ludów. Łajno jest tam solą attycką<sup>193</sup> i łajno jest tam bogiem śmiechu. Niechże mi kto gada o wybrednym smaku widzów *Chmur*, *Lizystraty*, *Żab!* Dobrze sobie! Delikatny smak, to jest deprawacja, która przychodzi powoli i której nigdy nie znają młode ludy. Jedynie u ludów zużytych, którym nie wystarczają już żelazne ławki i wanny z marmuru, u ludów o ciałach miękkich i znużonych, u ludów melancholicznych i niedokrewnych, dotkniętych chorobami starości, niby drzewa owocowe, które za wiele rodziły...

— Ba, człowiek potrzebuje w pewnych momentach wydzielać trywialności języka, zwłaszcza pisarz, ten ubijacz piany z chmur, w którym materia uciskana przez mózg mści się niekiedy.

— Dla mężczyzny język, którego używa, nie ma znaczenia, spływa po nim; ale kobietę cynizm wyrazu, wyuzdanie stów deprawują zawsze.

— Czy wiecie, że w klasztorach żeńskich wolno mieć kota, ale nie wolno mieć kotki. Kot załatwia swoje sprawy miłosne poza domem, natomiast boją się, że widok cięży,

<sup>188</sup>kaduk — lichy, diabeł. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>bluetka (z fr. *blouette*) — bezpretensjonalny drobiazg muzyczny. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>Colet, Louise (1810–1876) — francuska poetka i pisarka, przez pewien czas związana z Flaubertem. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>egzaltowany — wyrażający uczucia w sposób przesadny. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>Arystofanes (ok. 446–385 p.n.e.) — grecki starożytny komediopisarz, autor dzieł takich jak *Żaby*, *Chmury*, *Lizystrata*. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>sol attycka — tradycyjne określenie ciętego, lecz eleganckiego dowcipu. [przypis edytorski]



porodu, macierzyństwa, mógłby obudzić ciekawość miłości. Opowiadała mi to młoda panna, która spędziła dwa lata w klasztorze w Rouen.

— Malleville, przyjaciel Mériméego, wykradł zakonnice, żył z nią trzy dni: kiedy się dowiedziała, że jest protestantem, tak się wzburzyła, że się rozchorowała na żołądek.

Ale znów rozmowa barwi się reminiscencjami<sup>194</sup> klasycyzmu.

— Ciekawa jest ta pogarda starej Grecji dla Rzymu z czasu Augusta, dla Rzymu wytwornego, który jej się wydawał barbarzyński i o którym ani Lukian<sup>195</sup>...

— Och, Lukian, mówmy o Lukianie. Cóż to za zdumiewająca nowoczesność! Ten schyłkowy Grek ze zmierzchu Olimpu jakże nam jest bliski duszą, myślą. Jego ateńska ironia daje przedsmak paryskiej *blagi*. Jego dialogi kurtyzan, to wręcz nasze obyczaje. Jego dyletantyzm artystyczny, jego sceptycyzm, jakże są dzisiejsze. Nawet jego styl ma nasz akcent. Te słowa mogłyby się rozlegać na bulwarach. Kiedy czytam Lukiana, mam uczucie, że to dziadek Heinego: greckie wyrazy wracają w niemieckim narzeczu, przysiągłbym, że obaj widzieli kobiety z fiołkowymi oczami. Więc co powiadasz, Lukian?

— Powiadam, że ani Lukian, ani Dionizy z Halikarnasu<sup>196</sup>, umiejący tak ładnie mówić o rzeczach rzymskich, nie ośmielają się wspomnieć rzymskich pisarzy ani artystów. To pogarda wytwornej cywilizacji dla narodu żołdaków, pogarda, której subtelny wyraz widzimy u owej kurtyzany, wzdragającej się podzielić łożę z pyszałkowatym rębajłą. Miałyby uczucie, że śpi z katem.

GONCOURT: — Stary Barrière opowiadał nam kiedyś rzecz przejmującą. Widział, na placu de Grève, skazańca z krótko uciętymi włosami: w chwili, gdy go obracano twarzą do gilotyny, włosy stały mu dęba na głowie zupełnie widocznie. A przecież był to człowiek, który, zapytany po wyroku, czego sobie życzy, odpowiedział: „Pieczyste i kobietę”.

— Henry Monnier, jako urzędnik ministerstwa sprawiedliwości, sporządzał kosztorysy kata. Tam miał za szefa niejakiego Petit, który mu pozował do typu *pana Prudhomme*.

Na to Gavarni opowiada bardzo plastycznie ceremonię wieszania w Londynie. Pada drobny deszczyk — zawsze pada deszcz kiedy wieszają — pacjent w gumowym palcie i w bawełnianej czapce, pastor anglikański czyta mu coś, podczas gdy wśród publiczności roznoszą słodycze...

— Nie wiem czemu, przypomina mi to ślub cywilny, którego raz byłem świadkiem.

— Saint-Victor, to coś dla twojego Anglika-sadysty.

— Mówcie o tym Flaubertowi. Margrabia de Sade<sup>197</sup>, to jego mania.

FLAUBERT: — Sade, to ostatnie słowo katolicyzmu. Ale rozumieście mnie dobrze. To duch inkwizycji, duch tortury, duch średniowiecznego kościoła, wstręt do natury. Zauważyliście, że w całym markizie de Sade nie ma ani jednego drzewa, ani jednego bydlęcia?

— Bydlę to on sam i nie mówmy o nim więcej.

— Są jeszcze ludzie naprawdę uczuciowi. Na przykład generał Sebastiani, który, kiedy mu przyniesiono wiadomość o zamordowaniu jego córki, rzekł: „Chwileczkę... żeby to nie zaszkodziło memu zdrowiu”...

Rozmowa schodzi na kolekcję, jaką gromadzi Flaubert; twierdzi, że mu jest potrzebna dla jego twórczości. Świeżo wcielił do niej pisemną spowiedź pederasty, który zabił z zazdrości swego kochanka i którego zgilotynowano w Hawrze; spowiedź pełną szczegółów równie intymnych, jak nabrzmiałych namiętnością. Na to Goncourt:

— Można by zrobić ładne wydawnictwo z takich dokumentów, pod tytułem: *Sekretne archiwa ludzkości*...

— Bądź co bądź — mówi ktoś — wolałbym, aby nasz obiad mniej był podobny do sekretnego archiwum. To nie dodaje apetytu...

<sup>194</sup>reminiscencja — wspomnienie bądź (w utworze artystycznym) aluzja do dzieł dawniejszych. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Lukian z Samosaty (120–ok. 190 n.e.) — sofista, retor i satyryk rzymski. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>Dionizy z Halikarnasu (60 p.n.e.–po 7 p.n.e.) — grecki historyk i mówca. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>de Sade, Donatien-Alphonse-François (1740–1814) — kontrowersyjny pisarz francuski, krytykujący moralność i z upodobaniem przedstawiający przemoc seksualną; od jego nazwiska utworzono słowo „sadyzm”. [przypis edytorski]

## PIĄTY OBIAD

Śmierć księcia de Morny. Doktor Robin zaczyna mówić o ciężarze mózgu jako o znamienu inteligencji. Prawidłowy mózg — powiada — waży 1350 do 1400 gramów; mózg ważący 1100 jest prawie zawsze mózgiem idioty. Mózg księcia de Morny ważył 1600 gramów.

SAINT-VICTOR: — Ileż w takim razie ważył mózg Goethego?

GONCOURT: — Kto wie, czy mózg jakiego Rotszylda nie waży tyle, co mózg Aleksandra Wielkiego i czy talenty uważane za niższe — na przykład finansisty w porównaniu ze zdobywcą albo z pisarzem — nie są produktem tych samych i równowartościowych organów?

Wyjątkowo Sainte-Beuve się spóźnił: zanim przyjdzie, obmawia się po trosze Sainte-Beuve'a.

— Ileż on faz przeszedł — powiada ktoś. — Najpierw uwielbiał Wiktora Hugo: najlepsze wiersze, jakie napisał, pisane są do — jego żony. Potem saint-simonista; potem mistyk, o mało że nie chrześcijanin. A teraz...

— Trzeba słyszeć Montalamberta<sup>198</sup>, jak mówi o Sainte-Beuve w jego dzisiejszej fazie. On to nazywa: „fatalnie myślący”, materialista — taki, „jacy zdarzają się tylko wśród lekarzy”. Istniał — powiada dobry Montalambert — zawsze racjonalizm, sceptycyzm; ale czysty materializm to rzecz, której się nie spotykało.

SOULIÉ: — Trzeba rozróżnić dwóch Sainte-Beuve'ów. Jeden, który pracuje na górze w swoim gabinecie, parając się najwyższymi sprawami ducha, i drugi przy stole, w towarzystwie swojej kochanki, swojej kucharki i dwóch pomywaczek. W tym otoczeniu robi się z niego łyk<sup>199</sup>, obcy wszystkim ideom które analizował na górze, ściągnięty do poziomu babskich plotek i babskiej paplaniny.

GAUTIER: Sainte-Beuve to higrometr<sup>200</sup>, wskazuje idee panujące w literaturze, jak kapucyn z budki wskazuje czas na barometrze.

GONCOURT: — A jego metody! Byłem raz świadkiem dyskusji na temat dzieła Thiersa<sup>201</sup>; wszyscy obecni godzili się, że to historyk bez cienia talentu. Jeden Sainte-Beuve bronił go: „To taki sympatyczny człowiek, taki inteligentny... Ma takie wpływy”. I dopiero opisuje sposoby, w jakie Thiers buja izbę, jak urabia posłów... To są zawsze metody argumentacji Sainte-Beuve'a. Kiedy ktoś powie: „Mirabeau<sup>202</sup> zdradził”, on na to: „No tak, zapewne, ale on tak kochał Zofię”... I zacznie malować obraz jego namiętności. We wszystkich i ze wszystkimi, zawsze tak samo.

JULIUSZ GONCOURT, *do brata*: — To człowiek wszystkich kompromisów. W gruncie rzeczy, nasza niezależność wobec wszystkiego, co oficjalne, uświęcone, akademickie, niepokoi go, burzy jego nawyki, religie, zabobony. Uważa nas za osobliwych pasażerów, dezynwoltura<sup>203</sup> nasza przeraża go po trosze. Nigdy pogląd jego nie jest wolny od czolobitności wobec polityki, nigdy nie zdobędzie się na niezawisły sąd o ludziach władzy...

— Byłem kiedyś świadkiem jego pochwały księcia Pasquier. — Jeżeli umrę przed panem — powiedziałem mu — niech mnie Bóg broni przed pańską pochwałą.

GAUTIER: — A iluż on rzeczy nie rozumie! Ot, napisał o mnie artykuł, bardzo miły, bardzo pochlebny, ale nawet nie wspomniał o książce, w którą włożyłem najwięcej siebie, o *Emaliach i Kameach*. Wmawia we mnie jakieś akcenty miłosne, sentymentalne, elegijne, którymi się brzydę. Zapewne, w tych trzydziestu tomach, którym odwalił, musiałem czasem dać burzujom jakąś satysfakcję miłosną: ale dwie prawdziwe struny mojego dzieła, mego talentu, to błżeństwo i melancholio; obrzydzenie do naszej zas...nej epoki i stąd moja niejaka emigracja duchowa.

GONCOURT: — Nostalgia obelisku!

<sup>198</sup>Montalambert, Charles Forbes René de (1810–1870) — historyk i publicysta francuski. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>łyk (pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>higrometr — urządzenie do pomiaru wilgotności powietrza. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>Mirabeau, Honoré Gabriel Riqueti (1749–1791) — polityk i pisarz z czasów Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>dezynwoltura — swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

GAUTIER: — Właśnie. I tego wujaszek Beuve nie chwytą. Nie zdaje sobie sprawy, że my czterej — Flaubert, wy i ja — jesteśmy wszyscy chorzy: to, co nas wyróżnia, to egzotyzm. Są dwie formy egzotyka: pierwsza daje smak przestrzeni, Ameryki, pociąg do kobiet żółtych, zielonych, etc. Bardziej wyrafinowany, wyższy stopień rozpusty ducha, to egzotyzm poprzez czas: na przykład Flaubert miałby tę ambicję, aby spółkować w Kartaginie, wam nadałaby się jakaś du Barry, mnie by nic tak nie podniecało jak mumia...

JULIUSZ GONCOURT: — Ale skądże wymagać, aby wujaszek Beuve, mimo swojej wzruszającej żądzы zrozumienia wszystkiego, pojął do gruntu talent taki, jak twój? Owszem, bardzo miłe są te jego artykuliki, to pisanina bardzo gładka, bardzo inteligentna, ot i wszystko. Nigdy swoją pisaną konwersacją nie stworzył człowieka, ani nie dał definicji dzieła w jednym słowie, w jednym zdaniu; nigdy nie wybił w brązie medalu żadnej sławy... I jakim cudem, mimo że chciał być dla ciebie przyjemny, jakim cudem miałby wejść w twoją skórę? Cała twoja strona plastyczna jest mu niedostępna. Kiedy ty opisujesz nagość, on w tym widzi rodzaj onanizmu literackiego pod pretekstem linii... Rzekłeś przed chwilą, że nie chodzi ci o stronę zmysłową. Otóż, dla niego, opis piersi, nogi kobiecej, słowem nagość, nieodłączna jest od świństwa, od podniety fizycznej... Tak, dla niego jest coś pikantnego w samej Wenus miłońskiej...

GONCOURT: Po roku 1852, w czasie białego terroru nad literaturą, w czasie gdy nas i Flauberta włączono przed sądy, w czasie powszechnego milczenia, on, można powiedzieć, był uświęconym sutenerem<sup>204</sup> rządu. Odwaga i niezależność przyszły mu z dożywotnią posadą i pensją senatora...

— Ba, i tak jego opozycyjna mowa senatorska wyszła z obiadu Magny...

— Ale ma tyle wdzięku! Ma takie uroczo naiwne powiedzenia! Lekarz powtarzał mi, że kiedy go odwiedzał z powodu wstrzymania uryny, Sainte-Beuve powiadał mu bardzo serio: „Mój Boże, kiedy byłem mały, nie uczono mnie susiać!”

— Wiecie że Sainte-Beuve widział raz Napoleona pierwszego. Było to w Boulogne. Cesarz właśnie sikał. Czyż on nie w tej postawie widział wszystkich wielkich ludzi?

— Nie mówcie o nim nic złego! Kiedyś, na wieczorze u księżniczki, Giraud miał robić jego karykaturę. Sainte-Beuve wziął przed tym lewatywę, aby — mówił to zupełnie poważnie — mieć lepszą cerę.

— *A propos*<sup>205</sup> lewatywy. Znam lekarza, który ma kochankę aktorkę. Co dzień w antraktach<sup>206</sup> zachodzi do aptekarza koło teatru; tam, z tym swoim przyjacielem, pracowicie sporządza jedną z owych lewatyw, których sekret zagubił się od czasu Moliera, i to lekarstwo, w które włożył całą wiedzę i serce, przynosi ukochanej, niby pudełko cukierków. Co wieczór.

Jak gdyby już dostatecznie obmówiony, zjawia się w tej chwili Sainte-Beuve. Czuje się jakoś nieszczególnie. Podchodzi do doktora Veyne.

— Popatrz-no, Veyne, co to takiego, wysięk czy co?

I podaje mu rękę do zbadania.

— Nie, to zwykłe zajęcie stawów, nawet nie podagra<sup>207</sup>...

— Ja nie chcę się kurować, chciałem tylko wiedzieć.

GONCOURT: — Nędzna machina, to ciało ludzkie.

SAINTE-BEUVE: — Ale nie, to bardzo dobrze skonstruowane.

GONCOURT: — Dobrze skonstruowane, powiada pan; ale zdaje mi się, że za młodu cieszył się pan dość lichem zdrowiem?

SAINTE-BEUVE: — Och, za młodu!... Po pierwsze, prowadziłem życie, które nie było tak zupełnie... normalne. Odżywiałem się lichem... niedostatecznie. Był w powietrzu romantyzm, który nie pozwalał mi jadać do sytości... Miałem wyrzuty sumienia, że zdradzam swoją kochankę... Tak, żywiłem się niedostatecznie... wyrzut sumienia, rozumiecie, to jest tylko słabość fizyczna. Później odmieniłem to, wprowadziłem w życie niejaką łagodną i pogodną filozofię, trochę wesołości...

<sup>204</sup>sutener — stręczyciel, mężczyzna czerpiący zyski z czyjzegoś nierządu. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>*A propos* (fr.) — a jeżeli chodzi o... [przypis edytorski]

<sup>206</sup>antrakt — przerwa między aktami. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>podagra — choroba zniekształniająca i powiększająca staw dużego palca u nogi, której towarzyszą okresowe napadowe bóle. [przypis edytorski]

— Wiecie, powiada Saint-Victor, że dziś jest św. Bartłomieja<sup>208</sup>, dzień w którym Wolter stale miewał gorączkę.

I dopieroż Saint-Victor intonuje pochwałę Woltera, głosząc go najszczerzym i najnainiejszym z apostołów. Goncourci protestują — zgiełk, hałas, krzyki. — Męczennik, prawie całe życie na wygnaniu... — Ba, a popularność? — Tkliwe serce... sprawa Galasów... — Ech to było to samo, co sprawa Peytela dla Balzaka. — Dla mnie to święty! — ryczy wzburzony Flaubert. — Ty, który jesteś fizjonomistą, czy nigdy nie popatrzyłeś na usta Woltera? — Co do mnie, oświadcza Gautier, ja nie mogę zność tego człowieka: to klecha, zakrystian, to *monsieur Prudhomme* deizmu: tak, to jest ściśle określenie: Prudhomme deizmu.

Uspokajają się wreszcie, aby po troszę obmawiać nieobecnego Taine'a.

TURGIENIEW: — Taine jako zmysł krytyczny... Porównanie nie jest szlachetne, ale pozwólcie mi panowie porównać Taine'a z psem myśliwskim, którego miałem. Gonił, przystawał, cudownie wykonywał wszystkie gesty psa myśliwskiego... tylko nie miał węchu, musiałem go sprzedać.

— Taine — powiada starszy Goncourt — przysłał nam swoją książkę o Włoszech. Obrobił całe Włochy w trzy miesiące: obrazy, krajobrazy, towarzystwo — to towarzystwo tak nieprzeniknione — przeszłość, terażniejszość, przyszłość... Szczęściem, istnieje wielka pobłażliwość dla lekkomyślności poważnych ludzi.

I znów zaczyna się rozmowa bez końca o Włoszech.

— Włochy! Wszystko, co jest piękne we Włoszech, kobieta, niebo, pejzaż — wszystko jest tam trzeźwo, brutalnie, materialnie piękne. Uroda kobiety to uroda pięknego zwierzęcia. Horyzont jest solidny. Pejzaż bez oparów marzenia. Nic nie ma owej mglistej dali, znamiennej dla krajów Północy.

— Tak, kobieta z Południa mówi tylko do zmysłów, oddziaływanie jej nie sięga dalej. Zwraca się jedynie do naszego apetytu.

GONCOURT: — Włochy budzą w końcu tęsknotę za szarym niebem. Deszcz wydaje się niemal ojczyzną. Paryż, tylko Paryż!

— Moja obserwacja z Rzymu, to że piękną krew wydaje jedynie nadmierna płodność. Jedynie rasy, ludy, dzielnice, które nie maltuzjanizują<sup>209</sup>, wyrzucają piękne dzieci w strumień powszechnej płodności.

— Nasze Południe to nieudane Włochy. Marsylia to jeszcze Włochy. Na afiszu operatora nagniotków widzi się portret Madonny.

— Jakież pan ma wrażenia z Paryża po powrocie?

— Uderzyły mnie gwałtowne zmiany fortun, śmierci młodych ludzi przepadających gdzieś tak szybko, tak cicho, bez rozgłosu. Och, bulwar zjada straszliwie dużo tych dandyś<sup>210</sup>, tych *viveurów*<sup>211</sup>. Spytał o nich po dwóch latach, same katastrofy, ruiny, samobójstwa, albo też rejterada<sup>212</sup> w prowincjonalne pielesze...

— Wracając do płodności, w ogóle w produkcji ludzi jest mnóstwo tandety, ludzi robionych ryczałtem, z połową zmysłów, z ćwiercią świadomości. Można by rzec, że przyszli na świat po jednej z owych wielkich rzezi w średnich wiekach, kiedy rodzili się ludzie niedokończeni, z jednym okiem, albo z czterema palcami, tak jakby natura, śpiesząc się pokryć ubytki i dostarczyć na termin, partoliła ludzkość.

— Dziecko to osobliwy stwór. Doszedłem, że serce to jest rzecz, która nie rodzi się z człowiekiem. Dziecko nie wie, co to jest. To organ, który człowiek zawdzięcza życiu. Dziecko jest tylko sobą, widzi tylko siebie, kocha tylko siebie i cierpi tylko przez siebie. To najpotworniejszy, najniewinniejszy i najbardziej anielski egoista.

Dziecko

<sup>208</sup>św. Bartłomieja — rocznica paryskiej rzezi hugenotów, która miała miejsce z 23 na 24 sierpnia 1572. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>maltuzjanizować — tu: ograniczać przyrost naturalny a. tracić część ludności wskutek klęski głodu bądź innych katastrof (nawiązanie do teorii Thomasa Malthusa, (1766–1834), duchownego i ekonomisty angielskiego). [przypis edytorski]

<sup>210</sup>dandyś — osoba cechująca się elegancją i wyrafinowaniem, często w przesadnym stopniu. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>viveur (z fr.) — człowiek używający życia. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>rejterada — ucieczka. [przypis edytorski]

— Dziecko nie jest złe dla człowieka, jest okrutne dla zwierząt. Człowiek, starzejąc się, staje się mizantropem<sup>213</sup> i współczującym dla natury.

— To szczególne — powiada Gautier — ja się wcale nie czuję ojcem. Jestem dobry dla swoich dzieci. Kocham je, ale wcale nie jak swoje dzieci... Siedzą przy mnie, rosną w moich gałęziach, to wszystko... Nie czuję się na tyle stary, aby to były moje dzieci... Czuję się młody, świeży... Nie mogę uwierzyć w swój wiek...

I znów książki.

— Czytałem świeżo — powiada Goncourt — wspomnienia spod Solferino<sup>214</sup> przez szwajcarskiego lekarza. Wspaniałe, przejmujące! To piękniejsze, tysiąc razy piękniejsze od Homera, niż *Odwrót dziesięciu tysięcy*, niż wszystko. To jest prawda studiowana na żywym życiu, na okaleczonych, na umierających gwałtownie w pełni sił. Odkłada się tę książkę, przeklinając wojnę.

— Wspaniały rys do obrazu wojny. Po bitwie pod Isly, sępy, upite oczami trupów, które wyjadły — reszta nie była im dość zgniła — latają, chwiją się, padają na ziemię na kształt pijaków.

— Wojna? Chcecie wojny, przejrzycie osiemdziesiąt akwafort<sup>215</sup> Goyi<sup>216</sup>. To koszmar. Och, ta straszliwa plansza niby upiór spotkany w księżycową noc w lesie: człowiek tkwiący na palu zastruganym z gałęzi, nagi, krwawiący, z nogami skurczonymi od bólu, z męką konania na twarzy, ze zjezonymi włosami... I to ramię ucięte gładko, niby ramię posągu... A potem obróćcie kartę: usta, które wypluwają życie, żywi obrzygujący krwią trupy... I jeszcze obróćcie kartę: Hiszpania naga, żebracza, z nogami w ściekach ambulansu...

— Tak, geniusz okropności, to cały geniusz Hiszpanii. W tych akwafortach wypalonych niby żarem *autodafé*<sup>217</sup>, w tych planszach ostatniego wielkiego malarza Hiszpanii jest niemal Inkwizycja...

— Brrr! Powiem wam dla odmiany coś weselszego. Jak wam się podoba to spostrzeżenie Violet-le-Duc'a<sup>218</sup>. Wychodziliśmy wczoraj z domu, gdzieśmy byli na miłym obiedzie. Violet-le-Duc rzekł do mnie: „Aby wieczór był gdzieś przyjemny, trzeba aby pani domu miała kochanka, i aby owego kochanka nie było na tym wieczorze”.

I znów rozmowa przechodzi na kobiety i nie wiadomo jak, wędruje aż na Wschód. Sainte-Beuve oburza się na zwyczaj epilacji<sup>219</sup> kobiet na Wschodzie. Saint-Victor wtrąca: „To musi przypominać księży podbródek”. I dialog kończy się wściekłym atakiem Sainte-Beuve'a na Wschód, który (powiada) kastruje i kaleczy wszystko.

Potem Sainte-Beuve, który jest melancholijnie nastrojony, skarży się na starość. Komplementują go, że nigdy nie był młodszy. On wyklada swoją teorię, że, począwszy od pewnego wieku, nigdy nie trzeba prosić młodej kobiety o miłość, ale o jałmużnę miłości; osiągnąć to, aby tolerowała niemłodego kochanka, aby go nie nienawidziła... Tak, to już wszystko, o co można prosić... dokończył z westchnieniem.

— Ale czy Sainte-Beuve kochał kiedy? — rzuca ktoś niedyskretny.

— Ja, widzicie — zwierza się bez trudu Sainte-Beuve — mam w głowie, nie wiem gdzie, tu albo tu (maca się po czaszce), przegródkę, szufladkę, którą zawsze boję się za nadto otworzyć. Wszystko co robię, moje prace, moje kupy artykułów, to po to, aby ją trzymać zamkniętą. Zatkaną ją, zawałem książkami, tak abym nie miał czasu zastanawiać się, abym nie miał czasu wychodzić z domu... Nie wiecie, co to jest — ciągnął z ożywieniem ale zarazem z głęboką melancholią wydzierającą się z głębi serca — nie wiecie co to jest czuć, że się nie będzie kochanym, że to jest niemożliwe... dlatego że człowiek jest stary... że byłby śmieszny... że jest brzydki...

Starość, Kochanek

<sup>213</sup>*mizantrop* — osoba nieżyczliwie nastawiona do ludzi. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Solferino* — miejscowość włoska, miejsce bitwy stoczonej 24 czerwca 1859 między wojskami francuskimi i piemonckimi a austriackimi. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*akwaforta* — technika graficzna wkleśła, w której grafikę odbija się z płytki, w której rowki zostały wytrawione kwasem. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*Goya* (1746–1828) — właśc. Francisco José Goya y Lucientes, malarz nadworny królów Hiszpanii: Karola III Burbona, Karola IV Burbona i Ferdynanda VII Burbona; nasycił styl klasycyzmu barokową ekspresją. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>*autodafé* — publiczna egzekucja heretyka, zwł. przez spalenie. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>prawdop. *Violet-le-Duc, Eugène* (1814–1879) — francuski architekt, historyk sztuki i konserwator zabytków, zajmujący się głównie budowlami średniowiecznymi. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>*epilacja* — dziś: depilacja. [przypis edytorski]

— Zresztą — dodaje Sainte-Beuve — czy wy wiecie, ja nigdy nie spędziłem nocy z kobietą, z powodu mojej pracy. Nie miałem czasu. Poza tym, mój ideał to włosy, zęby, ramiona, no i reszta. Wszystkie elegancje daruję wam.

— Berlioz opowiadał komuś, że, będąc w domu, w górach, zakochał się, mając dwanaście lat, w dziewczynie dwudziestoletniej. Potem przeszedł wiele miłości, romantycznych, dzikich, dramatycznych, ale zawsze, w głębi, miał jakby głuchą pamięć pierwszego uczucia, do którego wrócił z pasją, odnajdując w Lionie swoją młodą dziewczynę, obecnie siedemdziesięcioczeroletnią. I teraz pisze do niej, opowiada jej wspomnienia swego dwunastoletniego serca, żyje tylko tą przeszłą miłością.

Rozmowa schodzi na kobietę i miłość, jak zawsze (powiadają Goncourci) rozmowa inteligentnych ludzi przy jedzeniu i picu. Kiedy smak jej staje się trochę pieprzny, Turgeniew, z pewnym zdziwieniem barbarzyńcy, powiada, że co do niego, uprawia zawsze miłość bardzo naturalnie. Pytają go o najżywsze wrażenie miłosne, jakiego doznał w życiu; odpowiada:

— Byłem bardzo młody, byłem niewinny, ze wszystkimi pragnieniami, jakie się ma, mając piętnaście lat. Była u mojej matki pokojówka bardzo ładna, trochę głupia, ale było jej z tym bardzo do twarzy. Był to dzień wilgotny, miękkki, dżdżysty — dzień erotyczny. Zaczynało się ściemniać. Naraz, ta dziewczyna podchodzi prosto do mnie i bierze mnie — zważcie, że ja byłem jej panem, a ona moją poddanką — bierze mnie za włosy na karku i mówi: „Chodź”.

To co nastąpiło potem, to było wrażenie podobne do wszystkich innych. Ale to słodkie wzięcie mnie za włosy z tym jednym słowem często staje mi w pamięci i myślę o tym i zawsze z uczuciem szczęścia.

— To raz — powiada ktoś — a drugi raz?

Turgeniew uśmiecha się do siebie i mówi:

— Wezwano mnie do Rosji, byłem w Neapolu, miałem już tylko pięćset franków. Nie było wtedy kolei żelaznych. Powrót był kłopotliwy i trudny i, jak się domyślicie, bez luksusów miłości. Znalazłem się w Lucernie na moście obok kobiety, która stała przy mnie: przyglądaliśmy się kaczkom, mającym plamę w kształt migdału na głowie. Wieczór był wspaniały. Zaczęliśmy rozmawiać, potem przechadzać się. Tak przechadzając się, zaszliśmy na cmentarz... Flaubert, znasz ten cmentarz?... Nie przypominam sobie, abym był kiedy w życiu bardziej rozkochany, bardziej podniecony, nagły... Kobieta położyła się na wielkim grobie...

FLAUBERT: — W górnym Egipcie, w noc czarną jak atrament, pośród niskich domów, wśród szczekania psów, które chcą człowieka rozszarpać, prowadzą cię do chatki nie wyższej od siedemnastoletniego chłopca. Tam znajdujesz leżącą w koszuli na ziemi kobietę, której ciało owite jest siedemkroć wielkim złotym łańcuchem, kobietę, która ma pośladki zimne jak lód. I wówczas z tą kobietą, nieruchomą i martwą w akcie miłosnym, doznaje się, wiecie, rozkoszy niewiarygodnej, takiej...

— Och, Flaubert, mój stary, to czysta literatura!

— Cóż jest wszystko — wykrzykuje Flaubert przyciskając ramię do piersi — cóż jest wszystko wobec ramienia ukochanej kobiety, którą tuli się na sekundę do serca, prowadząc ją do stołu?...

— To ciekawe — wtrąca Turgeniew, słuchając z oczami rozszerzonymi, prawie niepokojnymi — to ciekawe: mnie nie zdarza się przystąpić do kobiety bez uczucia szacunku, wzruszenia, zdumienia swoim szczęściem.. Wy nie znacie kobiety rosyjskiej? Szkoda... To by was zajęło... Kobieta rosyjska... jakby ją określić... to połączenie prostoty, tkliwości i nieświadomego zepsucia...

— Wujaszku Beuve, czy praca może zastąpić miłość?

SAINTE-BEUVE: — Et, krytyka... Też nie ma się czasu nic pokochać... Trzeba przeskakiwać z wieku na wiek... z rodzaju na rodzaj... nie trzeba się przywiązywać...

Rozmowa przechodzi na rodzaje literackie.

SAINTE-BEUVE: — Są rodzaje, które zdają się na wymarciu. Komedia wierszem jest skończona. Albo wiersze są niesceniczne, albo zmieniają się w prozę. Wszystko teraz pójdzie w powieść. To taka szeroka rama. To rodzaj, który da się nagiąć do wszystkiego... W dzisiejszej powieści jest kupa talentu.

Po czym dodaje: Grunt, żeby nie za długo pisać książkę, bo wtedy człowiek przychodzi z nią za późno.

— O to, aby nie pisać za długo, troszczy się konieczność zarabiania piórem...

— Zarabiać piórem! Skoro taki Balzac przez całe życie widział zbawienie jedynie w teatrze...

— A i teatr! Wiecie, co mi powiedział stary Dumas? Że w teatrze można zrobić pieniądze już tylko przy pomocy trykotów... które trzaskają... Na tym zrobił fortunę słynny Hostein. Nakazał swoim baletniczkom, żeby kładły zawsze trykoty, które trzaskają, i zawsze w tym samym miejscu... Dopieroż lornetki podrygiwały ze szczęścia... Ale wdała się w to cenzura... I dziś w handlu lornetkami jest zastój...

— Zastój? Architekt Chabouillet, który nie łatwo się dziwi, opowiadał mi rozmowę, jaką miał z dyrektorem teatryku<sup>220</sup>) na bulwarach. „Bardzo inteligentnie zbudowany pański teatr, powiada mu architekt. — To, teatr?... odpowiada tamten. To nie teatr, to burdel. — Och, panie... — Ścisłe tak, jak mam zaszczyt panu mówić. To nie teatr, nie, proszę pana, i to jest zupełnie proste... Daję swoim aktorkom 50 albo 60 franków miesięcznie... czemu? bo płacę 30. 000 czynszu. Aktorom płacę też nie więcej; zgaduje pan, czym sobie dorabiają wszyscy... Często kobieta łapie mnie, aby mi powiedzieć, że nie może wyżyć z moich 50 franków, że będzie musiała zaczepiać mężczyzn na sali, aby wyżyć... Co pan chce, mnie to nie obchodzi... płacę 30. 000 komornego... Zatem, rozumie pan, mój teatr to nie teatr, ale burdel”.

— Szczyt wszystkiego, co wynaleziono, to przebrać kobiety po wojskowemu: to znaczy szczepić szowinizm na erotyzmie. Kobieta, która ma ładny zadek, nogi nie zanadto koślawe i która ratuje sztandar francuski, pojmujecie że to jest nieodparte.

— Cytujecie starego Dumasa. Ja bytem na premierze Dumasa syna. To już nie sztuka w teatrze, to msza dla wiernych. Przy każdym słowie — szmery zachwyty. Autor mówi: „Miłość to wiosna, to nie cały rok”. Salwa oklasków. Jeszcze przyciska pedał: „To nie owoc, to kwiat”. Podwójna salwa. I tak ciągle. Nikt niczego nie sądzi, nie ocenia, wszystko klaszcze z entuzjazmem przyniesionym z domu i gotowym wybuchnąć.

— To też jest talent.

— Stary Dumas rozkochany jest w swoim synu.

— Tak! Pewien stroskany ojciec żalił mu się na nicłość swego syna, powiadając: „Trzeba by mi takiego syna jak pański!” Na co Dumas: „Widzi pan, takich synów, jak mój, trzeba robić samemu...”

— Dumas *junior* ma sekret trafienia do publiczności, do tej publiczności premierowej, jest jej poetą; podaje i mężczyznom i kobietom z tego świata, w języku dla nich zrozumiałym, komunal<sup>221</sup> ich serc.

GONCOURT: — To fakt, że w sztuce i literaturze mało znam rewolucjonistów urodzonych w nędzy.

KTOŚ: — To jest dość ciekawe, że nigdy nikt nie zrobił zapisu na rzecz pisarza nieznanego mu osobiście.

— Nędza to jest rzecz straszna; kiedy raz ukąsiła człowieka, zawsze zostaje mu lęk, aby go nie ugryzła znowu...

— Wynikiem nędzy jest nie gorycz i nie rozpacz. Nędza łamie sprężynę, kruszy niezależność, obłaskawia zamiast buntować.

— Dla mnie straszliwsza jest inna nędza: nędza myśli w bogatych domach budzi czasem litość.

— Mówicie o nędzy. Wiecie, gdzie się chowają pieniądze? Bineau, będąc ministrem finansów, zrobił w roku 1852 wywiad, z którego zyskał pewność, że osiemdziesiąt procent renty jest w rękach kleru. Żebrzące zakonnice, które zaczęły z siedmioma frankami, mają obecnie osiemdziesiąt milionów.

SAINT-VICTOR: — Piekło to dojna krówka.

GONCOURT: — Ciekawe byłoby obliczyć, ile niebo kosztowało świat...

Ojciec, Syn

Religia, Pieniądz

<sup>220</sup>dyrektorem teatryku — ten sam dyrektor teatru posłużył najwidoczniej za model Zoli w pierwszym rozdziale *Nany*. [przypis autorski]

<sup>221</sup>komunal — ogólnie znane stwierdzenie, nieposiadające głębszej treści. [przypis edytorski]

— Ze wszystkich religii najpocieszniejsze są religie wielkich ludzi. Są satelici tak nikkczemnie przywiązani do religii głośnej pamięci, że robią wrażenie lokajów nieśmiertelności.

— Co to jest ludzka wielkość? Wszelka wielkość, zbudowana przez człowieka i przerastająca pretensjami jego wymiar, osmuca. Wersal jest przykładem melancholii, jaka zieje z każdej piramidy. Tylko natura ma prawo robić rzeczy wielkie.

— Gautier, podobno ty wracasz z Nohant. Czy to zabawne?

GAUTIER: — Jak klasztor braci morawskich. Przyjechałem wieczór. To daleko od kolei. Wjechałem przez folwark, wypadły na mnie psy, które mnie przestraszyły... Dano obiad. Dobrze dają jeść. ale za dużo dziczyzny i za dużo drobiu. Ja tego nie lubię... Byli malarz Marchal, pani Calamatta, Dumas syn...

— A jak się żyje?

— Śniadanie o dziesiątej. Skoro wskazówka wskaże punkt dziesiątą, siada się do stołu. Pani Sand przybywa z sonambulicznym<sup>222</sup> wyrazem i drzemie przez całe śniadanie... Po śniadaniu wszyscy idą do ogrodu. Gra się w świnkę, to ją ożywia. Siada i zaczyna rozmawiać. Rozmawia się teraz najczęściej o kwestiach wymowy: na przykład o sposobie wymawiania *ailleurs* i *meilleur*. Okrasą rozmowy są koncepty skatologiczne<sup>223</sup>...

— Och!

— Ale za to najmniejszego słówka o stosunkach płci. Sądzę, że kto by sobie pozwolił na najłżejszą aluzję w tej mierze, wyleciałby za drzwi. O trzeciej pani Sand idzie do siebie i pisze do szóstej. Obiad odwała się szybko, żeby dać czas na obiad pani Marii Caillot; to taka gosposia, rodzaj *Petite Fadette*, którą pani Sand wyszukała sobie w okolicy, aby grała w jej teatrze. Wieczorem przychodzi do salonu.

Po obiedzie pani Sand kładzie pasjanse, nie mówiąc ani słowa do północy... Drugiego dnia bąknąłem, że, jeśli nie zaczną mówić o literaturze, ja się wynoszę... Och! literatura! zdawałoby się, że wracają z tamtego świata!... Muszę wam powiedzieć, że w tej chwili jednym tylko się tam zajmują: mineralogią. Każdy ma swój młotek, nie wychodzi się bez młotka. Oświadczyłem tedy, że Rousseau był najgorszym francuskim pisarzem, jaki istniał, i to nam zapewniło dyskusję do pierwszej w nocy...

Bądź co bądź, do pisania urządzone jest to Nohant pierwszorzędnie. Gdziekolwiek by pani Sand usiadła, już wyrastają spod ziemi pióra, błękitny atrament, bibułki, tytoń turecki i papier listowy. I ona używa tego. Bo wiecie może, że ona pracuje od pierwszej w nocy do czwartej rano... I wiecie, co jej się przytrafiło. To coś potwornego! Pewnego dnia skończyła powieść po pierwszej z rana... i zaczęła drugą tej samej nocy... Skrypt, to już jest naturalna funkcja u pani Sand.

Poza tym żyje się u niej bardzo dobrze. Na przykład obsługa jest milcząca. Jest w korytarzu skrzynka, która ma dwie przegrody: jedna na pocztę, druga na korespondencję domową. Pisze się wszystko, czego się potrzebuje, wskazując nazwisko i numer pokoju. Potrzeba mi było grzebienia. Napisałem „Gautier, pokój ten a ten” i swoją prośbę. Nazajutrz o szóstej rano miałem trzydzieści grzebieni do wyboru.

I znów wszczynają się wiekuista sprzeczka podsycana przez Renana: Balzac czy George Sand.

— Czytajcie *Chłopów* Balzaka — wykrzykuje Edmund Goncourt. — Nikt nie mówił o Balzaku jako o mężu stanu, a to jest może największy mąż stanu naszych czasów, jedyny który przejrzał głąb naszej choroby, jedyny który z wysoka ujrzał zwichnięcie równowagi we Francji od roku 1789, obyczaje wyglądające spod praw, fakty spod słów, anarchię interesów rozpetanych pod pozorami ładu, nadużycia przywileju zastąpione przez „stosunki”, równość wobec praw a nierówność wobec sędziego, słowem kłamstwo całego programu Rewolucji, który nazwisko i tytuł zastąpił pięciofrankówką i porobił markizami bankierów — nic więcej. I to powieściopisarz dojrzał to wszystko! *Komedia ludzka*, to największy epos świata. I wy mi prawie o Homerze!

RENAN: — Bokacjusz powiada gdzieś, że modli się przed okładką Homera, którego ma w bibliotece i z którego nie rozumie ani słowa. Jest w ekstazie przed grzbietem i przed

<sup>222</sup>sonambuliczny — charakterystyczny dla lunatyka. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>skatologiczny — związany z odchodami bądź z wydzielinami ludzkiego ciała. [przypis edytorski]



tytułem książki. U wielu ludzi spotyka się ten szacunek i podziw dla piękna, które nie mówi ich językiem.

JULIUSZ: — Ha, w literaturze usświęcone sądy są święte. W XIX wieku mniej może niebezpieczne jest atakować krucyfiks, niż piękności tragedii.

— Wolno we Francji robić skandal w historii. Można pisać, że Neron był filantropem i że kardynał Dubois był święty człowiek. Ale w sztuce...

GONCOURT: — Toż sztuka nie jest jedna, a raczej istnieje nie tylko jedna sztuka. Sztuka japońska ma swoje piękności, jak sztuka grecka. W gruncie rzeczy co to jest sztuka grecka? To realizm piękna, ścisły przekład z natury, bez cienia owego idealizmu, który wmawiają jej profesorowie sztuki. Tors watykański, to jest tors, który trawi po ludzku, a nie tors karmiący się ambrozją, jak to chciałby wmówić Winckelmann<sup>224</sup>. To pewna, że w sztuce greckiej nie ma ani marzenia, ani wyobraźni, ani tajemnicy, słowem nie ma tego żdźbła opium, tak upajającego, tak drażniąco zagadkowego dla mózgu widza.

Sztuka, Ciało

GAUTIER: — Młody Japończyk, którego proszono o przetłumaczenie poezji, zatrzymał się w połowie i wykrzyknął: „Nie, to niemożliwe wam to objawić, wasz język jest taki ordynarny. Mówicie kobiecie: *Kocham panią*. To u nas tak, jakbyście powiedzieli: *Pani, chciałbym się z panią przespać*. Najwięcej, co my ośmielimy się powiedzieć damie naszego serca, to że zazdrościmy przy niej miejsca kaczuśki. Kaczusia to nasz ptak miłości”.

Miłość, Język

GONCOURT: — Czemu brama japońska czaruje mnie i bawi moje oko, podczas gdy wszystkie linie architektury greckiej nudzą to samo moje oko? Co się tyczy ludzi, którzy twierdzą, że czują piękność jednego i drugiego, jestem przekonany, że nie czują absolutnie nic.

— „Biada dziełom sztuki, których cała piękność widna jest tylko artystom”...

— Co to takiego?

— Cytat.

— Z kogo?

— Z d'Alemberta<sup>225</sup>.

— Oto jedno z największych głupstw, jakie kiedy powiedziano.

— W literaturze dobrze się robi tylko to, co się widziało albo przecierpiał.

— Zaczyna się szukać swojej oryginalności bardzo pracowicie u innych... potem znajduje się ją w naturalny sposób w sobie... i bardzo blisko siebie...

— Tortura człowieka myśli to wciąż wzdychać do Piękna, nigdy nie mając stałej i pewnej jego świadomości.

— Ba, książka nigdy nie jest arcydziełem, staje się nim dopiero. Geniusz to jest talent człowieka, który umarł.

Sztuka, Czas

— Biedny Gavarni<sup>226</sup>, on nie zostawił swojej książki. Cóż za szkoda, że nie spisywał swoich myśli; to był z pewnością najoryginalniejszy mózg filozoficzny naszego wieku...

— Pamiętacie, jak nam tu zabawnie opowiadał o Balzaku?

— Balzac — też człowiek, który już kupił sobie prawo zostania geniuszem...

— Geniuszem powieści. Ale powieść od czasu Balzaka nie ma już nic wspólnego z tym, co nasi ojcowie nazywali tym mianem. Dzisiejsza powieść tworzy się z dokumentów opowiedzianych albo pochwyconych z natury, jak historię tworzy się z dokumentów pisanych.

Sztuka, Prawda, Historia

GONCOURT: — Historia to powieść, która się zdarzyła — powieść to historia, która mogła się zdarzyć.

FLAUBERT: — Dla mnie fabuła, to rzecz zupełnie obojętna. Kiedy piszę powieść, chcę oddać tylko barwę, odcień. Na przykład w moim romansie kartagińskim chciałem zrobić coś purpurowego. W *Pani Bovary* chciałem oddać ów ton, ów kolor pleśni, w jakiej żyją stonogi. Fabuła, koło której rzecz miała się kręcić, obchodzi mnie tak mało, że, na kilka dni zanim się zabrałem do pisania, wyobrażałem sobie panią Bovary zupełnie inaczej.

<sup>224</sup>Winckelmann, Johann Joachim (1717–1768) — niemiecki archeolog i historyk sztuki, propagator klasycyzmu. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>d'Alembert, Jean le Rond (1717–1783) — filozof, matematyk i fizyk francuski, współautor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Gavarni, Paul — właśc. Sulpice Guillaume Chevalier (1804–1866), francuski rysownik, karykaturzysta i satyryk francuski. [przypis edytorski]

To miała być — w tym samym środowisku, w tym samym tonie — stara panna nabożna i cnotliwa... Ale potem zrozumiałem, że to byłaby niemożliwa figura...

— Mówicie, że powieść to historia! Ależ historia też ulega przeobrażeniu, ona też nie jest tym, czym była dawniej.

SAINTE-BEUVE: — Dzisiejsza koncepcja historii to bankructwo opatrności. Historia to seria przypadków.

— Historia to znaczy historyk. Otóż bywają tak mali historycy wielkich rzeczy, że przywodzą na myśl owe ostrygi, będące świadectwem potopu.

RENAN: — Są jednakże prawa rządzące zdarzeniami. Widzę, że pan Berthelot jest też mego zdania.

— Czasem rolę opatrności obejmuje człowiek. Morderca polityczny, czyż to nie jest człowiek, który uzurpuje sobie prawa Pana Boga?

— Taka bomba Orsiniego! Italia wolna — i może papieństwo, to znaczy katolicyzm, umrze od tej bomby.

— Morderstwo polityczne to najwyższe napięcie heroizmu obecnych czasów. A kiedy się powiedzie, czy to nie jest oszczędzenie rewolucji przez poświęcenie jednego człowieka?

— W tydzień po tym zamachu ktoś mówił do księcia d'Aumale:<sup>227</sup> „Cesarz zachował się wybornie. — Jak mój ojciec, odparł księżę d'Aumale, za każdym razem, kiedy go próbowano zamordować; ale zaczekajcie... nie upłynął tydzień, a mój ojciec popełnił zawsze jakiś gruby błąd...”

— Opowiadają, że, w czasie audiencji Olliviera, cesarz poprosił go, aby mu powiedział szczerze, co o nim mówią; aby mówił tak jakby nie do cesarza. Ollivier wzdragał się, ale odpowiedział wreszcie, że mówią, iż cesarz podupada umysłowo. „To się zgadza z moimi raportami”, odparł cesarz niewzruszony.

— Jest pewna wielkość w tym obiektywizmie.

— Takim trzeba było być, aby zainscenizować dzień 2. grudnia.

— Zwłaszcza czwartego — mruknął ktoś.

— *À propos*. Wiecie, czemu Veron sprzedał swoją kolekcję? Pewien jest, że z tym wszystkim będzie koniec lada dzień, że zaś on uważa się za jednego z wielkich twórców 2. grudnia, za głowę, na którą naznaczona jest cena, wyobraża sobie, że wszystko u niego będzie rozbite w drzazgi i dlatego ze wszystkiego się wyprzedał. Ma tylko łóżko, fotel i walizę.

— Kiedyś księżniczka Matylda wróciła z Compiègne i mówiła o cesarzu i jego flegmie. Nic go z niej nie zdoła wyprowadzić. Raz służący strzyknął mu wodą sodową za kołnierz: nadstawił po prostu szklankę z drugiej strony, bez słowa, bez znaku zniecierpliwienia... To człowiek, który nigdy nie wpada w gniew, u którego najgwałtowniejsze słowo jest: *To nie ma sensu...* — „Ja, mówiła księżniczka, gdybym była za niego wyszła, rozbiłabym mu głowę, aby zobaczyć, co tam siedzi...”

KTOŚ, *półgłosem*: — Znacie historię małżeństwa cesarza? Słyszałem ją od kogoś, kto ją słyszał od księcia de Morny. Jednego dnia, cesarz zapytał panny de Montijo z naciskiem, odwołując się do jej rzetelności, tak jakby się odwoływał do honoru mężczyzny, czy już kochała kogo serio. Panna de Montijo odpowiedziała: „Oszukałabym cię, sire, gdybym się zapierała, że moje serce już przemówiło i to nawet parę razy; ale mogę ci zaręczyć, sire, że zawsze jestem panną de Montijo. — A więc, odparł, będzie pani cesarzową”.

— Cesarski mariaż<sup>228</sup> w mieszczańskim stylu.

— Ha, to styl epoki. Wszystko dziś odchodzi od królów a idzie do ludu, nawet zainteresowania autorów, które schodzi z niedoli królewskich do niedoli prywatnych, od Priama<sup>229</sup> do Cezara Birotteau<sup>230</sup>.

GONCOURT: — Małe umysły, które sądzą wczoraj poprzez dziś, dziwią się magii tego słowa *Król*, tego czym ono było przed rokiem 1787. Król był po prostu religią ludową owego czasu, jak ojczyzna jest religią narodową naszych czasów. I kto wie, kiedy koleje

<sup>227</sup>księcia d'Aumale: — Księżę d'Aumale, syn króla Ludwika Filipa, zdeponizowanego przez rewolucję r. 1848. [przypis autorski]

<sup>228</sup>mariaż (daw.) — małżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>Priam — król Troi przedstawiony m. in. w *Iliadzie* Homera. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>Cezar Birotteau — bohater tytułowy powieści Balzaca z roku 1837, właściciel sklepu z perfumami chłopskiego pochodzenia. [przypis edytorski]

żelazne zbliżą rasy, zmieszają idee, granice i sztandary, przyjdzie może dzień, że ta religia XIX wieku wyda się równie ciasna i mała jak tamta.

NEFFTZER: — Mówicie o królach: posłuchajcie, co mi opowiadał ktoś, kto jadł po Sadowie<sup>231</sup> obiad z królem pruskim. Pod koniec obiadu, król, płacząc z rozczulenia, wpół pijany rzekł: „Jakim cudem Bóg wybrał taką świnię jak ja, aby wyświnić ze mną taką chwałę dla Prus?”

— Słyszałem od pewnego cudzoziemskiego generała, że Bismark, mówiąc mu o swoich zamiarach — jeszcze przed 1866 — i robiąc aluzję do króla, powiedział: „Zawłokę to ścierwo przed rów, i będzie musiał przeskoczyć!”

Wszczyła się szeroka dyskusja historyczna, z której okazji pada tradycyjne słowo „benedyktyni”. Goncourt wzrusza ramionami:

— Też błaga! Zawsze mówi się ze czcią i podziwem o ich pracach. Zdawało się, że ci ludzie doprowadzili cierpliwość i sumienność do ostatnich granic. Otóż, przeglądałem w tych dniach listę rycin ojca Lelong. Niepodobna sobie wyobrazić katalogu równie niedokładnego i powierzchownego. Najmniejsza praca katalogowa naszych czasów przewyższa go sto razy wiedzą i ścisłością. Stanowczo, historia, nawet w swoich ubocznych gałęziach, zaczyna się dopiero w XIX wieku. Benedyktyni to byli sobie rozkoszni epikurejczyści pracy, traktujący swoje badania niby sjęstę między dobrym obiadem a niemęczącym spacerem. Popołudnie w rabelosowskim opactwie Telemy...

— Coś niby dziś panowie Akademicy?

SAINTE-BEUVE: — Akademia! Gdy chodzi o książki, gdy chodzi o nagrody, przychodzą do mnie. Nie znają ani jednego nowego nazwiska od dziesięciu lat. A przy tym Akademia ma jeden śmiertelny lęk, lęk przed cyganerią. Kiedy nie spotykali kogoś w swoich salonach, nie chcą go. To nie jest człowiek z ich świata...

— Aby zostać czymś, trzeba pochować dwie generacje, generację swoich profesorów i generację swoich kolegów szkolnych: — poprzednią i współczesną.

GONCOURT *jakby do siebie*: — Przeczytać paręset tomów starych autorów, sporządzić fiszki, noty, napisać dzieło o sposobie, w jaki Rzymianie obuwali się lub jedli, to się nazywa erudycja. Z tym jest się uczonym, jest się Akademikiem, jest się poważnym człowiekiem, ma się wszystko. Ale weź sobie wiek bliski nas, wiek olbrzymi, przetrząśnij górę dokumentów, trzydzieści tysięcy broszur, dwa tysiące gazet, wydobać z tego wszystkiego nie monografię, ale obraz społeczeństwa, a będziesz tylko miłym szperaczem, kolekcjonerem, amatorem, plotkarzem. Dużo jeszcze wody upłynie, zanim francuska publiczność nabierze szacunku dla historii traktowanej w sposób zajmujący...

— Zarzucają mi — skarży się w innym kącie Gautier — że ja wciąż naciskam pedał w swoich artykułach, że wszystko wypycham na pierwszy plan. że wciąż chcę robić efekt. A ja doprawdy jestem nieszczęśliwy: wszystko u mnie wydaje mi się płaskie. Najbardziej kolorowe artykuły zdają mi się szare jak papier do pakowania. Wałę czerwone, żółte, złote, paćkam jak wściekły, i nigdy nie wydaje mi się błyszczące. Ciskają mi na głowę klasyków, Moliere. Otóż, chcecie wiedzieć moją opinię o Moliere i o *Mizantropie*? To jest dla mnie ohydne. Mówię całkiem szczerze: to pisane jak świnia.

— Błuznierca!

— Nie, ja Moliere nie czuję zupełnie. Jest w jego sztukach zdrowy rozsądek, gruby, plugawy...

— On śmie to mówić o *Mizantropie*! — woła ktoś zasłaniając twarz.

— *Mizantrop* — ciągnie niewzruszony Gautier — to szczerze łajno... Muszę się panu przyznać, że ja mam bardzo nieszczęśliwą naturę. Kiedy w dramacie ojciec, odnalazszy córkę, pociera jej twarz o guziki swojej kamizelki, mnie to jest absolutnie obojętne: widzę jedynie fałdy u sukni owej dziewczyny. Ja jestem natura subiektywna... Mówię panom to, co czuję. Nie napisałbym zresztą tego wszystkiego. Nie trzeba dyskredytować uświęconych arcydzieł. Ale *Mizantrop* to jest komedia z jezuickiego kolegium. Och, co za świństwo! Co za język! Jak to pisane! Ale cóż chcecie, nie mogę powiedzieć tego głośno; pozbawiłbym się chleba. I tak dostałem dziś list z obelgami, bo ośmieliłem się zestawić *Tymona Ateńczyka* Szekspira z *Mizantropem*.

<sup>231</sup>bitwa pod Sadową — stoczona 3 lipca 1866 między wojskami pruskimi a austriackimi, zapewniła Prusom dominację w Związku Niemieckim. [przypis edytorski]

Z Moliera rozmowa przechodzi na cały wiek XVII, który znajduje się na cenzurowanym:

— Och, jaki nudny wiek, jaki antypatyczny, jaki zły język w porównaniu z soczystym językiem wieku XVIII — wzdycha Goncourt.

— Ale La Fontaine<sup>232</sup>!

— Mnie bajka przypomina zawsze sceny wypchanych zwierząt w gabinecie historii naturalnej.

A Gautier ze zdwojoną werwą przypuszcza atak do *Króla-Słońce*, do Ludwika XIV<sup>233</sup>:

— Wieprz pocętkowany ospą jak warzecha<sup>234</sup>, i mały... To był istny karzełek ten *wielki król*. Wciąż tylko jadł i fajdał. Pełno łajna w tej epoce. I ograniczony! Ale cóż! płacił pensje, żeby go opiewano... Fistuła<sup>235</sup> w zadku, druga w nosie komunikująca z podniebieniem... Wszystek rosół z marchwią wypływał mu tamtędy... To są historyczne fakty.

— Nie można słuchać takich potworności! Ludwik XIV, prawdziwe i zdumiewające wcielenie królewkości! Z siebie samego stworzył jej obraz. Utrwalił osobę króla tak, jak wielki aktor utrwała typ w teatrze!

— Wiecie jak Michelet dzieli panowanie Ludwika XIV: przed fistułą i po fistule.

GAUTIER: — Kiedy przeszłość religijna i monarchiczna zniszczy zupełnie, może ludzie zaczną sądzić przeszłość literacką; może zdarzy się, że pomieszczą wyżej Balzaka od Moliera, i spostrzegą, że Wiktor Hugo jest największym poetą francuskim.

— Czytałem znów Wiktora Hugo. Uderzyła mnie przepaść, jaka istnieje dziś między artystą a publicznością. Niegdyś człowiek taki jak Molier był tylko myślą swojej publiczności, był — aby tak rzec — na jej poziomie. Dziś wielcy ludzie są wyżej, a publiczność niżej.

FLAUBERT: — Tak, Hugo to człowiek, w którego skórce najchętniej człowiek by się znalazł.

— Nie — odparł Sainte Beuve — w literaturze nie chciałoby się nie być sobą... Chciałoby się przyswoić sobie pewne właściwości kogoś innego... ale zawsze zostając sobą.

FLAUBERT: — Ciekawe jest, że u Wiktora Hugo, który ma ambicję uchodzić za myśliciela, uderza brak myśli.

— Nie można mówić o myśli ani o braku myśli u niego. Hugo to natura. On, zamiast krwi, ma w żyłach sok, jak drzewo.

— Brak myśli byłby w istocie dziwny przy jego apetycie. Bo najwięcej myśli ma człowiek po obiedzie. Zdaje się, że żołądek wydziela myśl, niby rośliny, wypacające natychmiast liśćmi wodę, którą się je podlało.

— Ależ poezja...

NEFFTZER: — Poezja jest wtedy piękna, kiedy jest idea.

GAUTIER: — Ty nie mów do mnie. Tyś się pojednał z Bogiem, aby założyć dziennik... Pogodziłeś się ze starym.

Wszyscy się śmieją.

— Wiek XVIII to czas, który lubię najbardziej — powiada Sainte-Beuve. — Nie ma dla mnie piękniejszej epoki, niż pierwszych piętnaście lat panowania Ludwika XVI. I co za ludzie, nawet drugorzędni: Chamfort<sup>236</sup>, Rivarol<sup>237</sup>...

— Takie *Myśli* Chamforta to wspaniałe zagęszczenie wiedzy życia, gorzki eliksir doświadczenia.

— A to powiedzenie Rivarola: „Bezbożność to niedyskrecja”... Hu, hu, to urocze, ciągnął Sainte-Beuve. A ten przyjaciel Talleyranda, którego gdy umierał, ksiądz spytał go, czy nie bluźnił kiedy przeciw Kościołowi. Odpowiedział: „Księżę proboszczu, ja zawsze obracałem się w dobrym towarzystwie”. I wszyscy ci ludzie mieli filozofię, którą my powinniśmy mieć. Nie było mowy o nieśmiertelności duszy, o żadnych takich historiach:

<sup>232</sup>La Fontaine, Jean de (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji z dynastii Burbonów, zwolennik absolutyzmu, określaný jako Król Słońce. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>warzecha — rodzaj drewnianej łyżki. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>fistula — operacyjnie wykonana przetoka. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>Chamfort, Sébastien-Roch de (1741–1794) — francuski literat epoki Oświecenia. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>Rivarol, Antoine de (1753–1801) — pisarz francuski. [przypis edytorski]

żyło się, jak można najlepiej, czyniąc dobrze i nie gardząc materią. Teraz zażywamy za wiele religii, bierze się ją w przesadnych dawkach.

KTOŚ: — Zważcie, że to mówi autor *Port-Royal* w siedmiu tomach...

SAINTE-BEUVE: — Autor *Port-Royal*, który zarządził, że ma być pochowany cywilnie.

Rozmowa schodzi na Port-Royal i jansenizm<sup>238</sup>.

SAINT-VICTOR: — Kretyni!

SAINTE-BEUVE: — Fryburg się w tobie odzywa, jezuito.

Na to Renan<sup>239</sup> bierze w obronę „panów z Port-Royal” i rzuca pogląd, że naprawdę wielcy ludzie to ci, których się nie zna, o których się nie wie. Przyznaje, że podziwia w Port-Royal „inwokację do nieznanych”. Powiada w końcu, że szał produkcji, udzielania się, to jest wykwit naszego literackiego spodlenia i że istnieje na świecie jedyna rzecz prawdziwa i godna szacunku: świętość.

Na to powstaje straszliwy zgielk, wszyscy mówią i krzyczą naraz, a wśród zgielku rozlega się śpiewny głos Gautiera, który, obojętny na dyskusję, powtarza: „Ja jestem silny, podnoszę jedną ręką etc., i robię metafory, które się trzymają kupy. W tym jest wszystko”. W końcu stół uspokaja się.

GONCOURT *do brata*: — Och, ta nietolerancja wyznawców tolerancji! Przypomina się powiedzenie Duclosa: „Ci ludzie doprowadzą mnie do tego, że zacznę chodzić na mszę”.

Rozmowa wraca do wieku osiemnastego.

— A ta elegancja w heroizmie! Ot, w jakiejś bitwie za Ludwika XV, taki margrabia de Saint-Pern, widząc że jego pułk stoi pod gradem pocisków, mówi, sięgając spokojnie do tabakierki: „No i cóż, moje dzieci, to są armaty, strzela to, zabija, ot i wszystko”...

— Dzisiejsi wojskowi, choćby najsympatyczniejsi, są na dłuższą metę trochę nieznośni, przez pewien rodzaj tyranii, przez swój nawyk do komenderowania w rozmowie. I także są męczący przez nieustanne mówienie o swoim zawodzie, o tym wielkim zbiorowym ja, którym jest armia i zawsze armia...

— Bądź co bądź, granice sceptycyzmu...

— Trudno: jesteśmy wiekiem mistrzostwa w nieuszanowaniu.

— Jest pewna wielkość w naszym sceptycyzmie. W każdym razie być sceptykiem to licha droga do kariery. Czyż ironia, zrodzona ze sceptycyzmu, nie jest formułą najmniej dostępną dla gruboskórców, tępasów, głupców, dla masy? A przy tym to wieczne przeczenie, wątpliwość o wszystkim, uraża złudzenia wszystkich, lub przynajmniej te, które wszyscy afiszują; uraża ich zadowolenie z ludzkości i z siebie.

— Pozostałoby wyrazić w literaturze współczesną francuską melancholię: melancholię nie samobójczą, nie bluźnierczą, nie zropaczoną, ale melancholię *humorystyczną*; smutek, który jest nie bez słodyczy i który śmieje się ironicznie, kątem ust. Melancholie Hamleta, Lary, Wertera, Renégo nawet, to są melancholie ludów północnych.

— Mnie to przeraża. Widzę po prostu jakieś odrętwienie mózgu i serca Francji, zmateralizowanej, ropiejącej, owrzodziałej... To musi trzasnąć. Wówczas to nie będzie tylko rok dziewięćdziesiąty trzeci! Wszystko w tym może zginąć...

— Sceptycyzm osiemnastego wieku był elementem jego zdrowia, my, dzieci wieku dziewiętnastego, jesteśmy sceptyczni gorzko, boleśnie...

— Wiek dziewiętnasty to zarazem wiek prawdy i błagi. Nigdy więcej nie kłamano i bardziej nie szukano prawdy.

— W osiemnastym wieku było towarzystwo, a towarzystwo to jeszcze najlepszy wynalazek człowieka — zakonkludował Sainte-Beuve.

— Och, towarzystwo! od dawna już dziennik zabił salon, publiczność zajęła miejsce towarzystwa. Ostatni salon, to był salon pani Récamier.

— Jak mnie ta pani Récamier nudzi! Istna madonna konwersacji!

<sup>238</sup> *jansenizm* — ruch reformatorski w kościele katolickim, funkcjonujący w XVI- i XVII-wiecznej Francji i w Niderlandach, inspirowany pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej zapożyczoną od św. Augustyna. Związany z nim był m.in. Blaise Pascal. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> *Renan, Joseph-Ernest* (1823–1892) — francuski historyk, pisarz, filozof i filolog; zajmował się zwłaszcza filologią orientalną, filozofią kultury oraz historią religii; autor znanego dzieła *Żywot Jezusa* (1863). [przypis edytorski]

— Cała wartość romantyzmu, to że wlał krew i dał kolor językowi francuskiemu umierającemu z anemii, ale ludzie, jakich stworzył, to marionetki.

— Rok 1830, piękny czas, epoka szlachejnych szaleństw! Dam wam przykład. Niejaki du Belloy miał przyjaciela, studenta medycyny na prowincji. Napisał raz do niego list: medyk, któremu list wydał się smutny, osądził, że przyczyną smutku jest z pewnością brak pieniędzy. Zebrał ile mógł i zawiózł przyjacielowi do Paryża. Tamten nie potrzebował pieniędzy, podziękował mu serdecznie, zapoznał go ze swoją kochanką i przez kilka dni nie rozstawali się. Naraz<sup>240</sup> przyjaciel znikł. Do Belloy, nie widząc medyka, zachodzi doń; a było to właśnie w dzień premiery *Marion Delorme*. Zastaje go w łóżku, ale jak? ogolona głowa, brwi, broda, wąsy — potwór. Okazało się, że się zakochał w jego lubce i że chciał sobie uniemożliwić widywanie jej. Du Belloy wyciągnął medyka z łóżka i zaprowadził go na *Marion Delorme*, i omal sztuka nie padła przez niego, bo ile razy odwrócił się, aby demonstrować przeciw protestom klasyków, publiczność parskała śmiechem na widok jego głowy...

Kiedy, pod koniec obiadu, większość obecnych oddaje się paleniu, ktoś zaczyna filozofować:

— Istnieje antagonizm między tytoniem a kobietą. Jedno osłabia drugie, do tego stopnia, że ludzie zakochani porzucają tytoń, bo czują lub wyobrażają sobie, że tytoń obniża ich pragnienie lub możliwość.

— W sumie miłość jest aktem grubo materialnym w porównaniu z uduchowieniem fajki.

SAINTE-BEUVE: — Nie palić to wielka próżnia w życiu. Człowiek jest zmuszony zastępować tytoń innymi rozrywkami... zbyt naturalnymi... które nie towarzyszą mu do końca...

Mówi to z uśmiechem żalu i swawolnej melancholii, po czym, nie zmieniając tonu, zaczyna mówić o samobójstwie jako o nagłym i dobrowolnym opuszczeniu bytu, na sposób starożytnych, zamiast żeby być świadkiem śmierci każdego ze zmysłów, każdego z organów — i żałuje, że nie ma odwagi się zabić.

— Pewien jegomość, Włoch, mający sto tysięcy renty, jednego dnia pożegnał przyjaciół, znajomych, świat, uprzedzając, że jedzie w góry umrzeć. Kazał sobie zbudować dom, wziął do posługi ogrodnika, który mu coś tam pitrasił do jedzenia, i tak, nie widząc i nie przyjmując nikogo, przebył tam siedem lat w białym krawacie, na wysokości, gotując się do odlotu.

— Były na świecie wszystkie systemy, wszystkie religie, idee. Jakim cudem nie powstała w żadnej epoce, w żadnym zakątku ziemi, sekta mędrców głoszących zagładę życia wobec jego okrucieństwa i niedoli? W jaki sposób nie przyszło nikomu do głowy głosić koniec ludzkości nie tylko przez poniesienie płodzenia, ale przez wynalazek najłagodniejszego samobójstwa, jakiegoś gazu rozweselającego, który by zmienił w wybuch śmiechu przejście z bytu do niebytu?

— Pod koniec osiemnastego wieku, w epoce rewolucyjnej, istniało tajne towarzystwo — wielki Condorcet należał do niego — którego członkowie nosili w pierścionku dawkę trucizny na nieprzewidywany wypadek, aby umknąć hańbiącego końca.

— Ale skąd nam wujaszek Beuve podsuwa takie czarne myśli?

SAINTE-BEUVE: — Zmęczony jakiś jestem... Żle pracuję... Zaczynam sypiać w dzień...

— Kiedy Sainte-Beuve ma zamiar uciąć sobie drzemkę w ciągu dnia, mówi swojej gospodyni: „Gdyby przyszedł papież, powie pani, że mnie nie ma w domu, a gdyby zmartwychwstała moja nieboszczka matka, poprosi pani niech zaczeka”.

— Wszyscy odczuwamy zmęczenie. Może to uczucie, że jakiś świat się kończy?

— Świat skończy się w dniu, w którym młode panny przestaną się śmiać ze skatologicznych<sup>241</sup> żartów.

— Co zabije dawne społeczeństwo, to nie filozofia ani wiedza. Zginie nie od wielkich i szlachejnych ataków myśli, ale po prostu przez niską truciznę, przez żrący kwas francuskiego dowcipu, ironii.

Ironia

<sup>240</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>skatologiczny — związany z odchodami bądź z wydzielinami ludzkiego ciała. [przypis edytorski]

GONCOURT: — Tak, boję się, że koncept zabije u nas wszystkie heroiczne idiotyzmy, a narody, które ich nie mają, skazane są na śmierć...

\*

Idąc wolno do domu, zostawszy sami, Edmund i Juliusz znęcają się po trosze nad tym obiadem, do którego tak są przywiązani.

— I pomyśleć, że to jest zebranie najniezależniejszych umysłów Francji! Co za ubóstwo własnych, naprawdę własnych myśli! Co za mieszczański lęk przed przesadą!

— Omal nas dziś nie ukamienowali, dlatego żeśmy twierdzili, iż Hebert, którego pism zresztą nikt nie czytał, miał talent. Jako dowód, że nie miał talentu, Sainte-Beuve wytoczył fakt, że współcześni go nic uznawali!

— Tak, to są lokaje utartych poglądów; przesądu, który ma siłę prawa; lokaje Homera albo zasad świętej rewolucji.

— Nieraz zdarzyło mi się wychodzić z tego obiadu z bijącym sercem, z wyschniętym gardłem...

— Et, wszelka dyskusja polityczna sprowadza się do tego: *Jestem lepszy od ciebie!* — dyskusja literacka to: *Mam więcej smaku od ciebie!* — a dyskusja artystyczna: *Widzę lepiej od ciebie!*

— Bądź co bądź, przerażające jest, jak bardzo w każdym sporze my jesteśmy odosobnieni, jak nic sobie nie zyskujemy stronników.

— Może dlatego Bóg sprawił, że nas jest dwóch...

Kłótnia

## EPILOG

Oblężenie Paryża. W mieście pachnie głodem. Restaurator Magny dba o swoich znakomitych niedobitków: dziś, na karcie restauracyjnej... bizuny, antylopa, kangur — autentyczne, z ogrodu zoologicznego, który stopniowo idzie na rzeź. Wchodzi Gautier, mizerny a nalany, z piętnem choroby na twarzy.

— Powiedz mi, Théo, po coś ty właściwie wracał do tego piekła? Byłeś w Szwajcarii...

— Czytaj Rabelego, a zrozumiesz. „Pieniędzy brak, cierpienie niezmierzone”... Tak, ta arcygłupia rzecz, która nazywa się *golizną*. Wiesz, jak szybko topnieje banknot tysiąc frankowy... a to było wszystko, co miałem. Siostry zostały w Paryżu bez grosza... A przy tym... jest coś... Francja... Bez frazesów, ale to tak, jakby matka chora...

Rozmowa kręci się, rzecz prosta, dokoła wypadków dnia, ale Renan znajduje sposób, aby ją skierować na swój ulubiony temat: Francja nie umie już pisać, język powinien się zamknąć w słownictwie XVII wieku. — Kiedy (powiada) ma się szczęście posiadać język klasyczny, trzeba go się trzymać: — właśnie teraz, właśnie w tej chwili trzeba się chwycić języka, który podbił Europę; tam, i tylko tam, trzeba szukać pierwowzoru swojego stylu.

— Ależ o którym pan języku siedemnastowiecznym mówi? O Saint-Simonie<sup>242</sup>? o Bossuetie<sup>243</sup>? o pani de Sévigné<sup>244</sup>? o La Bruyerze<sup>245</sup>? Tyle jest języków w siedemnastym wieku i tak sprzecznych!

GONCOURT: — Wszelkiego wielkiego pisarza wszelkich czasów poznaje się tylko po tym, że ma swój język osobisty; język, którego każda stronica, każdy wiersz, są jakby sygnowane, tak jakby pod każdą stronicą był jego podpis. Otóż pan, ze swoją teorią, skazujesz wiek XIX, i inne, które przyjdą, na to, aby nie miały już wielkich pisarzy.

RENAN: — Trzeba oczyścić język. Zepsuli go nam Taki Chateaubriand<sup>246</sup>...

— Pisał dla pana źle, nieprawdaż?

<sup>242</sup>*Saint-Simon* — tytuł książęcy Louisa de Rouvroy (1675–1755), żołnierza, dyplomaty i pisarza francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>*Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — kaznodzieja i biskup francuski, wychowawca Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>*pani de Sévigné* — Maria de Rabutin-Chantal (1626–1696) arystokratka francuska, zaistniała w literaturze dzięki kilkuset listom do córki. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>*La Bruyere, Jean de* (1645–1696) — eseista francuski, autor dzieła *Charaktery, czyli Przymioty Teofrasta*, zawierającego elementy satyryczne. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>*Chateaubriand, François-René* (1768–1848) — francuski pisarz, dyplomata i polityk. [przypis edytorski]

RENAN *trzyma się swego*: — Język XVII wieku posiada wszystkie wyrażenia, których możemy dziś potrzebować, nawet w zakresie polityki. Napiszę wam, do „Revue des Deux-Mondes”, artykuł, w którym wszystkie słowa będą wyjęte z pism kardynała de Retz.

— Chińszczyzna!

Rozmowa wraca do jedyne go możebnego dziś tematu — do Niemców.

RENAN: — Niemcy mają mało przyjemności; największą, jaką mogą mieć, mieszczą w nienawiści, w hodowaniu zemsty.

— To zemsta zapiekła od dawna, od czasu Davouta<sup>247</sup>, od czasu wojen Palatynatu...

Renan zaczyna po dawnemu sła wić przewagę myśli i kultury niemieckiej; ten „mąż sprawiedliwy” dochodzi do tego, że usprawiedliwia zbrodniczą formułę Bismarcka *Sila przed prawem*<sup>248</sup> i oświadcza, że narody i jednostki, niezdolne bronić swoich posiadłości, nie są godne ich zachować. Berthelot, który oddał cały swój geniusz uczonego na usługi obrony miasta, przytacza rozpaczliwe szczegóły niedołęstwa dowódców. Nefftzer drwi, przygadując swoim alzackim akcentem. Przywiedziony do rozpacz y, Goncourt woła:

— W takim razie wszystko skończone, pozostaje tylko wychować pokolenie dla odwetu!

RENAN, *pąsowy*: — Nie, nie, nie trzeba odwetu; niech przepadnie Francja, niech przepadnie ojczyzna, istnieje ponad nimi królestwo obowiązku, rozumu...

— Nie, nie — krzyczą wszyscy — nie ma nic ponad ojczyznę!

— Nie — ryczy jeszcze gło śniej Saint-Victor wściekły — nie estetyzujemy, nie bizantyzujemy, nie dupizujemy, nie ma nic ponad ojczyznę.

RENAN: — Poczucie ojczyzny było rzeczą naturalną w starożytności; ale katolicyzm przemieścił pojęcie ojczyzny, że zaś idealizm jest spadkobiercą katolicyzmu, idealści nie powinni podlegać ciasnym przywiązaniom do ziemi ojczystej, ani uznawać więzów tak mizernie etnograficznych. Ojczyzna idealistów — wykrzykuje Renan, nie zważając na nerwowe przerywania Berthelota — jest tam, gdzie im wolno myśleć.

GONCOURT *z ironią*: — To dla mnie stanowczo za wzniosłe. Chociaż, czasami, w istocie, ogarnia człowieka jakieś zmęczenie Francją, jakaś mętna chęć poszukania sobie ojczyzny, gdzie by artysta miał myśl spokojną, nie nękaną wciąż głupimi konwulsjami motłochu...

Renan wstaje, przechadza się chwiejnie dokoła stołu, machając rękami, cytując fragmenty z Pisma św., i powiada, że wszystko jest tam.

Potem zbliża się do okna, pod którym krąży niefrasobliwy tłum paryski i powiada: — Oto co nas ocali, miękkosć tego ludu...

Jakby w odpowiedzi, rozlegają się z ulicy pojedyncze głosy: „Niech żyje komuna!” I potem bliżej, pod oknem krzyki: „Precz z burdelem, gasić gaz!” I trzeba zgasić światło wśród klątw motłochu, któremu się ubrdało, że widział w gabinecie dziewczynę.

KTOŚ *mruczy*: — To wszystko po to, żeby zatruć burżujom obiad. Oni mają swoje burdele otwarte...

— Tak, teraz musimy być rozsądni, zacni, cnotliwi. Trzeba na przykład zrobić coś z gmachem opery: to nie na nasze środki. Nie będziemy dość bogaci, aby sobie fundować tenorów; będziemy mieli operę, ot taką, jak gdzieś na prowincji. Tak, będziemy skazani na to, aby być narodem cnotliwym...

— Och, och — rozlega się drwiący głos Nefftzera — nie bójcie się o heroizm patriotyczny, będą się na niego licytowali. Nie wiecie może, że już są ludzie, którzy chcą wysadzić Paryż w powietrze. Tak, znam takiego; redaktor *Jutrzenki*. Ma wysadzić Paryż przy pomocy sześćdziesięciu beczek nafty. Powiada, że to wystarczy...

— Spotkałem dziś Wiktora Hugo. Szedł z wnukiem...

— Widziałeś go? Co mówił?

— Tak, co powiedział?

— Powiedział: „Sądę, że będzie przezornie pomyśleć o małej aprowizacji”.

Wnoszą comber barani.

— Na przyszły raz podadzą nam comber z pasterza — powiada ktoś.

Niemiec

Ojczyzna, Myśl

Głód

<sup>247</sup> Davout, Louis Nicolas (1770–1823) — wybitny generał napoleoński. [przypis edytorski]

<sup>248</sup> *Sila przed prawem* — kiedy tom *Dziennika* zawierający wspomnienia z r. 1870 ukazał się w r. 1890, dał on powód do nader ostrej wymiany słów między Benonem a Goncourtem. [przypis autorski]



- Nie bójcie się, na razie to jest bardzo piękny comber z psa.
- To pies! Powiadacie, że to pies! — woła Saint-Victor płaczliwym głosem rozłoszczonego dziecka. — Garson<sup>249</sup>, prawda, że to nie jest pies?
- Ależ już trzeci raz je pan tutaj psa...
- To nieprawda, pan Magny jest uczciwy człowiek, uprzedziłby nas... Pies to jest nieczyste zwierzę. Koń, owszem, ale nie pies.
- Pies czy baran — mamroce Nefftzer z pełną gębą, nigdy nie jadłem tak dobrej pieczeni. — Ale gdyby wam Magny dał szczura... próbowałem... kapitalne... Coś pośredniego między wieprzem a kuropatwą.
- Podczas tej rozmowy Renan, który wydawał się bardzo zaabsorbowany, błędnie, zielonie, rzuca na stół pieniądze i znika.
- Nefftzer patrzy za nim i powiada, nie wiadomo czy myśląc o pieczeni z psa, czy o czym innym:
- Co zgubiło Francję, to rutyna i retoryka.
- Tak — wzdycha Gautier — klasycyzm...

---

<sup>249</sup>garson (z fr. chłopiec) — kelner. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/obiad-literacki>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Obiad literacki*, Biblioteka Boya, Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, s.a., Warszawa [1934]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Łukasza Jachowicza.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Małgorzata Wrzesień, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

Okładka na podstawie: Aih.@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0097-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.